



Diana Palmer



Zgrany duet

Tytuł oryginalny: Merciless

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Atrakcyjna blondynka siedząca przed biurkiem Jona Blackhawka w biurze FBI w San Antonio była irytująca, zresztą jak większość kandydatek na żonę, które zwałała mu na głowę jego pełna najlepszych intencji matka. I tak już był całkiem nie w sosie, jako że niebawem miał zeznawać przed sądem w charakterze świadka. Zafascynowanie tej kobiety najnowszymi trendami we fryzjerstwie sprawiło, że zaczął tęsknie rozmyślać o barach, chociaż nigdy nie pił ani kropelki.

– Uczesał mnie pan James w zakładzie Sherigana – paplała dalej, wskazując swoją fryzurę, która, prawdę mówiąc, wyglądała, jakby ktoś włożył głowę blondynki do miksera. Jon powstrzymał się jednak przed wygłoszeniem tej uwagi. – Mógłby dokonać cudów z twoimi długimi włosami. Są takie retro!

Zapukano do drzwi, ale tylko pro forma, bo nie czekając na „Proszę wejść!”, do gabinetu wetknęła głowę Joceline Perry, asystentka Jona.

– Przepraszam, panie Blackhawk, ale za dziesięć minut ma pan być w sądzie.

Skinął głową, pohamowując chęć zatańczenia z radości na biurku. Wprawdzie byłoby to zupełnie nie w jego stylu, ale wysłuchiwanie przez pół godziny informacji o modzie kompletnie go otumańczyło.

Wstał.

– Miło mi się z tobą gawędziło, Charlene. Proszę, przy najbliższej okazji pozdrów ode mnie moją matkę.

– Będę się z nią widzieć dziś wieczorem. Idziemy na tę romantyczną komedię Szekspira w nowoczesnej inscenizacji – oznajmiła z entuzjazmem.

– Twoja matka ma trzy bilety – dodała z pełnym nadziei uśmiechem.

Jon odchrząknął, rozpaczliwie usiłując znaleźć jakąś wymówkę. Czuł pustkę w głowie, szczęśliwie w sukurs przyszła mu Joceline:

– Dziś o siódmej ma pan spotkanie z informatorem.

– Patrzyła na niego szeroko otwartymi niebieskimi oczami, nawet nie mrugnęła powieką.

– Całkiem wyleciało mi z głowy. Dziękuję, że mi przypomniałaś – rzekł ze skrywaną ulgą, zarazem zły na siebie, że mógł zapomnieć o czymś takim. Tylko o którego informatora chodziło? – Cóż, może innym razem – zwrócił się do Charlene.

Blondynka najpierw wzruszyła ramionami, po czym oznajmiła:

– Jak widzę, w twojej profesji pracuje się o najdziwniejszych porach. – W zadumie zmarszczyła brwi. – Mógłbyś pomyśleć o zmianie zawodu. Kiedy się ożenisz, nie będziesz miał czasu na takie wieczorne spotkania służbowe.

– Nie planuję małżeństwa. – W czarnych oczach Jona pojawił się niepokojący błysk.

Obrzuciła go dziwnym spojrzeniem, nim rzekła beznamiętnym tonem:

– Twoja matka mówiła, że zamierzasz ustatkować się i założyć rodzinę.

– To jej zdanie, nie moje – oświadczył stanowczo z pochmurną miną.

Charlene obdarzyła go uroczym uśmiechem i dotknęła rękawa jego szarej marynarki nienagannie wymanikiowaną dłonią.

– Większość mężczyzn wzdraga się przed ożenkiem i założeniem rodziny, dopóki nie uświadomią sobie, jakie to cudowne. – Gdy Jon niewzruszenie milczał, zaryzykowała uwagę: – Cóż, nie od razu Rzym zbudowano.

– Za to został błyskawicznie zburzony przez Karola V i jego armię podczas jednego z najbardziej gwałtownych ataków w historii wojen – wtrąciła Joceline. – Papież musiał salwować się ucieczką, żeby ocalić życie. – Jej niebieskie oczy przybrały rozmarzony wyraz. Miała krótko obcięte czarne włosy, które ledwie zakrywały małe kształtne uszy. – Karol V był teściem Marii Tudor, siostry Elżbiety I. Kiedy Maria i Filip II się pobrali, ona miała trzynaście lat, a on dwadzieścia. To było bardzo dziwne małżeństwo, ale w rodzinach królewskich w szesnastym wieku traktowano te kwestie inaczej niż obecnie. Czy interesuje się pani historią? – spytała z uśmiechem.

– Brr... – wzdygnęła się demonstracyjnie Charlene. – Co za straszna, co za obrzydliwa dziedzina. Dzieje dawno zmarłych ludzi!

Joceline uniosła brwi.

– Przeszłość wyznacza naszą przyszłość – oznajmiła. – Na przykład czy pani wie, że w siedemnastowiecznej Ameryce kobiety oskarżano o czary i wieszano nawet za najdrobniejsze występki? – Przechyliła głowę na bok. – Gdyby w owych czasach w Massachusetts pokazała się pani w tej bluzce, natychmiast wylądowałyby pani w rzece, uważano bowiem w tamtych czasach, że tylko czarownice nie toną, kiedy wrzuci się je do wody. – Znów się uśmiechnęła.

Charlene zmierzyła ją tak bardzo obojętnym, że aż obraźliwym spojrzeniem, i powiedziała:

– Ta bluzka to ostatni krzyk mody. – Popatrzyła z irytacją na prostą czarną spódniczkę Joceline, czarne pantofle na niskich obcasach i niebieską bluzkę zapinaną na guziki. – Za to pani mogłaby trafić do więzienia za taki okropny gust – zakończyła z jawną pogardą.

– Nie, nie, wtedy za coś takiego nie zamykano ludzi w więzieniach –

zripostowała Joceline. – Owszem, zakuwano ich w dyby, ale nie za konserwatywny strój. – Znow przechyliła głowę. – Natomiast kobiety zdradzające mężów piętnowano żelazem, wypalając im wielką literę A.

Coraz bardziej rozgniewana Charlene odchrząknęła, po czym oznajmiła:

– Jesteśmy z mężem w separacji i w trakcie rozwodu.

– Naprawdę? – Joceline nie odrywała od niej wzroku. – Co za szczęście, że mamy dwudziesty pierwszy wiek.

– Nie zdradzałam go! – rzuciła z furją Charlene.

W oczach Joceline malowała się czysta niewinność.

– Mój Boże, przecież niczego takiego nie sugerowałam – powiedziała słodziutko.

Charlene zaczerwieniła się, zaciskając wymanikiowane dłonie w pięści i przyciskając je do spodni z kosztownego materiału opinających wąskie biodra.

– Ja i dżentelmen, którego ma pani na myśli, zjedliśmy tylko razem kolację po teatrze. Cała reszta to stek kłamstw!

– Nie wątpię – odrzekła Joceline, uśmiechając się leciutko.

Jon, który przysłuchiwał się z rozbawieniem temu słownemu pojedynkowi, w końcu się opamiętał.

– Panno Perry, czy przypadkiem nie wzywają pani pilne obowiązki? – zapytał z naciskiem.

– Słucham, sir? – Joceline aż zamrugwała ze zdziwienia.

– Chodzi mi o przygotowanie materiałów do kolejnego przesłuchania w sądzie w prowadzonej przeze mnie sprawie o porwanie.

– Ach, racja, sprawa w sądzie – rzekła, ale nie wyszła z gabinetu.

Charlene z irytacją sięgnęła po torebkę.

– Widzę, że to nieodpowiednia pora na rozmowę – zwróciła się do Jona. Podeszła do niego bliżej, zakasłał, gdyż owionęła go woń jej drogich perfum.

– Pogawędzimy jeszcze później, w bardziej... sprzyjających okolicznościach, dobrze?

Odchrząknął. Nie mógł się już doczekać, kiedy nieszczęsna Charlene opuści gabinet.

– KK – odparł, używając skrótu, którym internetowi gracze zastępują słowo „okay”.

– Te skróty są idiotyczne. – Spiorunowała go wzrokiem. – Ty też, tak jak twój brat, grasz w te kretyńskie gry wideo, prawda? Cóż, to kolejna rzecz, z której będziesz musiał zrezygnować. Żadna kobieta nie zniesie tego, by jej mąż każdą wolną chwilę spędzał przy grach komputerowych.

– Chyba że sama też w nie gra – wtrąciła Joceline ze słodkim uśmiechem. – W dzisiejszych czasach wiele z nas to robi.

Zdumiony Jon po prostu gapił się na asystentkę, a Charlene obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem.

– Nie wątpię – rzekła szorstko.

Wciąż uśmiechnięta Joceline ostentacyjnie zmierzyła wzrokiem jej fryzurę.

– Ojej, czy pani przypadkiem nie wsadziła głowy do miksera?

Jon zakasłał gwałtownie, maskując parsknięcie śmiechem.

– Informuję panią, że zapłaciłam za to czesanie sto dolarów! – wrzasnęła wściekle Charlene.

Joceline uniosła rękę.

– Proszę trochę ciszej. To urząd federalny, tu nie wolno krzyczeć.

Rozdrażniona Charlene spojrzała kolejno na nich oboje.

– Moja noga nigdy więcej tu nie postanie! – oznajmiła wyniośle. – Jon, spotkamy się u Cammy, gdzie będziemy mogli normalnie porozmawiać.

Nie odpowiedział, natomiast Joceline z chłodnym uśmiechem ostentacyjnie otworzyła drzwi.

– Miłego dnia – rzuciła za wychodzącą Charlene, która idąc przez sekretariat, mamrotała coś do siebie.

Jon wybuchnął długo hamowanym śmiechem, a gdy już się trochę uspokoił, zaczął strofować Joceline:

– To było bardzo nieuprzejme.

– Naprawdę? – Zupełnie niespeszona zerknęła w stronę drzwi. – Mam ją tutaj zawołać i przeprosić?

– Patrzyła na niego niczym ucieleśnienie niewinności.

– Jeśli to zrobisz, z miejsca cię wyleję.

Wzruszyła demonstracyjnie ramionami, po czym odparła z uśmiechem:

– Nie tak trudno znaleźć pracę kobiecie, która pisze na komputerze i udziela darmowych porad w kwestii gier wideo.

Blackhawk niecierpliwie machnął ręką.

– Wracaj do swoich obowiązków. Aha, z którym informatorem mam spotkanie o siódmej? – zapytał, marszcząc brwi.

– Jeśli pan tak bardzo nalega, mogę jakieś zorganizować.

Najpierw się zaśmiał, potem westchnął ciężko.

– Cammy doprowadza mnie do szału tym nasyłaniem coraz to nowych kandydatek na żonę. A ja nie chcę się żenić! – zakończył stanowczo, spoglądając gniewnie na stojącą w progu Joceline.

Uniosła ręce w obronnym geście.

– Niech pan tak na mnie nie patrzy! Też nie marzy mi się żaden ślub, więc jeśli zamierza mi się pan oświadczyć – zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem – to radzę zrezygnować, bo znam tylko jedną odpowiedź: nie! „Tak” nigdy pan nie usłyszysz, bo mój synek byłby zrozpaczony, gdyby musiał dopuścić kogoś trzeciego do naszych bitew w Super Mario. – Chodziło o jedną z najpopularniejszych gier komputerowych.

– Nie ma problemu. Lubię gry militarne – oświadczył Blackhawk.

– A MMORPG, w którą gra pan z bratem? – spytała, mając na myśli agenta federalnego McKuena Kilravena.

– Masowa gra RPG online – rozwinął skrót, po czym dodał z uśmiechem: – Nigdy nie podejrzewałem, że jesteś takim zagorzałym graczem.

– Też siebie o to nie podejrzewałam – wyznała z westchnieniem – ale Markie uwielbia gry komputerowe.

Jej syn. Nigdy nie była mężatką, ale spotykała się z żołnierzem, który został wysłany na Bliski Wschód i już nie wrócił. Blackhawka zaskoczyła wiadomość, że konserwatywna i religijna Joceline Perry ma nieślubne dziecko. Nigdy nie wspominała o ojcu chłopca, a o synku bardzo rzadko. Podobnie jak Jon, skrupulatnie strzegła swej prywatności, tę sferę życia otaczała wielką dyskrecją.

Joceline zdawała sobie sprawę, że budzi w Jonie ciekawość. Przyjrzała mu się ukradkiem i pomyślała, że jest bardzo seksowny. Był wysoki i szczupły, miał świetną sylwetkę i naturalną elegancję w ruchach, wrażenie robiły też jego długie, gęste czarne włosy związane w koński ogon. Kobiety uważały go za atrakcyjnego, on jednak zachowywał się nieprzystępnie. Plotkowano, że nigdy z żadną się nie związał. Zarówno on, jak i jego brat wyznawali konserwatywne poglądy, co nadawało im rys pewnej wyniosłości

wobec tych, którzy inaczej traktowali życie, uważano też powszechnie, że nigdy nie sprzeniewierzyli się swym ideom i prowadzili powściągliwy, surowy tryb życia.

Odsunęła od siebie te rozmyślania. Znała Jona Blackhawka lepiej niż ktokolwiek inny. Od pięciu lat pracowała z nim w terenowym biurze Oddziału Zwalczania Ciężkich Przestępstw i często obserwowała z podziwem, jak skutecznie rozwiązywał sprawy porwań, w których się specjalizował. Szczególnie interesował się problematyką handlu ludźmi, zwłaszcza dziećmi. W pracy odznaczał się zawziętą nieustępliwością. Była to jedna z wielu cech, które Joceline w nim podziwiała.

Zastanawiała się, co Jon Blackhawk sądzi o jej moralności, skoro wie, że ma nieślubnego syna. Mar- kie był jedynym cudem w jej życiu, jedynym czystym dobrem, jedynym prawdziwym szczęściem, ale kiedy zorientowała się, że zaszła w ciążę, nie tylko była zaskoczona, ale i przeżyła wstrząs. Cóż, zdarzyło się to w najmniej odpowiedniej chwili. Joceline mówiła wszystkim, że ojciec dziecka był tylko jej dobrym przyjacielem, który przyjechał do domu na przepustkę z wojska. Współczuła mu, gdyż właśnie porzuciła go dziewczyna, z którą był związany przez wiele lat. Joceline często się z nim spotykała, ale wyłącznie towarzysko. Jednakże tamtej nocy oboje za dużo wypili... a w każdym razie taka była oficjalna wersja Joceline.

Choć nie całkiem zgodna z prawdą.

Joceline miały sprzeczne emocje, nie wiedziała, czy w ogóle powinna donosić ciążę. Istniało mnóstwo powodów, dla których powinna była ją usunąć. Jednak miłość do ojca dziecka – mężczyzny, który nigdy się o nim nie dowie – sprawiła, że nie poszła do kliniki aborcyjnej. Taki oto mroczny i dramatyczny sekret ukrywała...

– Pytałem – powtórzył zniecierpliwiony Jon – czy w związku z tym,

że muszę stawić się w sądzie, poleciałś przesłać akta sprawy do mojego notebooka?

– Przepraszam, ale o jakiej rozprawie pan mówi? – spytała zdziwiona.

– O dzisiejszej! – Z irytacją zmarszczył brwi.

– Sama o niej mówiłaś, a nawet mnie popędzałaś, żebym się nie spóźnił. Sprawa dotyczy uprowadzenia dziecka Rodrigueza. Sądziłem, że rozprawa odbędzie się dopiero w przyszłym tygodniu.

– Faktycznie, w przyszłym tygodniu – powiedziała, wydymając wargi.

– Świetnie. I dzięki, że mnie uratowałaś, może nawet ocaliłaś życie. Jeszcze pięć minut rozmowy z Charlene o najmodniejszych fryzurach, a bym wyskoczył przez okno.

– Pana gabinet jest na parterze – stwierdziła beznamiętnie.

– Tak, oczywiście... W takim razie wyskoczyłbym przez okno i pognął przed siebie.

– Czy nie tak właśnie zrobił sierżant detektyw Rick Marquez, kiedy złodziej ukradł mu laptop? – Zachichotała. – Oskarżono go o obrazę moralności, ponieważ gnał za rabusiem ulicami miasta całkiem goły. – Pokręciła głową. – Podobno w wydziale policji wciąż się z niego nabijają.

Jon też się roześmiał, po czym dorzucił swój komentarz:

– Marquez to zagadkowy typ. Pewnego dnia zostanie porucznikiem, zapamiętaj sobie moje słowa.

– Też tak sędzę.

Gdy zadzwonił telefon, wciąż uśmiechnięta Joceline wyszła z gabinetu szefa.

Następnego ranka spóźniła się do pracy o prawie pół godziny. Kiedy weszła do biura, miała pod oczami ciemne kręgi, a na twarzy malowało się napięcie. Skończyła zaledwie dwadzieścia sześć lat, lecz tego dnia

wyglądała na znacznie starszą. Włożyła torebkę do szuflady biurka i podniosła wzrok na Jona, który zniecierpliwiony stanął w drzwiach gabinetu.

– Przepraszam pana – powiedziała zgnębionym głosem. – Zaspałam.

Popatrzył na nią surowo zwięzonymi oczami.

– Nie robiłbym z tego problemu, ale ostatnio przydarza ci się to dość często.

– Wiem. – Oblała się rumieńcem. – Naprawdę bardzo przepraszam.

Joceline Perry była dobrą pracownicą. Wprawdzie zdecydowanie odmówiła parzenia kawy dla szefa czy biegania po ciastka, co zwyczajowo czyniły asystentki i sekretarki pod każdą szerokością geograficzną, choć nie ujmował tego formalny zakres obowiązków, ale była najbardziej kompetentną asystentką, z jaką Jon kiedykolwiek się zetknął. Nigdy się nie objęła, sumiennie wykonywała swoją pracę, a nawet, jeśli było trzeba, zostawała w biurze do późnych godzin bez dodatkowego wynagrodzenia. Imprezowanie nie było w jej stylu, więc jeśli zasnęła, to z jakiegoś innego powodu.

Jon stanął przed jej biurkiem.

– Co się stało, Joceline? – zapytał łagodnie.

Tak bardzo łagodnie, że łzy napłynęły jej do oczu.

Przygryzła wargę, by je powstrzymać.

– Kłopoty osobiste, proszę pana – oparła schrypniętym głosem, a gdy Jon chciał coś powiedzieć, powstrzymała go gestem ręki. – Przepraszam, ale... nie mogę o nich rozmawiać. Naprawdę zrobię wszystko, by więcej się nie spóźnić.

Ciekawe, czy te kłopoty wynikają z pojawienia się w jej życiu nowego mężczyzny? Ta myśl bardzo mu się nie spodobała, zaraz jednak się zdziwił,

że w ogóle go to obeszło. Joceline jest jego asystentką i nie powinien zajmować się jej prywatnym życiem. Tyle tylko, że pracują razem już kilka lat, więc gdy zobaczył, że coś złego z nią się dzieje, po prostu zmartwił się o nią.

– Jeśli potrzebujesz pomocy... – zaczął.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Dziękuję panu, ale poradzę sobie.

– Jak wygląda dzisiejszy rozkład dnia? – Nie pozostało mu nic innego, jak przejść do spraw zawodowych. Był umówiony ze swoim bratem, McKuenem Kilravenem, na lunch, musiał się jednak upewnić, czy nie koliduje to z ważnymi obowiązkami. Nagle dostrzegł, że na twarzy Joceline pojawił się niepokój, może nawet strach, dlatego spytał: – Co się dzieje?

– Dziś rano zwolniono Harolda Monroego – poinformowała z niejakim wahaniem, niepewna reakcji szefa.

I się doczekała, bo Jon przewrócił oczami, po czym spytał ironicznie:

– Możesz sprawdzić, czy moja polisa ubezpieczeniowa na życie jest nadal aktualna?

– To nie żarty. – Joceline miała poważną minę.

– Wprawdzie Monroe często zachowuje się jak patałach i potrafi schrzanić wszystko, czego tylko się tknie, proszę jednak nie zapominać, że kiedy kazał go pan aresztować, zaatakował policjanta nożem.

Wcześniej tego roku inny przestępca, który również mógł być dla Jona poważnym zagrożeniem, zmarł w więzieniu na atak serca w przeddzień zwolnienia. Joceline pomyślała wówczas z ulgą, że szef jest wreszcie bezpieczny. Lecz nie trwało to długo. Gdy dwa dni później Harold Monroe został aresztowany i oskarżony o handel ludźmi, poprzysiągł krwawą zemstę wszystkim, którzy wpakowali go do więzienia, w tym również Jonowi

Blackhawkowi.

– Rzeczywiście straszny patałach z niego. Nie pamiętasz, jak to było? Monroe rzucił się z wielkim nożem na funkcjonariusza policji, ale potknął się o dywan, wywinął orła i wbił sobie ostrze w nogę – przypomniał jej z błyskiem rozbawienia w czarnych oczach. – Potem próbował oskarżyć tego policjanta o napaść.

– Owszem, niektórzy ludzie stale ośmieszają nasz system prawny – przyznała Joceline. – Ale nawet kompletnym nieudacznikom czasami udaje się spełnić swoje groźby.

– Jeśli on mnie kiedyś zabije, staniesz nad moim grobem i powiesz: „A nie mówiłam?”. – Lekceważąco machnął ręką. – Jestem pewien, że cię usłyszę, gdziekolwiek będę przebywał.

Joceline bardzo nie lubiła takich żartów, dlatego uniknęła wzrokiem i powiedziała oficjalnym tonem:

– Sir, być może Monroe jest wiecznym pechowcem i nieudacznikiem, jednak w biurze prokuratora okręgowego uznano, że powinien pan się dowiedzieć o tym, że wyszedł na warunkowe zwolnienie.

– Jestem im naprawdę bardzo wdzięczny. W wolnej chwili możesz przekazać moje podziękowania Mary Crawford.

Joceline rozpromieniła się. Mary miała opinię bardzo zdolnego prawnika. Była zastępcą prokuratora okręgowego, a zarazem w powszechnej opinii jego przyszłym następcą.

Gdy Blackhawk zauważył zadowoloną minę Joceline, dorzucił komentarz w swoim stylu:

– Nawet jeżeli Crawford zostanie prokuratorem generalnym, i tak nie będziesz u niej pracowała – oświadczył stanowczo. – Jestem już za stary na to, żeby wdrażać w obowiązki nowych pracowników. Ta dziewczyna, którą

przydzielono nam na niepełny etat, działa mi na nerwy.

– Phyllis Hicks jest bardzo miła – zaprotestowała Joceline. – Tylko dlatego, że pokręciła jedno zeznanie przed sądem...

– Pokręciła?! – pieklił się Jon. – Ona nawet nie potrafi poprawnie pisać!

– Wysiadła funkcja sprawdzania pisowni w kompute...

– Joceline, ona studiuje wieczorowo w college'u! – ostro wszedł jej w słowo. – Zanim ktoś zacznie studia, powinien w szkole poznać choćby podstawy gramatyki ojczystego języka, prawda? – Dramatycznym gestem wyrzucił w górę ręce. – Czy wymagam zbyt wiele? Ale cóż, ilekroć wchodzę do internetu, widzę, że ludzie nie potrafią poprawnie napisać najprostszych słów! – nakręcał się coraz bardziej.

Jednak Joceline uniosła dłoń, by go powstrzymać, i powiedziała spokojnie:

– Nie wszyscy z nas mogą zdobyć świetne wykształcenie i władać literackim językiem, a każdy komputer ma funkcję sprawdzania pisowni.

Jon spojrzał na nią gniewnie, po czym rzekł ponuro:

– Ta cywilizacja upadnie, i to już niedługo, sama się o tym przekonasz. Jeśli ludzie nie umieją poprawnie pisać, to już tylko krok do tego, żeby stracili zdolność czytania. I wiesz, co wtedy się stanie?

Miliony Amerykanów nie będzie potrafiło przeczytać instrukcji żadnego z tych wszystkich urządzeń, które nas otaczają i bez których nie potrafimy już żyć. W rezultacie nastąpi totalny chaos – stwierdził z niejaką grozą. Cóż, ta katastroficzna wizja stała się jego obsesją.

– Nieumiejętność odczytania instrukcji nie może wywołać chaosu – zaoponowała Joceline.

– Ciekawe, czy tak powiesz, kiedy jakiś idiota zapali zapałkę przy

zbiorniku z płynnym tlenem?

Jej oczy rozbłysły.

– W serialu „Policjanci z Miami”, mam go na DVD, facet wszedł z zapalonym papierosem do hali, w której nielegalnie produkowano narkotyki, i wysadził w powietrze cały budynek!

– Nawet nie chcę tego słuchać. Pewnie też na okrągło oglądasz „Drużynę A”? – spytał z jawnym niesmakiem.

– Za każdym razem, kiedy gdzieś lecą samolotem, muszą ogłuszać sierżanta B. A., którego gra zapaśnik Mr. T, bo się boi latać – mówiła rozchichotana.

– W telewizji są różne rodzaje programów... – zaczął Blackhawk.

– Właśnie! – pełna entuzjazmu wpadła mu w słowo. – To wspaniałe dla ludzi, których stać na kablówkę albo antenę satelitarną. – Westchnęła z rozmarzeniem.

– Cudownie mieć odtwarzacz DVD, nawet stary.

Jon był wstrząśnięty. Nigdy nie wypytywał Joceline, jak sobie radzi z finansami, teraz jednak uważniej jej się przyjrzał. Ubranie wyglądało na praktyczne, lecz dość wiekowe. Nie zwracał szczególnej uwagi na kobiece stroje, jednakże ubiór Joceline wydawał się kilka lat do tyłu za modą, a starannie wypastowane pantofle były znoszone i popękane.

Zaczerwieniła się, spostrzegłszy jego taksujące spojrzenie.

– W klasycznych strojach nie ma niczego złego – wymamrotała.

Uniósł brwi, po czym rzucił swoisty komentarz:

– Nie daj Boże, żeby zakuto cię w dyby.

– Och, nie żyjemy w tym idiotycznym siedemnastym wieku w Massachusetts.

– Racja... Czy mój brat przyjedzie po mnie przed lunchem?

Przycisnęła palec do czoła i w przesadnie głębokim namyśle przymknęła powieki.

– Tak, już wiem! Przed chwilą widziałam, jak czarny SUV wjechał na parking. – Otworzyła oczy i zerknęła przez okno.

Blackhawk teatralnie wznosił ręce i wyszedł z gabinetu.

Joceline uśmiechnęła się do siebie. Lubiła się z nim przekomarzać i często to robiła. Uważała, że Jon jest zbyt ponury. Powinien trochę wyluzować i przestać brać życie aż tak serio.

Potem pomyślała o swoim położeniu i westchnęła smętnie. Na szczęście ma poczucie humoru, bo inaczej troski by ją zabiły. Jej życie wcale nie jest usłane różami, jednakże równie dobrze można się uśmiechać, jak płakać. Ani jedno, ani drugie i tak niczego nie zmieni.

– Znowu jesteś nie w sosie – zauważył Kilraven, w zadumie przyglądając się bratu, który tak bardzo był do niego podobny.

Mieli taki sam kolor włosów, ale Kilraven strzygł się krótko. Różniła ich barwa oczu – Jon miał bardzo ciemne, natomiast on jasnoszare i błyszczące. Byli tylko braćmi przyrodnymi, lecz mimo to łączyła ich mocna więź.

– Cammy działa mi na nerwy – wyjaśnił Jon.

– Wczoraj znów nasłała na mnie kolejną stukniętą kobietkę. Przez pół godziny musiałem wysłuchiwać paplaniny o modzie i fryzurach.

Kilraven zerknął na niego, po czym włączył się do ruchu.

– Przydałaby ci się odrobina wycucia współczesnego stylu – rzucił kpiąco. – No, bez urazy.

– Uważam, że ubieram się całkiem dobrze – oświadczył Jon, wskazując na trzyczęściowy szary garnitur z mory.

– Owszem, nosisz się elegancko – przyznał Kilraven, sam odziany

spodnie khaki i koszulkę polo.

– Ale masz bardzo niemodną fryzurę.

– Wywodzę się z Siuksów. Nie widzę niczego złego w długich włosach.

– Pochodzisz także od Czirokezów – dodał z rozbawieniem Kilraven.

– Lubię moje korzenie i kulturowe dziedzictwo.

– Ja również.

Jon otaksował brata wzrokiem.

– Jakoś tego nie okazujesz.

Kilraven wzruszył ramionami.

– Wiesz, spróbuję tak to ująć: nie jestem prostą kontynuacją moich przodków.

– Ani ja – gniewnie odparł Blackhawk. – Ale wolę tych spośród nich, którzy byli rdzennymi Amerykanami, czyli Indianami.

– O nic cię nie oskarżam – rzucił Kilraven lekkim tonem. – Jesteś po prostu wytracony z równowagi, ponieważ Cammy chce, żebyś się ożenił i obdarzył ją gromadką wnucząt.

– A czyż ty i Winnie nie popracowaliście już nad tym? – odparował Jon, mając na myśli nową żonę brata, Winnie Sinclair z Jacobsville.

– Owszem, mocno się staraliśmy. – Kilraven zachichotał. – Nie mogę się już doczekać, kiedy będzie po wszystkim.

– Cieszę się, że w końcu zapomniałeś o przeszłości – powiedział cicho Jon.

Przed siedmioma laty brutalnie zamordowano żonę i dziecko Kilravena. Jon nawet nie marzył, że starszy brat kiedykolwiek jeszcze założy rodzinę. Był zachwycony, że Kilraven znalazł uroczą i kochającą partnerkę.

– Zamierzasz się kiedyś ożenić?

Jon się skrzywił.

– Na pewno nie z żadną spośród idiotycznych kandydatek Cammy.

– Czy ta ostatnia nie pracuje przypadkiem w agencji towarzyskiej? – zapytał ze śmiechem Kilraven.

– Nie wiem. – Wydał wargi. – Polecę Joceline, żeby ją sprawdziła. Tak z czystej ciekawości.

– To nielegalne, chyba że ślicznotka ubiega się o pracę w FBI.

Blackhawk uniósł brwi.

– Odkąd to stałeś się takim obrońcą zasad, skoro sam notorycznie je łamiesz?

– Słuchaj, wszyscy jesteśmy dorośli. Po prostu niektórzy z nas zaczynają je łamać później niż inni.

– To prawda.

– Kupiłeś tę nową grę Halo?

– Już dawno – odparł z uśmiechem Jon – ale wciąż jeszcze leży na półce.

– Ty i gra World of Warcraft. – Kilraven też się uśmiechnął. – Mój mały szwagier Matt ma hopla na jej punkcie. Kiedy nie jest w szkole, wchodzi do internetu i razem z innymi graczami uśmierca potwory. Jego najnowszą przyjaciółką jest sześćdziesięcioletnia babcia trojga wnuków. Razem włączają się po wirtualnych lochach.

Jon gwizdnął.

– Czy ona wie, ile on ma lat?

– Och, jasne. Matt gra również z pensjonariuszami domu spokojnej starości. Wszyscy mają łącza internetowe, a większość gra w World of Warcraft. Obecnie to ich jedyna rozrywka, ponieważ są fizycznie

niepełnosprawni i nie mogą prowadzić normalnego życia. Wiesz, granie w internecie wcale nie jest dla nich takie złe. Pomaga zachować koordynację wzrokową i ruchową, no i zapewnia kontakt ze światem.

– Wiem. Ja też gram. Jaki Matt ma pseudonim?

– Jedną z postaci, którą gra, jest Mroczny Rycerz z osiemdziesiątego poziomu noszący imię Pocałunek Śmierci.

– To jest Matt?! – zdumiał się Jon. – Wędruję z tym rycerzem po podziemiach! On uzupełnia energię i leczy się u mojego druida.

– Muszę powiedzieć o tym Mattowi. Będzie się turlał ze śmiechu.

– Ani się waż! Skoro już wiem, kim on jest, dam mu niezły wycisk.

Kilraven wjechał na parking meksykańskiej restauracji. Zgasił silnik i spojrzał z powagą na młodszego brata.

– Wypuścili Harolda Monroego – powiedział cicho.

– Tylko nie zaczynaj. Joceline już mnie powiadomiła. Ona też się martwi – rzekł Jon z lekkim rozdrażnieniem. – Posłuchaj, ten gość to skończony kretyn. Nie potrafiłby nawet jednocześnie chodzić i żuć gumy.

– Od lat macza palce we wszystkich ciemnych interesach w San Antonio. Był oskarżony o drobną kradzież, organizowanie nielegalnego hazardu, nie wspominając już o prowadzeniu domów publicznych i tym ostatnim oskarżeniu o stręczenie młodych imigrantek. Zdołał się wykręcić od wszystkich innych zarzutów, ale ty i Joceline znaleźliście świadków, dzięki którym mogliście go oskarżyć o porwanie dziesięcioletniej córki nielegalnych imigrantów i umieszczenie jej w miejscowym burdelu – powiedział ponuro Kilraven. – Monroe utrzymywał, że sprawa zostanie umorzona, a po wyjściu na wolność porachuje się z tobą. Przez trzy miesiące oczekiwał w więzieniu na proces i spędził w izolatce więcej czasu niż jakikolwiek inny więzień.

– To tylko dowodzi, że za każdym razem daje się złapać.

– Co ci z tego przyjdzie, że złapią go po tym, jak cię załatwi? – zauważył trzeźwo Kilraven.

– Jestem czujny, mam wewnętrzny radar, który wykrywa wszelkie zasadzki. Pamiętaj, że nigdy nie dostałem mandatu za przekroczenie prędkości.

– To mnie zadziwia, zważywszy na to, jak wariacko jeździsz.

Jon uśmiechnął się szeroko.

– Zawsze wiem, gdzie czai się drogówka.

To była prawda. Kiedyś jechali razem i Kilraven osłupiał ze zdumienia, kiedy brat kazał mu zwolnić, ponieważ za następnym wzniesieniem stoi pod mostem samochód policji drogowej. Kilraven wyśmiał go, ale usłuchał. I rzeczywiście, gdy wjechali na szczyt wzgórza, ujrzeli radiowóz ukryty pod mostem.

– Z takim talentem mógłbyś zostać gliną – rzekł oskarżycielskim tonem.

Jon wzruszył ramionami.

– Po prostu nie wypada, żeby starszy agent FBI został przyłapany na własnym terenie za przekroczenie prędkości.

– Przede wszystkim nie powinieneś jeździć szybciej niż to dozwolone.

– Wszyscy tak robią. Ja tylko nie daję się złapać.

– Pewnego dnia cię przyskrzynią – rzekł proroczo starszy brat.

– Wtedy zapłacę mandat. To co, idziemy coś zjeść czy dalej będziemy siedzieć tu i gadać?

Kilraven z trzaskiem rozpiął pas bezpieczeństwa i otworzył drzwi samochodu.

– W porządku, jeśli chcesz, możesz chować głowę w piasek w sprawie

Monroego, ale proszę cię, zamykaj dobrze drzwi na noc i miej oczy szeroko otwarte, kiedy będziesz pracował do późna.

– Jesteś gorszy niż Cammy!

– Wcale nie – odparł z urazą Kilraven. – Nie przysłałem ci w niecnym celu ani jednej niezamężnej kobiety.

– Tak, racja.

Ruszyli w kierunku restauracji.

– Przypuszczam, że nigdy nie zauważyłeś tego, co masz tuż pod nosem.

– To znaczy?

– Joceline – wyjaśnił Kilraven lekkim tonem. – To urocza młoda kobieta. Przydałoby jej się wprowadzić kilka rad w kwestii mody, ale jest bystra i inteligentna.

– Lubisz ją tylko dlatego, że zna się na szesnasto– wiecznej historii Szkocji – rzekł Jon oskarżycielskim tonem, ponieważ brat pasjonował się tą tematyką.

– Zna również historię Europy, a także siedemnastowiecznej Ameryki.

– Tak, wczoraj przytłoczyła swoją wiedzą kandydatkę Cammy. Nieszczęśnica głądziła bez końca o modzie, aż w końcu Joceline przerwała jej bezceremonialnie i wygłosiła wykład o historycznych strojach.

– Mówiłem ci, że jest bystra.

– Nie przeczę. – Jon spojrzał na brata. – Ale jeszcze długo nie zamierzam się żenić. Mam dopiero trzydzieści lat.

– Już prawie trzydzieści jeden, braciszku – poprawił go Kilraven. – I naprawdę nie wiesz, co tracisz.

– Skoro nie wiem, to mi tego nie brak – rzucił lekceważąco. – A teraz chodźmy wreszcie coś zjeść.

Brat zaśmiał się, idąc za nim do restauracji. W istocie Jon raz zaprosił Joceline na randkę. To zdarzenie miało dziwaczne skutki, między innymi wizytę w szpitalu i kilka gróźb wystąpienia na drogę sądową. Jon nigdy o tym nie wspomniał. Dochowywał sekretów, tak jak jego starszy brat. Poza tym niewątpliwie wolał nie pamiętać, że pozwolił, by niepostrzeżenie dosypano mu wtedy coś do drinka.

TTLR

ROZDZIAŁ DRUGI

– Ale przecież to taka miła dziewczyna – zaproponowała Cammy, rozmawiając przez telefon z Jonem.

– Jest ładna i obraca się w najlepszym towarzystwie!

– Przez pół godziny nawijała mi o najnowszych trendach w modzie i fryzjerstwie.

Po tej kąśliwej odpowiedzi usłyszał w słuchawce poirytowane westchnienie, a potem słowa:

– Przynajmniej ubiera się lepiej niż ta twoja sekretarka o niewyparzonym języku!

– Asystentka – skorygował Jon. – A Joceline nie żyje ponad stan. Nie musi się zapożyczać na kupno strojów.

– To widać – padła sarkastyczna replika.

Jon zmarszczył brwi.

– Cammy, nie pamiętasz, jak sama byłaś uboga? – spytał cicho.

– Owszem, pamiętam. I jestem twoją matką, więc przestań zwracać się do mnie po imieniu.

– Przepraszam, to z przyzwyczajenia. Macz stale tak robi.

– Bądź łaskaw nazywać go McKuenem. Nie cierpię tego przezwiska.

– On też.

– Twoja sekretarka ma nieślubne dziecko – drażyła nieustępliwie Cammy. – Bardzo mi się nie podoba, że zadajesz się z kimś takim.

– Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku! – Cały aż się najeżył.

– I co z tego! Naprawdę tego nie rozumiesz? Tylko przestrzeganie moralnych zasad odróżnia nas od barbarzyńców – odparowała z miejsca. –

Reguły zachowania chronią naszą cywilizację przed upadkiem. Rozejrzyj się i zobacz, jakich skandalicznych rzeczy ludzie się dopuszczają! Kobiety już nie wychowują dzieci, tylko kierują korporacjami! Nic dziwnego, że tak bardzo wzrosła liczba przestępstw wśród nieletnich. Kto ich uczy wartości? Kto ich...?

Jon odchrząknął.

– Cammy, mam się zaraz stawić w sądzie.

– No tak... – Nadal kipiała złością. – Powinieneś znaleźć sobie inną sekretarkę!

– Bardzo się cieszę, że zadzwoniłaś. Życzę ci miłego dnia. Odezwę się pod koniec tygodnia.

– W weekend przyjedź na ranczo.

Gdzie będzie radośnie oczekiwać kolejna kandydatka na żonę, pomyślał Jon.

– Niestety nie mogę. Mamy śledzić podejrzanego.

– Jesteś starszym agentem i z pewnością mógłbyś zlecić to komuś innemu.

– Nie w tym przypadku. A teraz naprawdę muszę już kończyć.

– Nie podoba mi się, że zajmujesz się tymi ciężkimi przestępstwami. Mógłbyś pracować w wydziale do spraw wykroczeń. Posłuchaj, Jon...

– Pa, Cammy!

– Nie nazywaj mnie...!

Odłożył słuchawkę i głośno wypuścił z płuc powietrze. W tym momencie spostrzegł Joceline za drzwiami, które zapomniał zamknąć. Okropnie blada, bez słowa weszła do gabinetu, zmusiła się do uśmiechu i położyła mu na biurku jakiś dokument. Zanim Jon, zaniepokojony tym, jak wiele usłyszała z jego rozmowy z Cammy, zdołał cokolwiek powiedzieć,

asystentka wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Joceline usiadła ciężko przy biurku. Usiłowała zagłuszyć rozbrzmiewające jej w głowie słowa matki Jona, której głos niósł się przed chwilą na odległość paru metrów od telefonu. Większość agentów używała komórek, które praktycznie uniemożliwiały podsłuchanie, ale Jon Blackhawk w gabinecie korzystał z linii stacjonarnej. Joceline poczuła mdłości, gdy przypomniała sobie nieskrywaną wrogość tej kobiety wobec niej.

Wiedziała, że ludzie o niej plotkują. W jej sytuacji było to nieuniknione nawet w dzisiejszych czasach i w wielkim mieście. Cammy Blackhawk stanowiła relikwium ustępującej generacji, lecz była tylko odrobinę mniej tolerancyjna i otwarta niż nadające obecnie ton młodsze od niej pokolenie. Na domiar złego Joceline była beznadziejnie zakochana w przystojnym szefie i śniła o nim niemal co noc, co wprawiało ją w zażenowanie.

Jonowi odpowiadało życie singla. Rzadko umawiał się na randki, a jeśli już, to zwykle z którąś z kobiet z branży – prokuratorką lub sędzią sądu okręgowego. Raz była to atrakcyjna obrończyni z urzędu. Ale zazwyczaj kończyło się na jednej randce, zresztą jak i w jej przypadku. Nie ośmielała się zbyt wiele myśleć o tym zdarzeniu.

Jednakże ciekawiło ją, dlaczego Jon unika randek. Oczywiście nie mogła go zapytać, byłaby to stanowczo zbyt duża ingerencja w prywatność. Ale słyszała kiedyś, jak mówił do brata, że kobiety często są okropnie natarczywe. Joceline wiedziała, że jego cnotliwa reputacja działa na wyzwolone przedstawicielki jej płci jak czerwona płachta na byka, zapewne więc nieraz musiał odpierać uwodzicielskie zabiegi, które budziły w nim niechęć. Jon Blackhawk wyznawał równie surową moralność jak jego

matka. W istocie oboje byli do gruntu konserwatywni.

Joceline przyjrzała się zdjęciu Markiego, które wyjęła z portfela. Chłopiec był podobny zarówno do niej, jak i do ojca. Miał po nim wytworny prosty nos i czarne włosy. Jego ojciec był przystojny i bystry. Joceline żywiła nadzieję, że Markie odziedziczył po nim te cechy.

Westchnęła nad fotografią. W okresie poprzedzającym urodzenie Markiego jej fascynacja ciężą rosła z każdym dniem. Teraz był uroczym dzieckiem, szczupłym i niebieskookim, z charakterystyczną figlarną miną. Przepadał za zabawą w chowanego i uwielbiał gry wideo, zwłaszcza Super Mario Brothers. Stałe błagał matkę, żeby kupiła mu szczeniaka albo kociaka, lecz wytłumaczyła synkowi łagodnie, że to niemożliwe. Przecież w godzinach jej pracy przebywał w ośrodku dziennej opieki – obecnie przez część dnia także w szkole – a poza tym nie mieli podwórka, na którym piesek mógłby się bawić. Nie mieli też miejsca dla psa w ciasnym mieszkanku. Markie sypiał w małym łóżeczku obok jej łóżka. Zresztą w nocy tak było wygodniej ze względu na jego problemy zdrowotne, o których Joceline nigdy nie wspominała szefowi. Jednak nieustannie martwiła się o synka. Istniały skuteczne lekarstwa na jego chorobę, ale te, na które było stać Joceline, niezbyt pomagały, a już zwłaszcza wiosną i jesienią. W San Antonio aura zrobiła się chłodniejsza i liście już zaczęły opadać z drzew, a Markie miał większe niż zwykle kłopoty ze zdrowiem. Nic dziwnego, że Joceline przychodziła do pracy spóźniona i z ciemnymi kręgami pod oczami. Zwłaszcza po nocach takich jak ostatnia...

– Pytałem, czy dzwonił Riley Blake – powtórzył z naciskiem Jon.

Joceline drgnęła i upuściła trzymane w dłoni małe zdjęcie w plastikowej koszulce. Zachmurzony Jon podniósł je i przyjrzał się podobieżnie chłopczyka.

– Jest podobny do ciebie – orzekł wreszcie i zwrócił fotografię.

Schowała ją pośpiesznie.

– Tak... – wyjąkała. – Przepraszam pana.

Wsadził ręce w kieszenie i popatrzył na nią z nieskrywanym zaciekawieniem.

– Mieliśmy w pracy dni otwarte dla dzieci, ale nigdy nie przyprowadziłaś synka.

– To byłoby kłopotliwe. Markie wśród ludzi zachowuje się trochę niesfornie. Robiłby czapki z kartonowych teczek na dokumenty i włożyłby na biurko – dodała ze śmiechem.

Jon uniósł brwi. Cammy mówiła, że on w dzieciństwie też był wyjątkowo psotny.

Joceline zerknęła na niego.

– Lekarze uważają, że być może cierpi na zespół nadpobudliwości psychoruchowej – powiedziała.

– Chcieli przepisać mu leki...

– Co? W jego wieku? – zawołał Blackhawk. Poruszyła się niespokojnie.

– Chodzi do przedszkola, ale z powodu nadpobudliwości denerwuje tam inne dzieci.

– Zamierzasz pozwolić na podawanie mu leków? – zapytał Jon ze szczerym zainteresowaniem.

– Nie wiem – odpowiedziała z wahaniem. — Niełatwo mi podjąć decyzję. Pomyślałam, że najpierw porozmawiam z naszym lekarzem rodzinnym i poznam jego opinię.

– To rozsądne. – Jon głęboko wciągnął powietrze.

– W takiej kwestii mnie też trudno byłoby się zdecydować.

Joceline zdobyła się na nikły uśmiech.

– Czasy się zmieniły.

– Tak.

Spojrzała w jego czarne oczy i przeniknął ją zmysłowy dreszcz. Szybko odwróciła wzrok. To mrzonki. Wepchnęła torebkę z powrotem pod biurko.

– Właśnie zamierzałam wydrukować dla pana te akta. – Otworzyła plik w komputerze. – I ma pan się dziś spotkać na lunchu z zastępcą szeryfa w związku z ewentualnym federalnym aktem oskarżenia o porwanie.

– Tak, uznaliśmy, że nieformalnie omówimy tę sprawę, zanim włączą się do niej prawnicy.

– Hm... Sądziłam, że pan jest prawnikiem.

– Jestem agentem federalnym.

– Z ukończonym prawem i arabistyką.

Wzruszył ramionami i ściągnął czarne brwi.

– Jak poradziłaś sobie w college'u?

– Słucham? – Nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi.

– Pracujesz do późna i masz małe dziecko. – Nie dodał, że problemem musiała być również jej sytuacja finansowa.

– Korzystałam z internetu. – Uśmiechnęła się.

– Edukacja zaoczna. Tą drogą zrobiłam nawet magisterium.

– Imponujące.

– Owszem – przyznała nieskromnie. – Chciałam zgłębić mnóstwo zagadnień.

Jej ulubioną dziedziną była szesnastowieczna Szkocja, ale zainteresowania miała znacznie rozleglejsze, między innymi dzieje Siuksów, lecz nie zamierzała wyjawić tego Jonowi. Mogłoby to zabrzmieć

niezręcznie, ponieważ jego przodkowie należeli do tego indiańskiego plemienia.

– Historia szesnasto wiecznej Szkocji – rzekł w zamyśleniu. – Nie zadawałaś się przypadkiem z moim bratem? To także jego pasja.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Pański brat jest okropny – stwierdziła stanowczo.

– Winnie Sinclair musi mieć świętą cierpliwość, skoro z nim wytrzymuje. Biedna dziewczyna...

Blackhawk spiorunował ją wzrokiem.

– Winnie jest z nim szczęśliwa. A Mac wcale nie jest okropny.

– Z pewnością nie wobec pana, ale przecież pan nigdy nie będzie musiał go poślubić. – Gdy Jon zachichotał, dodała: – Moja matka nazywała się MacLeod. Wywodziła się ze szkockich górali. Kilku jej przodków walczyło u boku królowej Szkocji Marii, kiedy usiłowała odzyskać koronę po tym, jak została zdetronizowana przez swojego przyrodniego brata Jakuba Stuarta, hrabiego Moraya.

– A zatem byli lojalistami.

– Tak... Natomiast rodzina mojego ojca nosiła nazwisko Stewart, chociaż pisane z angielska, a nie z francuska, i stanęła po stronie hrabiego Moraya. Tak więc można by rzec, że ślub moich rodziców pojednał zwaśnione klany.

– Czy twoi rodzice się kłócili?

– I to ostro. Pobrali się, ponieważ matka zaszła w ciążę, a rozwiedli się, kiedy miałam sześć lat. – Jej wzrok powędrował gdzieś w przestrzeń. – Ojciec był zawodowym wojskowym. Ożenił się powtórnie i przeprowadził na Zachodnie Wybrzeże. Zginął podczas manewrów, pilotując odrzutowiec w zwartym szyku.

– A twoja matka?

– Też ponownie wyszła za mąż. Ma córkę... trochę młodszą ode mnie.

Ja... nie utrzymuję z matką żadnych kontaktów.

– Dlaczego? – Zmarszczył brwi.

– Kiedy dowiedziała się, że mam nieślubne dziecko, wyparła się mnie. Jest bardzo religijna.

– Sądziłem, że religia powinna uczyć tolerancji i przebaczenia – stwierdził rozdrażniony. – Poza tym czy nie wspomniałaś, że była z tobą w ciąży, kiedy brała ślub z twoim ojcem?

– Cóż, czasami nie udaje się pogodzić tych spraw z religią, a dla matki liczyło się to, że kiedy mnie urodziła, była już zamężna. Nigdy nie łączyła nas naprawdę bliska więź. Natomiast bardzo kochałam ojca. – Odchrząknęła i zaczerwieniła się. – Przepraszam pana. Nie zamierzałam rozmawiać w pracy o osobistych sprawach.

– To ja cię do tego sprowokowałem. – Przyjrzał się jej z jawną ciekawością. – Bardzo kochasz synka.

– Tak, bardzo... Cieszę się, że nie zdecydowałam się przerwać ciąży...
– Urwała. Omal się nie wygadała! Sięgnęła po telefon i wybrała numer. – Zapomniałam zarezerwować dla pana stolik na lunch.

Czego zresztą nigdy nie robiła, uważając to za nazbyt uciążliwy obowiązek. Lecz Jon nie poruszył tej kwestii. Mimo woli zirytował Joceline wypytывaniem o osobiste sprawy, ale po prostu rozmyślał o jej prywatnym życiu i o synku.

Gdy zaczęła rozmawiać przez telefon, wrócił do gabinetu. Wcześniej zamierzał ją przeprosić za nieuprzejme słowa Cammy, które niewątpliwie usłyszała, jednak jego uwagę odwróciło zdjęcie dziecka. A więc Joceline rozważała aborcję. Dlaczego? Sprawiała na nim wrażenie kobiety bardzo

moralnej i pełnej macierzyńskich uczuć, ale może była to niechciana ciąża? Tak się zdarza. Tyle tylko, że jego trzeźwo myśląca asystentka nie wydawała się osobą skłoną do lekkomyślnych miłosnych przygód. Nie pamiętał, by w ciągu minionych czterech lat kiedykolwiek umówiła się na randkę.

Usiadł za biurkiem i znów pomyślał o jej ciąży. W FBI nie dyskryminuje się samotnych matek, chociaż sytuacja Joceline nie była dobrze widziana przez niektórych pracowników. Ale w trakcie ciąży zachowywała się bardzo dyskretnie i powściągliwie.

Przypomniawszy sobie, że omal nie umarła przy porodzie. Kiedy później zobaczył ją po raz pierwszy, przeraził się widokiem bladej, apatycznej twarzy wyniszczonej cierpieniem.

Wówczas przypisał jej stan działaniu leków i traumie po cesarskim cięciu, lecz teraz zastanowił się głębiej nad losem Joceline i tajemniczą postacią ojca jej dziecka.

Zadzwonił telefon i Jon podniósł słuchawkę.

– Dzwoni sierżant Marquez – oznajmiła Joceline oficjalnym tonem i przełączyła rozmowę.

– Witaj, Rick – rzucił Jon. – Co u ciebie?

– Jeżeli zamierzasz wspomnieć o moim pościgu za złodziejem komputera, to ani się waż – padła cierpka odpowiedź. – Wystarczy, że ostro mnie krytykuje cała góra, w tym burmistrz.

– Naprawdę? Może po prostu widzieli, jak goły pędzisz ulicą, i są pod wrażeniem.

– Nie przynudzaj, Blackhawk! Najzwyczajniej zazdrościsz mi rozgłosu – rzekł kpiąco Marquez. – Założę się, że gdybyś to ty biegł nago po ulicy, nikt nie zwróciłby na ciebie uwagi.

Jon roześmiał się na całe gardło.

– Nie bądź tego taki pewien.

– Dzwonię, by cię poinformować, że Harold Monroe przy pomocy cwane obrońcy z urzędu odparł oskarżenie o handel ludźmi i został zwolniony z aresztu po tym, jak rodzice dziewczynki nieoczekiwanie odmówili złożenia zeznań. Pewnie biuro prokuratora okręgowego już cię o tym powiadomiło, ale czasami zdarza im się zwlekać, dlatego chciałem się upewnić, że wiesz.

– Nie ty pierwszy mi o tym mówisz. Ten gość to skończony idiota i nieudacznik. Nie potrafi jednocześnie iść i żuć gumy.

– Nawet niezgule może się udać zadziwiający wyczyn. Radzę ci, uważaj na swój tyłek.

– Namaluję sobie na nim tarczę strzelniczą, żeby Monroe miał mniejszy kłopot z celowaniem – ze śmiechem odparł Jon. – W każdym razie dzięki za ostrzeżenie.

– Nie ma sprawy. Nadal interesujesz się piłką nożną?

– Nie bardzo. Cały wolny czas pochłaniają mi gry wideo.

– Tak słyszałem. – Marquez zamilkł na chwilę.

– Pomogłeś wojownikowi z dziesiątego poziomu zdobyć torbę, żeby mógł wnieść łup do Sawann.

– Co?! Skąd wiesz?

– To była jedna z moich postaci. – Marquez zachichotał. – Widzisz? Nigdy nie wiesz, z kim grasz.

– To mi coś przypomniało. Wiesz, że mały szwagier mojego brata też w to gra? Ma rycerza śmierci osiemdziesiątego poziomu. – Jon podał imię postaci.

– Dobry Boże, kilka miesięcy temu walczył razem ze mną na przystani

na Mrocznym Wybrzeżu przeciwko Hordzie, zanim została unicestwiona!

– Jest niesamowity.

– Powiem wprost: ocalił mi tyłek. W tej grze nigdy nic nie wiadomo, prawda?

– Dlatego jest taka ekscytująca. – Jon zawahał się, a potem zapytał: – Zamierzasz się kiedyś ożenić?

– I kto to mówi! Czy ostatnim razem nie byłeś na randce z obrończynią z urzędu, która umówiła się z tobą tylko po to, żeby wyciągnąć informacje i uratować swojego klienta?

– Tak. – Twarz Jona stężała.

– Powinna lepiej wybrać. Chyba była dla ciebie trochę za młoda.

– Ma dwadzieścia dwa lata, a ja trzydzieści... prawie trzydzieści jeden.

To nie taka wielka różnica.

– Różnica pokolenia – odparował rozbawiony Rick. – Ale miała w tym ukryty cel.

– Za ten numer omal nie pozbawiono jej uprawnień adwokackich.

– Przynajmniej nie kazałeś wyprowadzić jej z twojego gabinetu w kajdankach.

– Ta kobieta to call girl – burknął Jon. – Nie mogę ci nawet powiedzieć, co zrobiła, i to w moim cholernym gabinecie! A wszystkiemu jest winna moja matka.

– Przeklinanie w urzędzie federalnym jest niestosowne i mogłoby pana narazić na krytykę ze strony zwierzchników – dobiegł go ze słuchawki beztroski głos Joceline.

– Przestań podsłuchiwać! – wrzasnął Blackhawk.

– A podnoszenie głosu to z kolei naruszenie zasad dobrego wychowania – dodała słodziutko.

– Joceline! – warknął ostrzegawczo.

– Przyszedł obrońca z urzędu i chce z panem porozmawiać. – Gdy Jon milczał, a Marquez chichotał, dodała równie jak on rozbawiona: – Och, nie tamta obrończyni. To mężczyzna, w dodatku całkiem przystojny.

Dlaczego ta uwaga tak rozdrażniła Jona?

– Spotkam się z nim za chwilę. Zaprowadź go do stołówki i pokaż mu dzbanek z kawą.

– To byłoby zbyt uciążliwe – odparła niefrasobliwie Joceline. – Jak pan doskonale wie, takie czynności nie należą do moich obowiązków. – Odłożyła słuchawkę.

Blackhawk walnął dłonią w blat biurka.

– Pewnego dnia każę cię powiesić na maszcie! – warknął.

– Proszę się opanować – powiedziała, wtykając głowę w drzwi. – Zniszczy pan politurę. Poprosiłam agenta Barry’ego, żeby zaprowadził pańskiego gościa do źródła kawy. – Widać było po niej, że jest z siebie bardzo rada. – Najwyraźniej agencji nie mają nic przeciwko parzeniu kawy. Czy to należy do zakresu waszych obowiązków?

Jon z groźnym błyskiem w oczach zwinął w rulon jakieś czasopismo i zważył je w dłoni.

– Napaść z użyciem. śmiercionośnej broni...! – Joceline z trzaskiem zamknęła drzwi.

– Magazyn poświęcony grom komputerowym nie jest śmiercionośną bronią!

– Być może, ale takie magazyny są niezgodne z polityką agencji...

Blackhawk rzucił wiązaną przekleństw.

– Ależ proszę pana! – zawołała zgorszona Joceline.

Na drugim końcu linii telefonicznej Marquez zaśmiewał się do

rozpuku.

– Kiedyś wyleję jej na głowę mój lunch – mruknął Jon.

– Postaraj się, żeby to było coś smacznego – usłużnie doradził Marquez. – Nie będę ci dłużej przeszkadzał w tych potyczkach. Chciałem się tylko upewnić, czy wiesz już, że Harold Monroe jest na wolności.

– Naprawdę bardzo ci dziękuję.

– Hej, a od czego są przyjaciele? Cześć. – Rozłączył się.

Jon popatrzył gniewnie na zamknięte drzwi, a potem wstał i je otworzył. Joceline siedziała przy biurku z miną niewiniątka, a na widok gniewnej twarzy szefa mocno przygryzła wargę, żeby przypadkiem się nie roześmiać.

Obrońca z urzędu, szczupły młody człowiek ze starannie ostrzyżonymi jasnymi włosami, siedł korytarzem, niosąc plastikowy kubek z czarną kawą. Ujrawszy Jona, skrzywił się.

– Nie macie tu nikogo, kto potrafiłby zaparzyć przyzwoitą kawę? – narzekał. – Tą cieczą można by czyścić z rdzy stare samochody.

– Ja umiem parzyć doskonałą kawę – oznajmiła sucho Joceline.

Gość spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Więc dlaczego pani tego nie robi?

– To nie należy do moich obowiązków, proszę pana – odparła nonszalancko. – To zbyt uciążliwe.

– Jest pani jego sekretarką i nie parzy szefowi kawy?

– Nie jestem sekretarką, tylko asystentką, a pan Blackhawk zemdlałby z wrażenia, gdybym uczyniła coś tak dziwaczego jak przyrządzenie mu kawy.

– Wcale bym nie zemdlał – zaprzeczył z oburzeniem Jon, a po chwili dodał: – Dostałbym zawału.

– Na szczęście znam się na reanimacji – oświadczyła Joceline. – Jest pan przy mnie bezpieczny.

Jon spiorunował ją wzrokiem.

– Niech pan lepiej żyje z nią w zgodzie – poradził obrońca z urzędu. – Jeżeli będzie pan nadal pił taką lurę, może pan rzeczywiście potrzebować pomocy medycznej swojej asystentki. – Skrzywił się i odstawił kubek na biurko Joceline.

– Proszę tego nie robić – zareagowała natychmiast.

– Nie ponoszę odpowiedzialności za cudze napoje. Jeśli ta kawa wyleje się na komputer, agencja będzie zmuszona obciążyć pana zwrotem kosztów.

– Jak mogłaby się wylać na komputer? – zapytał zdumiony.

Joceline przesunęła dłoń w kierunku kubka.

– Stoi w bardzo nieodpowiednim miejscu – wyjaśniła, wskazując komputer znajdujący się w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów. – Gdyby omsknęła mi się ręka...

Obrońca z urzędu z cierpką miną zabrał kubek.

– Ja nigdy... – zaczął.

– Proszę mi to dać. – Blackhawk wziął od niego kubek, poszedł w głąb korytarza i wylał kawę do doniczki z fikusem.

– Jakie to okrutne! – zawołała Joceline, kiedy Jon wrócił i cisnął pusty kubek do kosza. – Co panu zawiniła ta nieszczęsna roślina?

– Nikt jej nigdy nie podlewa, więc nie będzie się skarżyć. A ty też nie próbuj – dorzucił.

– Niestety nie znam nikogo, kto ma dojsie do stowarzyszenia niosącego pomoc maltretowanym roślinom.

– Przy moim pechu sama takie założysz – burknął Jon. – Zapraszam

do mojego gabinetu, panie... Harris, prawda? – zwrócił się do obrońcy z urzędu, otwierając drzwi.

– Bill Harris.

– Proszę usiąść. A więc jaką sprawę chce pan omówić?

Joceline była spóźniona, ponieważ musiała przepisać trzy listy, a potem sporządzić wydruki, których zażądał Blackhawk. W drukarce skończył się tusz i trwało wieczność, zanim znalazła pełny pojemnik. Potem zabrakło papieru i musiała otworzyć następny karton. Spojrzała na zegarek i skrzywiła się. Miała zaledwie dziesięć minut, by dotrzeć przed zamknięciem do ośrodka dziennej opieki. Właścicielka będzie wściekła. Już raz ją ostrzegła, żeby się nie spóźniała.

– Co się dzieje? – spytał Jon, widząc jej zdenerwowanie.

– Zostało mi dziesięć minut do zamknięcia ośrodka dziennej opieki... – zaczęła.

– Więc uciekaj. Sam dokończę. – Gdy zawahała się, ponaglił: – No, jazda!

– Dziękuję panu. – Chwyciła torebkę.

– Nie ma za co.

Zdażyła, ale zjawiała się ledwie dwie minuty przed porą zamknięcia ośrodka. Mina właścicielki ośrodka, pani Morris, była nader wymowna. Joceline niepokoiła się również tym, że skarżono się na zachowanie Markiego.

– Jeżeli jeszcze raz pani się spóźni... – zaczęła pani Norris.

– Nie zdarzy mi się – przyrzekła Joceline. – Jeśli kiedyś będę musiała zostać dłużej w biurze, załatwię, żeby ktoś odebrał chłopca.

– Pracuje pani w FBI, a tam nie mają stałych godzin, takich od do, jak w zwykłym biurze.

– To nie jest dla mnie łatwe – przyznała Joceline.

– Za bardzo zależy mi na tym etacie, żeby odrzucać nadgodziny. W sytuacjach kryzysowych oczekuje się ode mnie, że będę dyspozycyjna, no i są to dodatkowe pieniądze.

– Przed wielu laty mój mąż był agentem federalnym– nieoczekiwanie oświadczyła pani Norris. – Musiał zawsze być gotowy na wezwanie.

– Z pewnością dla pani to również było trudne. Znam żony kilku agentów, w tym także żonę naszego agenta specjalnego. Bardzo się niepokoją, kiedy wypełniamy niebezpieczne zadania.

– Tak, wiem coś o tym – odparła z uśmiechem.

– W ogóle nie było lekko. Miałam dwoje dzieci i brakowało nam pieniędzy na umieszczenie ich w ośrodku dziennej opieki, toteż nie pracowałam, tylko zajmowałam się nimi. Kiedy poszły do szkoły, też nie mogłam znaleźć dla nich ośrodka, na który byłoby mnie stać, a na pół etatu nic nie znalazłam, zatem otworzyłam własny. Miałam więc pełnoetatową pracę i dzieciaki na oku.

– Rozsądne rozwiązanie – rzekła z uśmiechem Joceline.

Pani Norris skinęła głową i odetchnęła głęboko.

– Jeśli będzie musiała się pani znowu spóźnić, tak jak dzisiaj, proszę do mnie zadzwonić. Znam dziewczynę, która zrezygnowała z pracy u mnie, żeby wychowywać własne dzieci. Bardzo chętnie zaopiekuje się Markiem i odbierze go za panią. Chce pani jej numer telefonu?

– Tak – odpowiedziała Joceline bez wahania, zastanawiając się jednocześnie, skąd weźmie na to pieniądze.

Pani Norris zapisała numer i podała kartkę Joceline.

– To nie będzie kosztować majątku – zapewniła z uśmiechem.

– Opłaty u pani też są bardzo umiarkowane.

– To dlatego, że kiedyś nie stać mnie było na korzystanie z ośrodka dziennej opieki. Dlatego swój zorganizowałam w taki sposób, by był dostępny dla ludzi o skromnych dochodach.

– Jestem pani ogromnie wdzięczna – rzekła Joceline. – Mam ostatnio wiele wydatków i z trudem wiążę koniec z końcem.

– Mogłaby pani poprosić tego swojego przystojnego szefa o podwyżkę.

– Skąd pani wie, że jest przystojny? – spytała zdziwiona Joceline.

– Jego zdjęcie ukazało w gazecie po tym, jak wraz z drugim agentem wytropił i pojmał handlarza żywym towarem. To wstrętne, jak niektórzy potrafią dla zysku krzywdzić nieszczęsnych bezradnych ludzi. Mój Boże, umieszczać małe dzieci w burdelach... – Urwała.

– Przepraszam, ale nienawidzę osobników, którzy wykorzystują dzieci. Mam na tym punkcie obsesję. Zaraz przyprowadzę Markiego.

Wyszła i po paru chwilach wróciła z chłopcem, który wyciągnął rączki do Joceline i zawołał radośnie:

– Mamusiu! Panna Ellie nauczyła mnie rysować ptaka! Powiedziała, że naprawdę dobrze mi wyszedł!

– Będziesz musiał koniecznie mi pokazać. A teraz pożegnaj się z panią Norris.

– Dobranoc, pani Norris – powiedział posłusznie Markie i uśmiechnął się do niej, a potem przytulił się do matki.

– Dziękuję pani – rzekła Joceline.

– Nie ma za co. – Urwała na moment. – Mężczyźni nie mają pojęcia, jak trudno żyje się pracującym kobietom.

– Wcale nie – odrzekła szybko Joceline. – Są wyjątki...

– Fajnie się bawiłem! – oznajmił Markie, gdy znaleźli się już w

małym, skąpo umeblowanym mieszkaniu i Joceline zamknęła drzwi na trzy zamki.

– Muszę pokazać ci moje rysunki! – Wręczył matce kartonową teczkę.

Kompletnie wyczerpana Joceline usiadła i otworzyła ją bez entuzjazmu, jednak to, co zobaczyła, wzbudziło jej szczerzy podziw.

– Markie! – wykrzyknęła. – Sam to narysowałeś?

– Tak! Zobaczyłem tego ptaka na dworze. To jest...

– ... szczygieł – dokończyła za synka, przyglądając się podobnie małego samczyka o żółtych piórkach z czarnymi cętkami. W zimie upierzenie tych ptaszków zmienia barwę z żółtej na matową zieleń, charakterystyczną dla samiczek.

– Lubisz ptaki. – Malec oparł się o kolana matki oglądającej rysunki.

– Masz o nich mnóstwo książek.

I masz lornetkę. – Potarł głową o ramię Joceline. – Czy mogę znowu przez nią popatrzeć? Chcę zobaczyć, czy te ptaszki są koło naszego domu.

– Prawdopodobnie nie ma tu szczygłów. – Nie stać jej było na specjalną, skandalicznie drogą mieszankę złożoną z ulubionych nasion tych ptaków.

– Mogłabyś upiec dla nich trochę chleba – powiedział Markie. – Naprawdę dobrze gotujesz.

– Dziękuję, kochanie. – Pochyliła się i pocałowała jego gęstą, czarną czuprynę.

– Lubię naleśniki. Moglibyśmy je zjeść?

Spojrzała na jego zaróżowione policzki, wielkie oczy, uroczą minę. Markie był całym jej życiem. Zadziwiające, jak bardzo je zmienił od pierwszej chwili, gdy na niego spojrzała.

– Tak – odpowiedziała, jak zwykle chcąc mu dogodzić. Zapewne nawet z tym przesadzała. – Naleśniki, bekon i syrop klonowy. To będzie dziś na obiad, ale tylko dlatego, że jestem bardzo zmęczona.

Chłopiec rozpromienił się w uśmiechu.

– Dzięki, mamusiu!

– Proszę bardzo.

Inne obrazki również przedstawiały ptaki. To były tylko szkice, ale zapowiadały wielki talent chłopca, który należy rozwinąć. Jeśli Markie nie straci pasji do rysowania, będzie musiała znaleźć dla niego nauczyciela.

Co oznacza kolejny wydatek, a pod koniec każdego tygodnia nie miała już nawet centa. Westchnęła, a potem powiedziała sobie, że przynajmniej ma Mar– kiego. To wystarczy jej za wszystko.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obrońca z urzędu Bill Harris starał się znaleźć pracę swojemu klientowi. W zasadzie nie leżało to w zakresie jego obowiązków, ale ów klient, zaledwie dwudziestoletni młody człowiek, miał żonę i dziecko. Zarzucono mu obrabowanie banku, toteż znalazł się w orbicie zainteresowania FBI. Został aresztowany, oskarżony, postawiony przed sądem, uznany za winnego, skazany i osadzony w więzieniu. Obecnie przebywał na zwolnieniu warunkowym za dobre sprawowanie dzięki kilku spektakularnym posunięciom prawnym adwokata. Jego sprawą zajmował się Jon Blackhawk.

– Pewnej nocy upił się z kilkoma kumplami, którzy rano napadli na oddział banku tuż po jego otwarciu – powiedział Harris, bawiąc się serwetką w restauracji, do której zaprosił Jona na obiad. – Dostał wyrok w przedziale od pięciu do dziesięciu lat, chociaż przez cały czas spał na tylnym siedzeniu samochodu.

– Sporo – stwierdził Jon.

– To moja pierwsza poważna sprawa – wyznał młody adwokat. – Chcę ją dobrze rozegrać. – Oczy błysnęły mu gniewnie. – Nadużywanie środków odurzających powoduje tak wiele problemów w naszym społeczeństwie.

– Kiedyś próbowano zakazać spożywania alkoholu – przypomniał Jon.

– Owszem, z ciekawym rezultatem. Jedynymi, którzy wzbogacili się podczas prohibicji, byli gangsterzy.

– Tak zwykle bywa, gdy coś się delegalizuje. Czy to pierwsze

przestępstwo pańskiego klienta?

– Tak. – Przerwał na moment. – Wcześniej uczył w szkółce niedzielnej.

– Znam pastora, który był zamieszany w morderstwo – skomentował kpiąco Blackhawk.

– Wiem, co pan ma na myśli, ale ten chłopak do tego okropnego zdarzenia żył bardzo przykładowie. Rozmawiałem z jego krewnymi i przyjaciółmi, a także z byłymi nauczycielami, którzy za niego poręczyli.

– Zadał pan sobie mnóstwo trudu.

– Owszem. I robiłem to w wolnym czasie. Wierzę w tego chłopaka i chcę mu pomóc. Jeśli zdołam znaleźć mu pracę i przekonać go, żeby trzymał się z daleka od swoich tak zwanych przyjaciół, którzy również wyszli na zwolnienie warunkowe, to może mu się udać. Ma trzyletnie dziecko i uroczą młodą żonę, która go uwielbia.

– Rzeczywiście smutny przypadek – rzucił niezobowiązująco Jon.

Słyszał już tak wiele podobnych historii, że na nie zobojętniał. Zazwyczaj kończyły się źle, jednak nie zamierzał tego mówić naiwnemu, lecz pełnemu pasji młodemu adwokatowi. Idealizm zawsze zasługuje na szacunek.

– Chłopak mieszka w Jacobsville – ciągnął Harris.

– Pomyślałem, że ponieważ pański brat pracuje tam z Cashem Grierem, może zechciałby porozmawiać z tamtejszym kuratorem sądowym i wstawić się za moim klientem. Rozumie pan, wspomnieć kuratorowi, że chłopak dostał się w złe towarzystwo, i dopilnować, by zerwał z nim na dobre – powiedział z nadzieją. – Porządna reprimenda na samym początku zwolnienia warunkowego też mogłaby się przydać.

– Dobrze, poproszę brata.

Harris rozpromienił się.

– Dziękuję! Naprawdę jestem panu wdzięczny.

– Żaden z nas, funkcjonariuszy ochrony prawa, nie lubi patrzeć, jak ktoś marnuje sobie życie wskutek jednego popełnionego błędu. Jednakże – dodał z powagą – jeśli on znowu naruszy prawo, nie kiwnę dla niego palcem, choćby pan nie wiem jak mnie błagał.

– Wiem.

Jon uśmiechnął się raczej smętnie. Owszem, porozmawia z bratem, był jednak pewien, że ta sprawa źle się skończy.

– Ten gość to urodzony nieudacznik – powiedział zgodnie z przewidywaniem Mac, kiedy Jon do niego zadzwonił. – Jeśli okazał się na tyle głupi, by dać się wciągnąć w przestępstwo, dostał to, na co zasłużył. Jest bezwolny, podatny na wpływy i nie potrafi trafnie ocenić ludzi.

– Też tak sędzę, ale obiecałem Harrisowi, że poproszę cię o interwencję. Gdyby udało się odciągnąć chłopaka od dawnych kumpli, to już byłoby coś. Naturalnie możesz odmówić. To nie mój problem.

– Chyba mógłbym porozmawiać z Grierem – nie kryjąc niechęci, odparł Mac. – Ale jeżeli ten klient Harrisa znów wpakuje się w kłopoty, gorzko tego pożałuje. Osobiście dobiore mu się do skóry.

– Ja też. Dzięki.

– Dlaczego sam dzwonicz? – zapytał Kilraven.

– Czy twoja asystentka już nawet nie załatwia za ciebie telefonów?

– Dziś rano nie przyszła do pracy – wyjaśnił Jon zatroskanym tonem.

– Nawet nie powiadomiła biura. To do niej niepodobne.

– Dzwoniłeś do jej mieszkania?

– Tak, ale nikt nie odebrał.

– Dziwne... Czy ma jakichś wrogów?

Jon mimo woli się roześmiał.

– Nie przypuszczam, by wsadzono ją do worka i utopiono w rzece, jeśli to masz na myśli.

– Wybacz, ale chyba już za długo pracuję w tym zawodzie.

– Witamy w klubie – rzekł Jon, po czym zmienił temat: – Czy ty i Winnie wpadniecie do mnie w piątek wieczorem na kolację?

– Chętnie, o ile nie przyjdzie Cammy.

– Winnie ją lubi.

– Wiem, ale niedawno musieliśmy wysłuchać tyrady Cammy na temat jej nowej kandydatki do zdobycia twojego serca. Będzie nadal o tym perorować, a nie chcemy być świadkami waszej kłótni.

– Nie zaprosiłem jej, jeśli chcesz wiedzieć – poinformował rozbawiony Jon.

– W takim razie możesz nas oczekiwać. Winnie robi kanapki. Nie prosiłem jej o to, sama zaproponowała.

– Jestem zdumiony, że pomimo zaawansowanej ciąży ciągle jeszcze może krzątać się w kuchni – oświadczył Jon. – Cammy, wnioskując z rozmiarów brzucha, zawyrokowała, że to będzie chłopiec.

– Mało kto zna się na porodach tak dobrze jak Cammy. Będziemy około szóstej.

– A zatem do zobaczenia.

Jon odłożył słuchawkę. Nie chciał tego po sobie pokazać, ale niepokoił się o Joceline. W tych rzadkich przypadkach, gdy nie zjawiała się w pracy, zawsze dzwoniła do biura. Musiało zająć coś poważnego. Natychmiast przyszedł mu na myśl jej synek.

Podniósł słuchawkę i zaczął obdzwaniać szpitale.

Joceline nerwowo chodziła po poczekalni. Wzięła robótkę na drutach,

ale nie potrafiła się skupić na mozolnej pracy. Markie dostał okropnego ataku, najgorszego ze wszystkich dotychczasowych. Próbowwała wejść do gabinetu razem z chłopcem, ale lekarz dyżurny i pielęgniarka wygonili ją możliwe najprzejmiej, wyjaśniając, że muszą zrobić badania.

Odchodzącej niemal od zmysłów Joceline niełatwo przyszło zostawić synka, który wyglądał, jakby zaraz miał się udusić. Markie był całym jej życiem. A jeśli tym razem umrze? Jeśli nie zdołają go uratować...?

– Joceline.

– Och... – Drgnęła, usłyszawszy za plecami głos szefa, i odwróciła się gwałtownie.

– Domyśliłem się, że musiało się wydarzyć coś okropnego – wyjaśnił.

– To niepodobne do ciebie, żeby nie zadzwonić, jeśli nie możesz przyjść do pracy.

– Chodzi o Markiego – rzekła z głębokim westchnieniem. – Dostał okropnego ataku, najgorszego, jaki widziałam. – Skrzyżowała ramiona na drobnych piersiach. – Teraz go badają.

Przynajmniej miała dobre ubezpieczenie zdrowotne z pracy, zdawała sobie jednak sprawę, że nie pokryje ono wszystkich kosztów leczenia, nie wiedziała też, z czego zapłaci kolejną miesięczną ratę i wszystkie inne rachunki.

– Jaki atak? – zapytał powtórnie Jon.

Była tak zdenerwowana, że za pierwszym razem go nie usłyszała.

– On ma astmę – odpowiedziała zgnębiona. – Wiosną i na jesieni łapie przeziębienia i infekcje dróg oddechowych, czasem zapalenie płuc. Bierze najnowsze skuteczne lekarstwa na swoje schorzenie. Co tydzień dostaje też zastrzyk przeciwko alergii. Ale po prostu ma słabe płuca. Dotąd nigdy atak nie był tak nagły i gwałtowny. Bałam się, że nawet nie zdążę go

tu przywieźć...

- Urwała, przygryzła usta i odwróciła wzrok.
- Czy znajduje się pod opieką specjalistów?
- Tak. Pulmonolodzy, alergolodzy, pełen zestaw.
- Westchnęła. – A ja nigdy nie paliłam – dodała żalnym tonem.

Zastanawiał się, jak Joceline daje radę opłacać wszystkich tych lekarzy. Stanowiłoby to znaczne obciążenie finansowe dla każdego, a zwłaszcza dla skromnie zarabiającej samotnej matki. Zdawał sobie sprawę, że leczenie dziecka z zaawansowaną astmą musi mnóstwo kosztować. Cammy wspomniała mu kiedyś, że w dzieciństwie miał kłopoty z układem oddechowym. Nadal cierpiał na alergię.

Joceline popatrzyła z niepokojem w kierunku drzwi oddziału nagłych wypadków. Wszedł stamtąd lekarz w białym kitlu ze stetoskopem na szyi.

– To doktor Wagner – wyjaśniła, ruszając ku niemu. – Nasz lekarz rodzinny.

Wysoki, chudy mężczyzna uśmiechnął się do niej.

– Wszystko w porządku, Joceline, twój synek czuje się już dobrze. Wkrótce dostaniemy wyniki badań. Nie zamartwiaj się tak – dodał łagodnym tonem. – Jest bardzo duże prawdopodobieństwo, że z wiekiem astma minie, a zastrzyki podziałają i zmniejszą alergię. Potrzeba tylko czasu.

Joceline odetchnęła.

– Bardzo pilnuję, żeby w chłodne dni nosił kurtkę, a płaszcz przeciwdeszczowy, kiedy pada – powiedziała cicho. – Ale on ściąga je, gdy tylko zniknie mi z oczu. Wczoraj rano lał zimny deszcz, a Markie wyszedł pobawić się na dworze bez płaszcza i nie powiedział mi o tym aż do dzisiejszego ranka, gdy tuż po obudzeniu zaczął się dusić.

Doktor Wagner zachichotał.

– Nie obwiniaj się – pocieszał ją z uśmiechem.

– Markie żałuje, że to zrobił, zresztą bardziej dlatego, że cię zdenerwował, niż ze względu na siebie. Jak na swój wiek jest nadzwyczaj czuły i wrażliwy.

– W szkole koledzy często mu dokuczają, ponieważ nie potrafi biegać tak jak inni i zaraz dostaje zadyszki – powiedziała przybita Joceline. – A także dlatego, że musi dostawać zastrzyki przeciwko alergiom. Dlaczego dzieci są takie złośliwe i okrutne?

– Dlaczego znęcają się nad słabszymi? – odrzekł doktor Wagner. – Cóż, tak bywa. Żałuję, że nie można rozwiązać tego problemu. Obecnie, kiedy tak powszechne jest nękanie przez internet, prześladowane dzieci nie są bezpieczne nawet we własnym domu.

– Powinno się częściej karać sędownie takie występki – mruknęła Joceline.

– Też tak uważam – poparł ją Jon.

Lekarz popatrzył na niego z zaciekawieniem.

– To mój szef – wyjaśniła pośpiesznie Joceline, żeby doktor przypadkiem sobie czegoś nie pomyślał.

– Starszy agent Jon Blackhawk.

Doktor Wagner uściskał mu dłoń.

– W młodości sam chciałem wstąpić do FBI – oświadczył. – Ale ojciec pragnął, żebym studiował medycynę. – Roześmiał się. – Myślę, że w gruncie rzeczy miał rację. W mojej rodzinie od czterech pokoleń mamy lekarzy. Nie chciałem złamać tej tradycji.

– Na szczęście dla nas – rzekła Joceline. – Dziękuję, że tak wspaniale opiekuje się pan Markiem.

– Mówiłem ci, że kiedyś będziesz zadowolona z decyzji, którą podjęłaś

– powiedział z zagadkowym uśmiechem.

– Już teraz jestem zadowolona, bardziej niż kiedykolwiek, pomimo kłopotów – odrzekła ze znużonym uśmiechem.

– Może pójdziecie coś zjeść? – poradził Wagner.

– Gdy wrócicie, chłopca można już będzie zabrać do domu.

– Na pewno nie będą chcieli go zatrzymać? – upewniła się zaniepokojona Joceline.

– Och, nie sędzę. Musimy tylko mieć pewność, że stan Markiego się ustabilizował, i zacząć podawać mu nowy antybiotyk. Pojawiły się też nowe inhalatory, w tym przeznaczone specjalnie dla dzieci. Rezultaty są naprawdę doskonałe. Powinnaś porozmawiać o tym z alergologiem.

Joceline ciężko westchnęła. Alergolog już zaproponował jej ten inhalator, którego koszt wynosi ponad sto dolarów miesięcznie. Przy jej zarobkach, nawet z dobrym ubezpieczeniem zdrowotnym, to była fortuna. Ale może napisze do firmy farmaceutycznej i poprosi o zniżkę. W przeszłości to się już udawało.

– Dzięki Bogu, że stan Markiego się poprawi – powiedziała.

– Miło było mi pana poznać, agencie Blackhawk. Do widzenia. – Doktor Wagner odszedł.

– Sympatyczny ten doktor – zauważył Jon.

– Tak, mamy szczęście, że na niego trafiliśmy. Wspaniale opiekuje się Markiem.

Jon przyjrzał się przenikliwie Joceline, zastanawiając się, czego konkretnie dotyczyła wzmianka lekarza o podjętej przez nią decyzji.

Znużona i otepiała z niewyspania palnęła bez zastanowienia:

– Ojciec chłopca i ja byliśmy jedynie dobrymi przyjaciółmi, aż pewnego dnia za dużo wypiliśmy i... potem urodził się Markie. – Gdy

Blackhawk tylko patrzył na nią w milczeniu, umknęła wzrokiem, mówiła jednak dalej: – Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo on był... – „naćpany”, chciała powiedzieć, lecz ugryzła się w język – ... pijany i nieświadomy tego, że nie mam żadnego doświadczenia z mężczyznami.

– Zawahała się. – Nie byłam pewna, jak by zareagował na wiadomość o nieplanowanym dziecku. Ale teraz Markie jest całym moim światem – zakończyła z uśmiechem, lecz głos jej się załamał.

– Nie masz łatwego życia – rzekł cicho Jon.

– Nikomu nie jest łatwo. Każdy po prostu robi to, co konieczne, i stara się dalej żyć. Kocham mojego syna. Muszę przywyknąć do myśli, że Markie już zawsze będzie nieślubnym dzieckiem. – Podniosła wzrok na Jona. – Choć i tak sprawia mi to ból, mimo że staram się stworzyć tradycyjny rodzinny dom. Ale to wszystko nie jest winą Markiego.

– Oczywiście, że nie.

Wzięła z krzesła torebkę.

– Zjem śniadanie i zobaczę, jaką kurację zaproponują Markiemu. Nie wiem, czy będę mogła przyjść dzisiaj do pracy. Bardzo przepraszam, powinnam była zadzwonić.

– Martwiłem się o ciebie, Joceline. Weź wolny dzień, a jeśli jutro nie będziesz mogła zjawić się w biurze, daj mi znać i po sprawie. W FBI nie karze się pracowników za to, że mają osobiste kłopoty – powiedział z miłym uśmiechem.

– Dziękuję. – Również się uśmiechnęła.

– Czy ojciec Markiego żyje?

– Nie wiem – wyjąkała zaskoczona tym pytaniem, zastanawiając się rozpaczliwie, jak zakończyć rozmowę.

– Wspomniałaś, że służył w armii i stacjonował zagranicą.

– Tak... rzeczywiście... – Odwróciła wzrok.
– Uznano go... ee... za zaginionego podczas akcji bojowej.
– To straszna tragedia.
– Tak... Dziękuję, że pan przyszedł. – Zdołała już zapanować nad sobą. – Nie wiem nawet, jak udało się panu nas odnaleźć.
– Nadużycie władzy – zażartował. – Potrafię w razie potrzeby wykorzystać swoją pozycję.

– Szeffie, ależ to nieetyczne – udała zgorszenie.

Wzruszył ramionami.

– Zapewne tak, choć nie ja ponoszę winę. To efekt demoralizującego wpływu mojego brata.

Joceline roześmiała się, zerkając przy tym na wielki zegar na ścianie poczekalni.

– Za dziesięć minut ma pan w gmachu sądu spotkanie z szeryfem w sprawie porwania w Oklahomie!

– zawołała, mając na myśli śledztwo, w którym agent z innego biura terenowego FBI poprosił Jona Blackhawka o pomoc. – Nie zdąży pan!

– Postaram się przejechać na zielonych światłach, a nie czerwonych – obiecał z rozbawieniem.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma za co. Zobaczymy się jutro?

Joceline przytaknęła, a potem patrzyła za odchodzącym Jonem. Zaskoczyło ją, że zadał sobie trud, by ją odszukać, kiedy nie zjawiła się w biurze. I naprawdę się o nią zaniepokoił. Ta myśl sprawiła jej przyjemność, lecz szybko ją odepchnęła. Matka Jona jej nie cierpi. Joceline dowiedziała się już, co Cammy Blackhawk o niej myśli. Bardzo ją to bolało, a także podziało jak zimny prysznic. Powiedziała sobie jednak, że tak naprawdę

nie powinna tym się zamartwiać. Ma synka, którego stan zdrowia wkrótce się poprawi, i tylko to ma znaczenie. Tylko to.

– Mamusiu, naprawdę przepraszam, że chodziłem po deszczu – powiedział ze skruchą Markie, kiedy wrócili do małego mieszkanca. – Bardzo lubię deszcz – dorzucił smętnie.

– Wiem, skarbie, ale twoje płuca go nie lubią – próbowała mu wyjaśnić, na czym polega problem.

– A ty nie lubisz być chory.

– Och, nie lubię. I nie lubię cię denerwować.

– Przytulił się do Joceline. – Tak bardzo cię Kocham, mamusiu!

– Ja też cię Kocham, koteczku. – Uścisnęła go mocno.

– Następnym razem włożę płaszczyk, obiecuję. Lecz oboje wiedzieli, że to nieprawda. Po prostu muszę go lepiej pilnować, pomyślała. Doktor powiedział, że Markie jest nieodporny na infekcje, a właśnie dlatego, że przemókł, zaatakował go wirus. Dla zdrowego dziecka nie byłoby to groźne, jednak organizm Markiego reaguje inaczej.

Alergolog zmienił chłopcu kurację. Joceline zadzwoniła do firmy farmaceutycznej, wyłożyła swoją prośbę i ku jej uldze zgodzono się sprzedać inhalatory za drobną część ceny detalicznej. Ucieszyła się też bardzo, że lekarstwo zadziałało w widoczny sposób, dzięki czemu stan Markiego poprawił się i ustabilizował. Dla chłopca miało to ten skutek, że musiał pójść do szkoły, co uczynił bardzo niechętnie. Joceline odbyła długie rozmowy z jego nauczycielem, z właścicielką ośrodka dziennej opieki i z adwokatem, który uprzejmie zgodził się udzielić bezpłatnej porady. Przynajmniej na jakiś czas zdołano zapanować nad kolegami Markiego, i wreszcie przestali mu dokuczać. Ale nauczyciel oznajmił, że chłopiec podczas lekcji jest roztargniony. Umówił się z Joceline na kolejne spotkanie,

żeby omówić tę sprawę.

Markie czuł się lepiej, więc Joceline się uspokoiła. Wciąż jednak nie zostały zdiagnozowane przyczyny problemów dotyczących zachowania chłopca. Joceline nie wiedziała, co zrobić. Mógł tutaj pomóc tylko lekarz rodzinny. Zwróciła się do niego, a on zgodził się z nią, że Markie może cierpieć na zespół nadpobudliwości psychoruchowej. Obiecał, że zbierze informacje o stosownych lekach i zastanowi się nad wyborem odpowiedniej kuracji.

Szło jej w biurze całkiem dobrze, ale tylko do momentu, gdy do środka wpadła Cammy Blackhawk. Spojrzała na Joceline z jawną odrazą, jak na dziwkę, po czym oznajmiła wyniośle:

– Chciałabym zobaczyć się z synem.

Rzecz jasna Joceline po latach praktyki wiedziała doskonale, jak sobie radzić z nieuprzejmymi, opryskliwymi gośćmi, dlatego odparła z nad wyraz chłodnym uśmiechem:

– Oczywiście, proszę pani. Może zechce pani usiąść w naszej nowoczesnej i funkcjonalnie zaprojektowanej poczekalni? – Gdy Cammy zamrugła zaskoczona, Joceline podniosła słuchawkę i powiedziała: – Proszę pana, przyszła pani Blackhawk.

Jon natychmiast stanął w drzwiach i spojrzał z niekłamaną troską najpierw na asystentkę, potem na matkę.

– Witaj – rzekł do niej.

Cammy popatrzyła z zakłopotaniem na asystentkę, a następnie przeniosła wzrok z powrotem na syna.

– Chcę, żebyś przyszedł do mnie dziś wieczorem na kolację – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Organizuję soirée...

– Soirée? – powtórzył zaskoczony Jon.

– To francuskie słowo – natychmiast przyszła mu w sukurs Joceline. – Oznacza skromną, niezobowiązującą kolację.

– Wiem, co to znaczy! – burknął.

Gdy w odpowiedzi zasalutowała mu żartobliwie, Jon przewrócił oczami, po czym powiedział stanowczym tonem:

– Cammy, nie będę mógł przyjść. Jem dziś kolację z McKuenem i Winnie.

– Nie nazywaj mnie Cammy! Jestem twoją matką! – rzekła zrzędlawie.

– Poza tym nie mam najmniejszej ochoty, by ktoś w trakcie posiłku zalewał mnie informacjami o najnowszych trendach mody – dodał, nie kryjąc rozdrażnienia.

– Mnóstwo ludzi kupuje specjalistyczne czasopisma, by wiedzieć, co nowego w modzie – z entuzjazmem wtrąciła się Joceline.

– Pozwolisz? – fuknęła na nią Cammy. – Próbuję porozmawiać z moim synem!

Joceline również i jej zasalutowała z uśmiechem, po czym zaczęła stukać w klawiaturę komputera.

– Wejdz. – Jon wciągnął matkę do gabinetu i zamknął drzwi. – Powtarzam po raz ostatni, że nie chcę jeść kolacji z następną panną, którą sobie upatrzyłaś na synową! – oznajmił ze złością.

– Ależ Jon, to naprawdę miła dziewczyna...

– Nie chcę się żenić! – Jego zwężone oczy błysnęły groźnie. – Winnie jest w ciąży. Może idź do niej i zasyp ją macierzyńskimi radami.

– Dostaje je od swojej matki. – Cammy odwróciła wzrok. – Nie jestem jej potrzebna.

– Więc zacznij przysposabiać McKuena do roli ojca – zaproponował złośliwie.

Jednak Cammy nie wychwyciła złośliwości, natomiast odparła z jawną pretensją w głosie:

– To niemożliwie, bo zawsze odwołują go od telefonu, a kiedy próbuję odwiedzić McKuena w biurze, nigdy go nie ma.

– Jesteś jak czołg – stwierdził. – Uważasz, że nikt nie będzie wiedział, jak żyć, jeśli go nie poinstruujesz.

– Po prostu staram się pomóc – wyjaśniła z irytacją.

– Powinnaś była mieć więcej dzieci – odparował.

– To syndrom pustego gniazda. Czujesz się samotna i znudzona.

– To ty jesteś całkiem samotny – rzekła ze smutkiem. — Co się z tobą stanie, kiedy umrę?

– A zamierzasz umrzeć? – spytał z niepokojem.

Umknęła wzrokiem, zaraz jednak rzuciła dziarsko:

– Och, nie bądź głuptasem! Zależy mi tylko na tym, żebyś stał się szczęśliwym człowiekiem, mając u boku kochającą żonę, tak samo jak McKuen.

– Gdyby to od ciebie zależało, mój brat nigdy nie poślubiłby Winnie – wypomniął surowo matce.

– Uważałaś, że chodzi jej tylko o jego pieniądze.

– Cóż, błędnie ją osądziłam – przyznała mocno zakłopotana. – Ale ty potrzebujesz właśnie tej miłej dziewczyny, którą ci znalazłam. Jest wesoła i towarzyska, zawsze modnie ubrana i zna wielu ludzi na wysokich stanowiskach.

– Ja też.

– Musisz założyć rodzinę. Nawet nie umawiasz się z żadną kobietą. Była wprawdzie ta adwokatka...

– Zadumała się na moment. – Ale czy nie próbowała tylko wyciągnąć

z ciebie informacji o swoim kliencie?

Jon nie lubił, by mu o tym przypominano.

– Umawiam się, kiedy mam ochotę – burknął.

– Owszem, tylko że nigdy nie masz ochoty! – zripostowała Cammy. – Powinieneś mieć dzieci, żeby się z nimi bawić, dopóki jesteś jeszcze dostatecznie młody!

– Nie jestem żonaty, Cammy – rzekł z anielską cierpliwością.

– Zauważyłam!

– Prowadzę nieuregulowane, chaotyczne życie, a większość kobiet tego nie akceptuje.

– Charlene jest piękna i bardzo tolerancyjna.

– Wcale nie! Powiedziała, że musiałbym zrezygnować z gier komputerowych.

– I ma rację, bo za bardzo cię pochłaniają. Gdybyś miał dzieci, wypełniałyby ci twój wolny czas.

– Czy nie masz nic innego do roboty, tylko wciąż musisz mną komenderować?! – spytał, nie kryjąc skrajnej irytacji.

– Wcale tobą nie komenderuję, chcę tylko, żebyś był szczęśliwy.

– Zmuszanie do małżeństwa to nie najlepszy sposób, by kogoś uszczęśliwić.

– Mój Boże, przecież cię nie zmuszam. – Była bliska rozpacz. – Synu, czy ty w ogóle masz jakichś przyjaciół, jakieś grono znajomych? Jakież życie towarzyskie?

– Nie potrzebuję go. Kocham swoją pracę.

– Zawsze ją kochałeś – stwierdziła ponuro Cammy. – Ty i McKuen nieustannie angażujecie się w niebezpieczne akcje! Przeszłość rzuciła mroczny cień na was obydwu.

– I na ciebie. – Pocałował matkę w czoło. – Wiem, że tęsknisz za tatą – powiedział łagodnie. – Jak my wszyscy. Zrozum jednak, że mocno przesadzasz z tym planowaniem mojej przyszłości. Po prostu pozwól, by życie toczyło się swoim rytmem. Nie możesz zmuszać ludzi do robienia czegoś wbrew ich woli.

– Polubiłbyś Charlene, gdybyś tylko dał jej szansę!

– Jesteś najbardziej upartą i apodyktyczną osobą, jaką znam – rzekł szorstko.

– A ty się irytujesz tylko z powodu słów Charlene, że będziesz musiał przestać poświęcać aż tyle czasu na gry wideo – odparowała Cammy. – Charlene ma rację!

– Nie ma.

– Niech każde z nas pozostanie przy swoim zdaniu. Tak czy owak, powinieneś częściej widywać się z ludźmi. Za wiele przebywasz w biurze w towarzystwie tej kobiety – zakończyła z jawną niechęcią.

– Joceline jest moją asystentką, do tego bardzo bystrą. Jak myślisz, kto wpadł na ślad, który pozwolił rozwiązać sprawę zamordowania córki McKuena?

– Sądziłam, że McKuen. – Zaskoczona Cammy zmarszczyła brwi.

– Nie, to Joceline wyszperała tę informację.

Widać było po Cammy, że ta wiadomość bardzo jest jej nie w smak. Z zakłopotaniem zaszurała nogami, po czym oznajmiła:

– Ona jest nieuprzejma i opryskliwa.

– Nie zauważyłem.

– I ma nieślubne dziecko.

– Zamierzała wziąć ślub, ale narzeczoną zginał żołnierską śmiercią podczas zagranicznej misji – wyjaśnił tonem usprawiedliwienia.

– Tak ci powiedziała?

– Mhm, i nie mam powodów, by jej nie ufać.

– I tylko na tej podstawie uznajesz, że to prawda? – skontrowała z zimnym uśmiechem. – Kobiety potrafią zmyślać rozmaite historyjki.

– Dlaczego jesteś do niej tak wrogo nastawiona?

Cammy pominęła to pytanie milczeniem, natomiast zaproponowała:

– Skoro nie zjawisz się dziś na kolacji, to może zjemy jutro lunch?

– Na ranczo jest kawał drogi...

– Zatrzymam się w mieście, będę w moim mieszkaniu – przerwała mu. – Przyjdziesz, prawda?

Jon pragnąłby się jakoś wykręcić, ale zarazem nie chciał odmówić Cammy. Ostatecznie była jego matką. Nie spędzał z nią zbyt wiele czasu i miał z tego powodu wyrzuty sumienia.

– Dobrze – zgodził się niechętnie. – Ale pod warunkiem, że będziemy wyłącznie my dwoje – dodał stanowczo.

– Oczywiście – odrzekła z radosnym uśmiechem.

– Tylko ty i ja.

– Ale teraz mam robotę – oświadczył, otwierając drzwi.

– Przyrządzę coś smacznego. – Uśmiechnęła się i impulsywnie uściskała syna. – Mój grzeczny chłopiec. A więc do jutra. – Ucałowała go, rzuciła chłodne spojrzenie asystentce i wyszła.

– W Bengalu urządzają pułapki na tygrysy – rzekła z zadumą Joceline.

– Chociaż trzeba by wykopać w gabinecie bardzo głęboką jamę.

Jon powtarzał sobie, że nie wybuchnie śmiechem.

Joceline usłyszała za drzwiami gabinetu stłumione parsknięcie i uśmiechnęła się promiennie.

Tego wieczoru Joceline zabrała Markiego do restauracji, w której

znajdowała się zatłoczona do niemożliwości sala gier wideo.

– Zagrajmy w tę – zaproponowała z entuzjazmem, gdy już zjedli pieczone kurze udka i wypili mrożoną herbatę. – Tutaj!

– Lubię ją – zgodził się z uśmiechem Markie.

Gra polegała na pilotowaniu myśliwców i zestrzeliwaniu samolotów wroga na olbrzymim ekranie. Ruszyli więc do boju, zaśmiewając się niepo- hamowanie. Joceline te comiesięczne wypadki sprawiały nie mniejszą przyjemność niż Markiemu. Nie miała zbyt wiele pieniędzy na błahe rozrywki, ale nie chciała, żeby jej synka omijały przyjemności, które są udziałem innych dzieci. Jak na czterolatka wykazywał się w grze zadziwiającą zręcznością i wprawą.

W pewnym momencie wyczuła za plecami jakiś ruch, po czym do boku wkroczyło troje nowych graczy. Włożyli karty w szczeliny urządzenia.

– Myślisz, że jesteś w tym taka dobra, co? – rzucił kpiąco McKuen Kilraven. – Przekonajmy się!

– Nie daj się mu zastraszyć, Joceline! – dopingowała ją stojąca obok męża Winnie Sinclair. Po wyglądzie sądząc, był to jej ostatni wypad na miasto przed wylądowaniem na porodówce. – Potrafię go zestrzelić! Ty też!

– Akurat! – zadrwił Jon Blackhawk, zajmując konsolę obok Joceline.

– Sądziłam, że jest pan u nich na kolacji. – Wskazała na jego brata i bratową.

– Dobrze sobie podjedliśmy, a potem wyszliśmy na miasto. Często tu wpadamy, uwielbiamy gry komputerowe.

– Gdybyśmy mieli większe mieszkanie, od razu bym zamówił takie urządzenie – powiedział Mac.

– Dzieciaki byłyby zachwycone.

– Wygląda na to, że twojemu synkowi podoba się ta gra – zwrócił się Jon do Joceline, gdy Markie zestrzelił kolejny myśliwiec.

– Patrzcie! Trafiłem go! – zawołał uradowany chłopiec.

– Dobry strzał. – Jon uśmiechnął się do Markiego, który odpowiedział mu tym samym.

– Pewnie dużo ćwiczysz w prawdziwym życiu, co?

– Mac mrugnął do chłopca.

– Rzadko wychodzę z domu – oświadczył Markie bardzo dorosłym tonem i spojrzał z wyrzutem na matkę.

– Nie pozwalam mu nosić publicznie broni przeciwlotniczej – podkpiwała Joceline.

– Och, mamoo... Nigdy nie mam żadnej frajdy!

– Uważaj, pikuje na ciebie wrogii myśliwiec! – zawołała Joceline. – Kupię ci najlepszą wyrzutnię pocisków rakietowych, jaką uda mi się znaleźć.

– Rany! – Markie spojrzał na nią z uwielbieniem.

– Dzięki, mamoo!

– Mój synek zasługuje na wszystko, co najlepsze – powiedziała, puszczając do niego oko.

Stłumiła zdenerwowanie spowodowane tym, że szef widzi ją z dzieckiem. Nie chciała żadnych kłopotów, a matka Jona Blackhawka wpadłaby w furję, gdyby się dowiedziała, że jej syn po pracy spędza czas w salonie gier wideo ze swoją asystentką. Lecz Joceline miała nadzieję, że taka informacja nigdy nie dotrze do Cammy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po godzinie Joceline i Markie ruszyli w kierunku wyjścia. Wyczerpali saldo na kartach do gry, chociaż Mac i Jon zasilili je w miły, taktowny sposób.

– Dziękuję – powiedziała przy drzwiach Joceline do Jona. – Markie świetnie się bawił. Ja też – dodała, lecz odwróciła przy tym wzrok.

– Dlaczego żenuje cię fakt, że lubisz to samo co ja? – skomentował oschle jej gest. – To naprawdę aż taki wstyd? – dociekał pół żartem, pół serio. – Choć właściwie czemu ja się dziwię, skoro prawie nigdy nie aprobujesz mojego postępowania. Nic, tylko docinki i krytyka.

– Powinien pan być mi wdzięczny. Ratuje pana przed kompleksem wyższości.

– Dlaczego mówisz do niego „pan”? – zapytał Markie.

– Bo jest moim szefem, kochanie.

– Tak jak dowódca żołnierzy?

– Coś w tym rodzaju.

– Mamusiu, czy on cię zwolni, jak zrobisz coś źle?

– Nigdy bym tego nie uczynił – zapewnił go Blackhawk. – A twoja mama nigdy nie zrobiła nic złego. – Zawahał się na moment. – No, nic naprawdę złego – poprawił się, rzucając jej wymowne spojrzenie.

– Wypełnianie uciążliwych zadań nie należy do moich obowiązków, proszę pana – natychmiast zareagowała na zaczepkę, okraszając te słowa milutkim uśmiechem.

– Zaparzenie przyzwoitej kawy nie jest uciążliwe – rzekł marudnym tonem.

– To zależy, jak się zdefiniuje pojęcie „uciążliwość” – odparowała.

– Naprawdę dobrze pan strzela. – Markie popatrzył znacząco na wybrzuszenie marynarki Jona. – Nosi pan broń, prawda?

– Zgadza się. Pracuję w FBI.

– Wiem. Mama bez przerwy o panu mówi.

Joceline oblała się lekkim rumieńcem.

– Musimy już iść. Jeszcze raz panu dziękuję – zwróciła się do Blackhawka. – Do zobaczenia w poniedziałek.

– Mamo... – zaprotestował Markie, gdy pośpiesznie wywlekała go za drzwi.

Mac, który przysłuchiwał się rozmowie, zerknął na brata.

– A więc ona bez przerwy mówi o tobie? No, no...

– Jestem pewien, że chłopiec miał na myśli sprawy zawodowe – odparł sucho Jon. – Joceline pracuje w agencji już od kilku lat.

– Ty też.

Jon spiorunował go wzrokiem, po czym oznajmił chłodnym tonem:

– Ona ze mną pracuje, nic więcej.

– Tak, jasne... – Rozbawiony Mac wrócił do stolika, gdzie czekała na niego Winnie.

W poniedziałek rano Jon w podłym nastroju wkroczył do biura. Joceline zjawiała się tuż przed nim i dopiero odkładała płaszcz i torebkę.

– Spóźniłaś się – mruknął.

Bez słowa wskazała zegar nad swoim biurkiem. Była punkt ósma, a więc przysła o czasie.

Blackhawk wzruszył ramionami i wszedł do gabinetu, by sprawdzić w terminarzu plan zajęć. Gdy go przeglądał, zadzwonił telefon, a po chwili zabręczał interkom.

– Tak? – spytał.

Przez chwilę Joceline milczała, aż wreszcie oznajmiła z naciskiem:

– To do pana. Dzwoni niejaki Harold Monroe.

Jon zmarszczył brwi i podniósł słuchawkę.

– Tu Blackhawk.

– Siemasz – przywitał go Monroe. – Wyszedłem i czekam na nowy proces. Oskarżają mnie o handel ludźmi. Mam świetnego adwokata.

– Gratulacje – mruknął Jon. – Przyślę ci baloniki.

– Baloniki? – spytał Monroe po krótkim milczeniu.

– Na fetę.

– Na fe... och... na fetę! – Gdy wreszcie załapał, roześmiał się.

– Coś jeszcze?

– Nie. Chciałem tylko cię zawiadomić, że wyszedłem.

– Dziękuję.

Znowu nastąpiła krótka pauza, aż wreszcie Monroe oznajmił:

– Popęniłeś błąd.

– Czyżby?

– Tak. Lepiej uważaj na siebie. Moja rodzina wyrównuje rachunki z tymi, którzy nas skrzywdzą. Zawsze. Jeszcze się spotkamy, agencie Blackhawk.

– Monroe rozłączył się.

Jon przez chwilę wpatrywał się w słuchawkę, nim ją odłożył na widełki.

– To wymaga podjęcia wszelkich środków – mruknął do siebie.

Był już przy drzwiach, gdy Joceline zawołała do niego:

– Rick Marquez prosił, żeby zajrzał pan do jego gabinetu. Powiedział, że to coś ważnego.

– O co mu chodzi? – zapytał Jon, odwracając się do niej.

Przytknęła palec do czoła i przymknęła powieki.

– Widzę góry. Drzewa. Fruwające ptaki. – Otworzyła oczy. – Ale nie jestem jasnowidzem, więc nie wiem.

– Nic nie powiedział?

– Najwidoczniej nie. – Z uśmiechem przechyliła głowę na bok. – Chciałby pan się dowiedzieć, jaka jest najmodniejsza długość spódniczek prezentowanych na pokazach mody w Mediolanie...? To nieuprzejme odwracać się plecami do ludzi, z którymi pan rozmawia! – zawołała oburzona, gdy zniknął za progiem.

A kiedy już siedział przy biurku Ricka Marqueza, oznajmił stanowczo:

– Pewnego dnia ją uduszę!

Rozbawiony Marquez oczywiście doskonale wiedział, wobec kogo agent FBI Jon Blackhawk ma aż tak radykalne zamiary.

– Nigdy nie znajdziesz nikogo podobnego na jej miejsce. Asystentki przychodzą i odchodzą, widziałem ich mnóstwo, i mówię ci, Joceline jest klasą dla siebie.

– Wiem, wiem. Bez niej nie rozwiązałbym połowy spraw. Zdobywa informacje tam, gdzie ja nie potrafię. Nie mam pojęcia, jak to robi.

– Jest jasnowidzem – konspiracyjnym szeptem oznajmił Marquez.

– Niestety nie, za to świetnie używa telefonu i umie nakłaniać ludzi, żeby wyjawiali jej to, co zamierzali ukryć.

– Ma wykształcenie prawnicze. Dlaczego nie pracuje u sędziego, w prokuraturze albo przynajmniej w firmie adwokackiej?

– Zaczynała jako sekretarka w biurze adwokackim, ale starszy wspólnik odszedł na emeryturę, dołączyło jeszcze kilku prawników i Joceline tyrała za trzy osoby, a dostawała tylko jedną pensję. W rezultacie

trafiła do nas. – Zadumał się na moment. – Dobrze się stało, że kiedy w biurze nastał Garon Grier, nie zwał jej na głowę zbyt wielu zadań.

– Nie rozumiem. Przecież jest bystra...

– Owszem, ale Garon przywykł, że pracownice przyrządzają mu kawę. Joceline takie zajęcia nazywa „uciążliwymi obowiązkami” i nigdy czymś podobnym się nie splamiła.

– Nasze asystentki parzą kawę. Aromatyczną, pyszną kawę – przechwalał się Marquez, znacząco patrząc na Jona.

– U nas nikt nie potrafi zaparzyć kawy zdatnej do picia – wyznał ponuro Jon. – Tylko nasza wydziałowa palma na tym korzysta, wprost rozkwita na kofeinie.

– Nie rozumiem.

– Każdy wylewa do donicy swoją kawę, kiedy inni nie patrzą – wyjaśnił ze śmiechem Jon.

– Och, ta barwna, pełna przygód praca w biurze federalnym – ironizował Marquez.

– Przynajmniej mamy przyzwoity fundusz reprezentacyjny. Nie musimy brać pokwitowania za każdą porcję lodów.

– Lody... – rozmarzył się Marquez, po czym dodał kąśliwie: – Taki upalny dzień, a nam wysiadła klimatyzacja.

– Narzekasz? Pochodzisz z Meksyku i mieszkasz w południowym Teksasie, więc powinieneś przywyknąć do upałów.

– Tak, jasne... – mruknął Marquez. Nie lubił rozmawiać o swoim dzieciństwie. Prawdę mówiąc, nikt w Jacobsville z wyjątkiem przybranej matki Mar– queza, Barbary, nic nie wiedział o jego pochodzeniu. Nawet jednak ani on, ani Barbara nie znali całej prawdy, chociaż starali się ją odkryć. Oczywiście nie zamierzał o tym informować Jona Blackhawka,

choć bardzo go szanował i darzył szczerą sympatią.

– Nie zamierzałem cię urazić – zapewnił go Jon, który dostrzegł cię przemykający po twarzy Marqueza. – Sam zetknąłem się z problemami rasowymi. Jak zapewne zauważyłeś, niektórzy moi przodkowie nosili pióropusze i walczyli konno na prerii.

– Moi też. – Marquez wyraźnie się odprężył. – Jeden z nich był Komanczem – wyznał z uśmiechem.

– Naprawdę? Jeden z moich również.

– Co ty powiesz? Jaki ten świat jest mały.

– Moja matka należała do plemienia Czirokezów, choć jeden z jej dziadków był Komanczem, natomiast ojciec był czystym Siuksem – powiedział Jon.

Sierżant detektyw Marquez uniósł brwi.

– Czirokezi zamieszkiwali pierwotnie wschodnią część kontynentu.

– Tak, ale zostali wysiedleni. Na przełomie lat 1838 i 1839 wszystkich Czirokezów przepędzono do Oklahomy, gdyż na ich terenach odkryto pokłady złota. Przebyli Szlak Łez podczas zimowych mrozów i śnieżyc bez odpowiednich ubrań. Jeden z moich przodków powiedział, że nigdy nie będziemy mogli współistnieć z materialistyczną cywilizacją białych ludzi, ponieważ my dzielimy się wszystkim, a oni pragną zdobyć wszystko dla siebie.

– Ciekawe spostrzeżenie. – Marquez spochmurniał. – Harold Monroe wspomniał, że chce się zemścić na jednym z moich informatorów.

– Słyszałem, że go wypuścili.

– Owszem. Monroe, jak i cała jego rodzina, ma opinię mściwego człowieka. – Popatrzył znacząco na Jona. – Oskarżano go o wymuszenia okupu, nielegalny hazard, stręczycielstwo, co tylko chcesz, ale dotąd nigdy

nie spędził w więzieniu więcej niż dzień. Jeden z prokuratorów w sprawie o morderstwo przeciwko bratu jego teścia zginął w tajemniczych okolicznościach, podobnie jak jedyny świadek, a on został zwolniony. Haroldowi Monroemu nigdy niczego nie udowodniono. Przetrzymałeś go w areszcie przez kilka miesięcy, a w tym czasie jego adwokat pracował nad uzyskaniem decyzji o wycofaniu zarzutów.

– Monroe sam sobie jest winien, że oddawał małe dziewczynki w łapy alfonsów.

– On patrzy na to inaczej. Twierdzi, że te dzieci przymierały głodem, a on tylko pomógł im znaleźć lepsze życie.

– Tak, widziałem skutki tego lepszego życia.

– Blackhawk nie wdał się w szczegóły, ale jego spojrzenie było nader wymowne. – No cóż, mogą wycofać oskarżenie, lecz nadal mam świadków gotowych zeznawać. Jednym z nich jest mężczyzna, który sprzedał Haroldowi Monroemu swoją córkę.

– Właśnie w tym kłopot. – Marquez skrzywił się ze złości. – Ten człowiek powiedział, że nie będzie świadczył w sądzie, a także wycofał dotychczasowe zeznania.

– To nie problem – odparł Jon. – Mogę znaleźć troje innych świadków z tej samej rodziny, z których dwoje stanowczo twierdzi, że są gotowi zeznawać, choć wiedzą o groźbach Monroego.

– Podaj mi nazwiska, a pomożemy ci ich odszukać, by mogli złożyć zeznania pod przysięgą, gdyż Harolda Monroego aresztowano na podstawie oskarżenia federalnego. Dlaczego wcześniej nie przedstawiłeś tych świadków?

– Ponieważ ich nie potrzebowałem. Mieliśmy ojca dziewczynki, który zeznawał pod przysięgą, a prokurator federalny uznał, że nie potrzeba nam

więcej świadków. Cóż, teraz ich potrzebujemy. – Zamilkł na chwilę. – Mam nadzieję, że nie podzielę losu człowieka, który miał zeznawać przeciwko Jayowi Copperowi podczas procesu o zabójstwo nastolatki w sprawie senatora Sandersa. Przypadkiem wypadł z dziesiątego piętra.

Marquez zapisał nazwiska podane przez Jona, po czym oświadczył, jakby się usprawiedliwiał:

– Naprawdę robimy, co w naszej mocy.

– My też. I wcale was nie krytykuję. W tym mieście tylko jasnowidz może przewidzieć zabójstwo.

– Nie trzeba jasnowidza. Powinniśmy lepiej analizować fakty i poszlaki, by je przewidywać. – Marquez westchnął ciężko. – Mam tylko nadzieję, że Monroe tym razem się nie wywinie.

– Jeśli federalne oskarżenia zostaną wycofane ze względów formalnych... – Blackhawk zmełł w ustach przekleństwo. Tak zwane błędy formalne oznaczały brakujące ogniwo w łańcuchu dowodowym, lukę, przez którą wymykał się przestępca. – Więc jeśli tak się stanie i nie uda się postawić mu nowych zarzutów, piłka może się znaleźć po waszej stronie, jeżeli nie zdołamy jej zatrzymać po swojej. Nadal jednak możecie go dostać za handel ludźmi. Pomożemy wam.

– Obiecuję, że się nie wykręci. – Oczy Marqueza zwięzły się. – Ale ty uważaj na siebie.

– Przeceniasz tego Monroego – stwierdził Jon. – To sześciopak bez jednego piwa. – Wydał wargi.

– Może nawet bez dwóch.

– Pewnie tak, ale to wcale nie znaczy, że nie jest groźny. Oskarżyłeś go o handel ludźmi, ale udało mu się wyplątać z wielu innych zarzutów, w tym o rozbój w biały dzień, Ten ostatni występek popełnił jeszcze jako

nioletni, co czyniło z niego młodocianego przestępcę, toteż dostał tylko kilka dni poprawczaka przed osiągnięciem osiemnastego roku życia.

– Tak, a potem udało mu się uniknąć statusu recydywisty i zachować czyste konto, dopóki tamten wyrok nie uległ wymazaniu – uzupełnił Jon. – Gdy wpadł następnym razem, miał dwadzieścia pięć lat i dostał dobrego adwokata dzięki wsparciu swego szefa, Hanka Sandersa, trudniącego się wymuszaniem okupów. Hank jest bratem senatora Willa Sandersa, który był wmieszany w sprawy o zabójstwa. – Uśmiechnął się. – Hank Sanders okazał się zresztą przyzwoitym facetem. Uratował tyłek mojemu bratu w starciu z Jayem Copperem tuż po tym, jak Mac i Winnie wrócili z podróży poślubnej.

– Dziwny był ten ich miesiąc miodowy. Zamiast przeżywać upojne chwile, twój brat starał się nakłonić żonę senatora Willa Sandersa, Pat, aby wyznała, co wie o zamordowaniu poprzedniej żony McKuena i ich małej córeczki – przypomniał Marquez.

– I ona to zrobiła, ale okazało się, że to Copper zlecił zabójstwo żony Macka – oznajmił ponuro Jon.

– Powiedział, że nie kazał sprawcy, nieżyjącemu już Danowi Jonesowi, zabić córeczki, lecz nigdy mu nie uwierzyłem. Jeden z jego tępych zbirów zmienił zeznania i potwierdził, że Copper polecił Jonesowi zgładzić zarówno matkę, jak i córkę, i zapłacił mu za śmierć Melly i Moniki. Prokurator okręgowy zażądał kary śmierci.

– Życzę mu powodzenia – rzucił cynicznie Marquez. – Sędziowie przysięgli nie lubią wydawać wyroków śmierci.

– Tak, wiem. Zasiadałem w ławie przysięgłych w procesie, który zakończył się takim wyrokiem. Jesteś absolutnie przekonany, że facet zasłużył na śmierć za zbrodnię, którą popełnił, lecz kiedy głosujesz za tym i

uświadamiasz sobie, że skazujesz kogoś na stryczek, to całkiem inna sprawa.

– Cóż, każdy z nas ma swoje sumienie, a dla normalnego człowieka to bardzo trudna decyzja.

– Przyjrzał się uważnie Jonowi. – Jednak teraz martwię się o ciebie. Monroe może i jest idiotą, ale ma wsparcie stryja, Jaya Coppera, który należy do miejscowego gangu, oraz szwagra, Barta Hancocka, który od lat ciągle trafia do pudła, po czym zaraz z niego wychodzi. Hancock wywinął się z oskarżenia o współudział w sprawie Jaya Coppera, ponieważ zdobyta przez Winnie taśma, na której Copper opowiada historię tych morderstw, w tajemniczy sposób zaginęła. Hancock był wmieszany w dwa przypadki zleceń zabójstw, lecz skończyło się tylko na postawieniu mu zarzutów. Nie pierwszy raz postarał się, żeby nie było żadnych świadków.

– Coś mi świta w związku z Hancockiem – oświadczył Jon. – Czekaj, już sobie przypomniałem! Joceline wygrzebała o nim pewną informację, która podobno była tajna. Nie pytaj, skąd ją zdobyła – dodał, unosząc dłoń. – Panna Perry ma swoje źródła i to powinno ci wystarczyć. W każdym razie Hancock służył w oddziałach specjalnych podczas inwazji na Irak w 2003 roku.

– Zgadza się. Pracował dla prywatnego zleceniodawcy. Rozpętała się wielka afera w związku z ofiarami wśród ludności cywilnej, a Bart Hancock tkwił w tym po szyję. Miał kumpla, urzędnika w prywatnej firmie, która prowadziła tajne operacje, i facet wyczyścił Hancockowi akta, dzięki czemu o nic go nie oskarżono. – Marquez westchnął ciężko. – Mówią, że Hancock ma swoiste hobby. Uwielbia zabijać dzieci.

Jon zacisnął szczęki.

– Cóż za przemiły facet.

– Prawda?

Jon myślał intensywnie. Nieżyjący już Dan Jones, zamieszany w zabójstwo Melly, był zagadkową postacią. Jon miał wątpliwości, czy Jones rzeczywiście zamierzał przyznać się do popełnienia tego morderstwa. Nie był aniołkiem, ale morderstwo popełnione na dziecku jakoś do niego nie pasowało. Ale służący w oddziałach specjalnych bratanek Jaya Coppera przyjaźnił się ze sprawcą, a współnika, który razem z nim popełnił owe zbrodnie, nigdy nie odnaleziono. A co, jeśli...?

– Coś sobie przypomniałeś, tak? – spytał Marquez pod wpływem wyrazu twarzy Jona.

– Tak... Posłuchaj tylko. Tamtej nocy w domu McKuena strzelało dwóch ludzi, ale zidentyfikowaliśmy tylko jednego z nich. Na taśmie Jay Copper mówił o swoim bratanku Peppym, który pomógł Danowi Jonesowi zamordować Monicę Kilraven. Powiedział, że dziewczynka plątała im się pod nogami. Peppy'ego przesłuchano, jednak okazało się, że ma na tamtą noc niepodważalne alibi. Jakby tego było mało, taśma, na której Jay Copper opowiadał o udziale Peppy'ego w zabójstwie, w tajemniczych okolicznościach zginęła z magazynu dowodów rzeczowych.

– Jak mogłem o tym zapomnieć? – Marquez otworzył plik w komputerze, a gdy odczytywał tekst na ekranie, jego czarne oczy zwęziły się. – Peppy... Pełne imię i nazwisko: Bartholomew Richard Hancock. A jego szwagrem jest Harold Monroe, który przez małżeństwo stał się powinowatym Jaya Coppera. A Copper, o czym doskonale wiesz, słynie z tego, że mści się na każdym, kto wystąpił przeciwko jego rodzinie. – Zerknął na Jona, na którego twarzy malowało się najwyższe zdumienie. – Nigdy nie dostrzegłeś tego związku, co?

To było przed czterema miesiącami, kiedy zakończono śledztwo, a

wszyscy podejrzani o zabicie Dana Jonesa – a tym samym o zamordowanie rodziny Kilravena – zostali namierzeni. Jednak tylko senatora Willa Sandersa i Jaya Coppera zatrzymano i osadzono w areszcie tymczasowym, gdzie mieli oczekiwać na proces. Natomiast Peppy umknął spod stryczka nie tylko dzięki kutemu na cztery nogi adwokatowi. Nie oskarżono go choćby o współudział w tych zabójstwach przede wszystkim dlatego, że zaginęła taśma, której wskutek fatalnego zaniedbania nie skopiowano ani nie spisano, a Jay Copper zaprzeczył, by kiedykolwiek wspominał o Peppym. Jakby tego było mało, fakt, że Kilraven i Winnie byli blisko związani z dwiema ofiarami, pomógł w podważeniu ich wersji, a Pat Sanders nieoczekiwanie wycofała swoje zeznanie, choć Hank Sanders, brat senatora, próbował nakłonić ją, by je podtrzymała.

Jon Blackhawk aresztował Harolda Monroego pod zarzutem handlu ludźmi niespełna tydzień po tym, jak Peppy Hancock wywinął się od oskarżenia o współudział w zamordowaniu Melly i Moniki Kilraven. Jon i Joceline pracowali niestrudzenie nad znalezieniem dowodu łączącego Monroego z tym procederem, zajmowali się tym jeszcze przed jego ostatnim aresztowaniem. Jednak Jon rzeczywiście nigdy nie dostrzegł owego związku.

– Tak więc nawet jeśli Harold Monroe jest idiotą – powiedział Marquez – to na pewno nie jest nim Hancock. Musisz mieć się na baczności. Hancock może obrać za cel ataku każdą bliską ci osobę, a zwłaszcza Joceline, ponieważ pomogła zdobyć dowód przeciwko niemu. Jego stryj Jay z pewnością dowiedział się o jej współudziale. Wiemy, że ma swojego informatora w organach ochrony porządku publicznego, jednak do tej pory nie zdołaliśmy go namierzyć.

– Dlaczego życie musi być takie skomplikowane? – ponuro

skomentował Jon.

Sierżant Marquez ogarnął szerokim gestem gabinet.

– To komisariat policji. Jeśli szukasz odpowiedzi na egzystencjalne pytania, powinieneś udać się do psychologa.

– Wielkie dzięki za radę – rzucił gniewnie Jon.

– Bardzo proszę – odparł Marquez z szerokim uśmiechem. – Chcesz jeszcze kawy?

Świadomość, że Peppy alias Bart Hancock mógł być zamieszany w zamordowanie córki McKuena, ogromnie zaciążyła Jonowi. Nie wiedział, czy powinien w ogóle powiedzieć o tym bratu. Ostatecznie zdecydował, że zaczeka, dopóki nie dowie się więcej. Jeśli Marquez miał rację, a zazwyczaj tak było, to oznaczało, że sprawa zabójstwa Moniki i Melly Kil– raven nie została jeszcze rozwiązana. McKuen sądził, że Jay Copper, który zlecił to zabójstwo, zostanie postawiony przed sądem i zapłaci za śmierć dziecka. Lecz jeśli Peppy pomógł zmarłemu Danowi Jonesowi w tym morderstwie, to ten fakt otworzy kolejną puszkę Pandory. A żona Peppy’ego jest siostrą Harolda Monroego. Co za galimatias! Groźba Monroego, którą Jon dotąd lekceważył, stała się nagle całkiem realna i zagrażała już nie tylko jemu.

Wrócił do siebie, usiadł ciężko za biurkiem i zapatrzył się w ścianę. Joceline wezwała go przez interkom, lecz w ogóle tego nie usłyszał.

Wetknęła więc głowę do gabinetu i zmarszczyła brwi, ujrawszy wyraz twarzy szefa.

– Coś się stało?

Kiwnął głową i zerknął na Joceline błyszczącymi czarnymi oczami.

– Tak... Wejdz i zamknij drzwi. Mam na dziś coś pilnego?

– Nie. – Usiadła na niewygodnym prostym krześle po drugiej stronie

biurka.

Nie było tutaj żadnych wygodnych siedzeń dla gości, bo Jon nie lubił, gdy odwiedzający przesiadywali zbyt długo. Joceline też nie czuła się swobodnie, zresztą nie tylko z powodu krzesła. Czy Blackhawk zamierza ją wylać? Ostatnio była kłębkim nerwów. Po południu czekały ją rozmowy z nauczycielką Markiego oraz właścicielką ośrodka dziennej opieki, dotyczące zachowania chłopca. Wiedziała, że obie będą zalecać zastosowanie leków. Nie miała już pieniędzy, więc wykluczone było przeniesienie synka do droższej szkoły. Znalazła się w bardzo trudnym położeniu, z którego nie widziała wyjścia i wciąż się tym zadreślała.

– Czy z powodu cięć w budżecie zostanę zwolniona? – spytała wprost.

Jon spostrzegł jej zalęknioną minę. Joceline samotnie wychowywała dziecko i stać ją było tylko na najniezbędniejsze wydatki. A chociaż miała dobre wykształcenie i doświadczenie zawodowe, mogło trochę potrwać, zanim znajdzie nową pracę.

– Oczywiście, że nie. – Widział, jak nieco się odprężyła, a przez jej wargi przemknął nerwowy uśmiech. – Dyskusje o cięciach w budżecie głównie krążą wokół zmniejszenia funduszu delegacyjnego, a nie personelu. Przynajmniej na razie, Joceline. Wszyscy się niepokoiimy, ale dopóki nie zostaną wynalezione automaty, które bez szemrania będą pracowały tyle godzin co my, to raczej nie musimy martwić się o nasze posady – próbował zażartować.

– Po prostu muszę koniecznie z kimś porozmawiać.

– Ma pan brata. – Zmarszczyła brwi. – No i w biurze zatrudniają doradcę psychologicznego...

– Nie o taką rozmowę mi chodzi – oświadczył sucho Blackhawk. –

Nie omawiam moich prywatnych spraw z nikim oprócz rodziny.

– Naturalnie, proszę pana. – Uśmiechnęła się powściągliwie.

Nie cierpiał tego jej przekłętego uśmiechu. Odwrócił wzrok.

– Chodzi o zabójstwo żony i córki McKuena.

– Zlecił je Jay Copper i został o to oskarżony.

– Owszem, ale jest drobny problem.

– Jaki?

Jon skrzywił się i odchylił na oparcie fotela.

– Copper ma bratanka, którego przypuszczalnie wysłał razem z Danem Jonesem na tę mokrą robotę

– zaczął relacjonować, podając wszystkie znane szczegóły, by odświeżyć Joceline pamięć. Na koniec dodał: – Copper wprawdzie się przyznał, że pomógł Peppy’emu ukarać śmiercią Dana Jonesa, ale bez zaginionej taśmy nie można tego dowieść.

– Ta zaginiona taśma... – Urwała na moment.

– Jak to się mogło stać? Taki ważny dowód. A jeśli chodzi o samego Coppera, to cóż, ma mnóstwo durnych krewniaków, przez których wpada w kłopoty.

– Bart Hancock nie jest durniem. Za to jest szwagrem Harolda Monroego.

Joceline zamarła. Ten człowiek groził jej szefowi, ale nie połączyła go ze sprawą zabójstwa Kilravenów.

– Bart Hancock – powtórzyła.

– Bratanek Jaya Coppera. Peppy to jego ksywka.

– O mój Boże... – Joceline od razu rozpoznała to nazwisko i dostrzegła związek, o który chodziło szefowi. To nadało całkiem nowe znaczenie groźbie Monroego, że jego rodzina zemści się na Jonie

Blackhawku. Jeżeli Peppy zabił tę dziewczynkę...

– Nie mogę porozmawiać o tym z McKuenem, gdyż wpadłby w szal – powiedział Jon. – A Winnie jest w zaawansowanej ciąży.

– Więc co pan zamierza?

– Nie wiem. O ile nie zdołamy złożyć elementów tej układanki i znaleźć kogoś, kto jest powiązany z tą sprawą i chce zeznawać przeciwko Hancockowi, to już sam nie wiem, co możemy zrobić. Większość świadków zamordowano, w tym również Dana Jonesa, a nawet jego dziewczynę.

– Jej pastor rozmawiał z Danem Jonesem – przypomniała sobie Joceline.

– Tak, ale była to zwykła rozmowa, żadne tam poufne powierzenie sekretów, więc niczego się nie dowiedział. Nawiasem mówiąc, pewnie dlatego wielebny wciąż jeszcze żyje.

– Harold Monroe szuka zemsty za to, że go pan aresztował. – Joceline nie kryła niepokoju.

– Tak, ale to kompletny nieudacznik.

– A jednak przez lata unikał więzienia, a z aresztu zaraz go zwalniano aż do tego oskarżenia o porwanie.

– Tylko dzięki Jayowi Copperowi, który jest mistrzem w zastraszaniu świadków – odparł Blackhawk.

– Ale Copper nadal przebywa w areszcie, oczekując na proces, a stamtąd nawet on nikogo nie zastraszy. Co prawda może posłużyć się kimś innym – dodał ponuro.

– Pański brat ma przyjaciela w tajnych służbach, który strzegł matki Winnie Sinclair, kiedy prowadziła niebezpieczne śledztwo w sprawie zamordowania Kilravenów – przypomniała mu Joceline. – Może mógłby ochraniać pana?

Spiorunował ją wzrokiem, po czym oznajmił nadzwyczaj chłodnym tonem:

– Jestem starszym agentem FBI. Nie potrzebuję ochrony.

– Bez urazy, szefie – uniosła dłonie – ale nie może pan sam siebie non stop pilnować.

– Owszem, mogę.

Popatrzyła na niego gniewnie.

– Każdy ma swój słaby punkt, panie Supermanie

– rzekła z sarkazmem.

– Nie poprosiłem cię tutaj, żebyś mnie obrażała!

– Potrzebował pan rady i pochlebia mi, że zwrócił się pan do mnie.

Oto ona: niech pan nie mówi o niczym bratu, dopóki nie znajdzie się jakiś świadek, który wie, co zrobił Bart Hancock, oczywiście o ile naprawdę był wplątany w zamordowanie rodziny Kilravena.

Jon rozparł się w skórzanym fotelu, starym i niezbyt miękkim, ale bardzo wygodnym. Joceline dziwiło, że ten sztywny, surowy mężczyzna o spartańskich upodobaniach zasiada za biurkiem w wygodnym fotelu, natomiast dla gości przeznaczają twarde krzesła. Ale przecież Blackhawk bywa nieco anachroniczny. To tyle, jeśli chodzi o liczący pewnie ze sto lat fotel. A twarde krzesła? Dotąd nie rozgryzła tego pomysłu.

– Chyba masz rację – przyznał cicho.

Lecz w głębi duszy pomyślał, że trudno będzie znaleźć kogoś powiązanego z tą sprawą, kto odważy się narazić życie i złożyć zeznania przeciwko mordercy dziecka. Po pierwsze groziła mu zemsta gangsterskiej rodziny. A po drugie... Ktoś taki też musiałby być związany z tą zbrodnią, a zabójcy dzieci są w szczególny sposób traktowani przez współwięźniów. Innymi słowy, są przez nich likwidowani.

– Mógłby pan wciągnąć do tego dochodzenia Ricka Marqueza i Gail Sinclair. – Mówiła o najlepszych oficerach śledczych wydziału zabójstw policji w San Antonio. – Znają sprawę, a Gail jest prawdziwym jasnowidzem. Tylko ona może znaleźć świadka, o którym pan w ogóle by nie pomyślał.

– Tak, to dobry pomysł. – Blackhawk trochę się rozpogodził.

– Owszem. – Uśmiechnęła się bardzo zadowolona z siebie.

– To nie powód, by popadać w zarozumiałość – zgromił ją szczerze, wcale się nie przekomarzał.

– A może jednak? Przecież mam wiele powodów do dumy – odparła wyniośle. – Chce pan wiedzieć, co czołowi styliści przygotowują na tegoroczny sezon wakacyjny? A może chciałby pan usłyszeć najnowsze wieści o paryskiej modzie?

Z każdą chwilą ogarniała go coraz większa irytacja.

– Kiedy będę chciał podszkolić się w tym temacie, zatelefonuję do Cammy i poproszę, żeby przysłała kolejną kandydatkę na żonę, która dostarczy mi wyczerpujących informacji – rzekł sarkastycznie.

– Mogę pana wyręczyć i sama zadzwonić – odparła słodziutko. – Nawet teraz, jeśli pan sobie życzy.

– Zrób to, a zaraz będziesz szukała nowej pracy – rzucił ostro, jakby kompletnie nie chwycił żartu.

– W porządku, nie nalegam. – Wzruszyła ramionami. – Ale nie wie pan, co traci. Wszystkie te przewidywania co do kolorów, zmiany długości spódniczek...

Blackhawk wstał.

– Wyjdź! – Wskazał drzwi.

Joceline także podniosła się z krzesła.

– Niewdzięcznik – mruknęła pod nosem.

Jon obszedł biurko. Naprawdę jest wysoki, pomyślała, gdy przystanął przed nią na długość ramienia.

– Niekiedy bywasz istną fontanną mądrości – powiedział bardzo cicho. – Sporo nas różni, ale jesteś dla firmy prawdziwym skarbem.

– Dziękuję – mruknęła zarumieniona.

Spoglądał jej w oczy dłużej, niż zamierzał, i nagle uświadomił sobie, że między nimi dwojgiem zaiskrzyło coś zupełnie nowego.

Pod wpływem tego spojrzenia serce Joceline zabiło mocno. Nie potrafiła odwrócić wzroku, przeniknął ją radosny dreszcz.

Jon poczuł ten sam przyływ rozkoszy.

– Twoje oczy mają najbardziej niezwykły odcień błękitu, jaki kiedykolwiek widziałem – rzekł cicho.

– Są niemal szafirowe.

– A pańskie są czarne – szepnęła, wpatrując się w nie.

Odruchowo musnął dłonią zarumieniony policzek Joceline.

– To bardzo niebezpieczne – rzekł głębokim, aksamitnym głosem. – Mógłbym uznać to za zaproszenie.

– Mogłabym odpowiedzieć, że sam pan prosi się o kłopoty. – Cofnęła się. Istniały powody, dla których nie powinna nigdy pozwolić mu podejść tak blisko. – Moi niezliczeni admiratorzy rzuciliby się na pana i rozszarpali na kawałki. A jest jeszcze ten sławny i zabójczo przystojny gwiazdor filmowy, który wydzwania do mnie trzy razy dziennie... O, właśnie znowu dzwoni! – Niemal wybiegła z gabinetu, by odebrać telefon.

Zamykając drzwi, Jon wciąż jeszcze się śmiał.

Zdołała umknąć w ostatniej chwili! Przez resztę dnia ogarniała ją dziwna słabość, ilekroć zerkała na przystojnego szefa. Unikała spoglądania

wprost na niego, gdyż wyglądało na to, że miał rację: sprowokowała go, a to oznaczało kłopoty.

Choć z drugiej strony to on dotknął jej policzka, sam podszedł tak blisko. W ciągu tych wszystkich lat wspólnej pracy dopiero drugi raz zbliżył się na taki intymny dystans... chociaż właściwie nie było w tym niczego intymnego. I nie pamiętał tamtego pierwszego razu, a Joceline modliła się, by nigdy sobie nie przypomniał.

Godzinę później, wciąż jeszcze z rozmarzeniem rozmyślając o szefie, wprowadzała dane do komputera, gdy przy jej biurku przystanąła Phyllis Hicks zatrudniona na niepełnym etacie.

– Wypełnianie tych formularzy jest strasznie nudne – narzekała. – Mój tata pracuje w wydziale zabójstw departamentu policji w San Antonio. Widuję zdjęcia z miejsc zbrodni. – Jej oczy dziwnie błysnęły.

– Morderstwa są takie podniecające, nie sądzisz?

– Morderstwa? – powtórzyła zdumiona Joceline.

Phyllis poruszyła się nerwowo.

– Miałam na myśli śledztwo, tropienie zabójców. Mój tata jest w tym naprawdę dobry.

– Kto jest twoim ojcem?

– Dave Hicks. Pracuje z Marquezem. – Phyllis się skrzywiła. – Nie cierpię go.

– Naprawdę? – To było zaskakujące. Niemal wszyscy lubili sierżanta Ricka Marqueza, a większość kobiet uważała go za atrakcyjnego mężczyznę.

– Oczywiście to nie jest mój prawdziwy ojciec – ciągnęła Phyllis. – Mój prawdziwy tata jest wyjątkowy. Myśli niekonwencjonalnie i niczego się nie boi.

– Roześmiała się. – Pozwala, żebym z nim pracowała. To bardzo ekscytujące... – Przerwała gwałtownie, posłała Joceline promienny uśmiech. – Przepraszam, poniosło mnie. Chciałam tylko zapytać o te druki. Czy muszę wypełniać wszystkie puste rubryki?

Poinstruowała ją, jak umieszczać dane w formularzach, lecz jeszcze długo po tym, jak Phyllis wróciła do żmudnej pracy, siedziała bez ruchu w krześle. Phyllis Hicks budziła w niej nieokreślony niepokój. Czy to normalne, by komuś sprawiało przyjemność oglądanie zdjęć z miejsc zbrodni? Joceline ich widok przyprawiał o mdłości. Raz nawet zwymiotowała, gdy ujrzała taką fotografię w aktach dotyczących bestialskiego zabójstwa młodej kobiety, która groziła senatorowi Willowi Sandersowi. Ofiarę zamordowano brutalnie, o tę zbrodnię został oskarżony Jay Copper. A ją ekscytują takie zdjęcia?

Trudno to określać w zwykłych kategoriach gustu, skłonności, zamiłowania. Joceline pomyślała o Alice

Mayfield Jones Fowler, znanej specjalistce z zakładu medycyny sądowej, która naprawdę pracuje na miejscach zbrodni i nigdy nie wydaje się poruszona ich widokiem. Jednakże Alice nie uważa morderstw za ekscytujące. Traktuje je z zawodowym chłodem i dystansem, pomaga w śledztwach, docieka prawdy, by schwytać złoczyńców, wykazując przy tym szacunek dla ofiar. A to zupełnie coś innego.

– Nigdy nie będę pasowała do współczesnego świata – mruknęła do siebie Joceline. Nie pojmowała fascynacji śmiercią, zombie, wampirami...

Jednak nie była to do końca prawda, gdyż uwielbiała sławną trylogię filmową o wampirach. Może Phyllis po prostu przesadzała, mówiąc o fascynacji morderstwami. Może nawet nigdy nie widziała żadnego zdjęcia z miejsca zbrodni. Pracuje w biurze zajmującym się brutalnymi

przestępstwami, więc być może ekscytuje ją po prostu proces rozwiązywania kryminalnych spraw.

Kiedy nadeszła pora wyjścia z pracy, chwyciła torebkę, przez zamknięte drzwi zawołała:

– Do widzenia – i niemal wybiegła z budynku.

Na dziś miała dość. I jeszcze to dziwne wyznanie Phyllis...

Nawet czekające ją kłopotliwe spotkanie ze szkolnymi wychowawcami Markiego niepokoiło ją mniej niż dziwaczne zachowanie szefa. Joceline zachowywała dla siebie pewne sekrety. Nie miała najmniejszego zamiaru ich wyjawić, a już zwłaszcza nie zamierzała wyznawać ich Jonowi Blackhawkowi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dyrektor szkoły pan Morrison oraz nauczycielka Markiego bardzo taktownie, ale stanowczo oznajmili, że wygłupy Markiego zakłócają spokój w klasie, dlatego chłopiec musi brać leki, by nie przeszkadzał kolegom.

Joceline spoglądała na nich w milczeniu. Nie potwierdzała ani nie zaprzeczała.

– Chcielibyśmy usłyszeć od pani zapewnienie, że ta kwestia zostanie rozwiązana – powiedział uprzejmie pan Morrison. – Wasz pediatra może zastosować kurację farmakologiczną, która powstrzyma niekontrolowane wybuchy Markiego.

Joceline uśmiechnęła się beznamiętnie.

– Innymi słowy chcecie, abym udała się do lekarza i wymogła na nim zapisanie mojemu czteroletniemu synkowi silnych leków uspokajających? – Widziała, że ujęcie sprawy w taki sposób, wyłożenie kawy na ławę, zszokowało ich i oburzyło. Wstała, wciąż się uśmiechając. – Przeprowadzę długą rozmowę z Markiem, porozmawiam również z naszym lekarzem rodzinnym. Niestety, nie stać mnie na stałego pediatrę. Wizyty mojego synka w szpitalu dużo kosztują, a oprócz lekarza rodzinnego zajmuje się nim także alergolog, jednak mam dość ograniczone środki finansowe. Muszę zapewnić opiekę medyczną nam obojgu, a lekarz rodzinny stanowi dla nas najlepszą opcję.

– Dyrektor i nauczycielka słuchali w milczeniu, natomiast Joceline mówiła dalej: – Jednakże powiadomię mojego lekarza o presji, którą wywieracie. O waszym żądaniu, by Markie uzależnił się od leków. Jeśli doktor podzieli wasz pogląd – dodała słodkim tonem – wówczas poszukam

sobie innego lekarza rodzinnego.

– Ee... pani... to znaczy... panno Perry... – wybełkotał Morrison.

– Myślę, że forma „panno” jest stosowna – przyszła mu w sukurs Joceline.

– Uważamy jedynie, że Markie, będąc w tak młodym wieku, wymaga pewnej pomocy w związku z problemami z koncentracją...

– Owszem. Tylko proszę dopilnować, żeby wszystkie inne dzieci również były całkowicie posłuszne i nie sprawiały wychowawcom żadnych kłopotów.

– Panno Perry! – Dyrektor spiorunował ją wzrokiem.

– Na naszą obronę powiem – wtrąciła pojednawczo panna Rawles – że mamy w klasie trzydziestu pięciu uczniów. Jesteśmy w identycznej sytuacji jak wiele innych szkół, w których nauczyciele muszą radzić sobie z klasami liczącymi trzydzieści do czterdziestu osób. Robimy co w naszej mocy i naprawdę troszczymy się o naszych podopiecznych, ale bardzo trudno jest uczyć dzieci, które nie potrafią skupić uwagi. Markie zakłóca spokój na lekcjach. Nie umie usiedzieć bez ruchu, odzywa się niepytany, rozrabia...

Joceline przyjrzała się jej uważnie.

– Panno Rawles, czy ma pani dzieci?

– Nie jestem zamężna i oczywiście nie chciałabym, aby moje dziecko nosiło piętno bękarta – odparła spontanicznie i natychmiast się zaczerwieniła, uświadomiwszy sobie, że rozmawia z matką nieślubnego dziecka.

Joceline skwitowała tę uwagę uśmiechem, choć bardzo ją zabolowały te słowa.

Dyrektor odchrząknął skonfundowany, po czym stwierdził

pojednawczym tonem:

– Zapewniam panią, że usatysfakcjonuje nas każda decyzja, która pani podejmie po konsultacji z lekarzem rodzinnym.

– Naturalnie! – żywo poparła go panna Rawles.

– A co do mojego niefortunnego... Och, bardzo panią przepraszam. W żadnym razie nie powinnam była powiedzieć czegoś takiego – zakończyła szczerze skruszona.

Ugodowe zachowanie dyrektora i nauczycielki złagodziło gniew Joceline, i to tak bardzo, że stać ją było na to, by ujrzeć problem ich oczami.

– Zapewniam panią, że Markie bardzo panią lubi, podobnie jak ja – powiedziała szczerze. – Proszę się nie przejmować, nic się nie stało, to tylko niefortunne słowa, jak sama pani to ujęła. Mnóstwo ludzi mówiło mi o wiele gorsze rzeczy. Ojciec Markiego był bardzo porządnym człowiekiem. Po prostu kiedyś trochę za dużo wypiliśmy i zachowaliśmy się w sposób niepodobny do nas obojga. Zaginał podczas wypełniania zagranicznej misji wojskowej, zanim zdążyliśmy się pobrać – dodała łagodnie, wypowiadając to kłamstwo z przekonaniem utrwalonym przez wiele lat powtarzania.

Na twarzach dyrektora i nauczycielki odmalowało się poczucie winy.

– To straszna tragedia – rzekła panna Rawles i zadumała się na moment. – Jeszcze raz przepraszam. Świat tak szybko się zmienia, nieraz trudno zaakceptować nową obyczajowość, stąd moja reakcja.

– W każdą niedzielę chodzę wraz z Markiem do kościoła – oświadczyła Joceline z uśmiechem.

– Wszyscy popełniamy błędy. Niektóre mają poważniejsze skutki niż inne. Ale kocham mojego syna i dziękuję Bogu, że go mam.

Obydwoje się rozpromienili.

– To bystry chłopczyk – powiedziała nauczycielka.

– Zachowuje się tak bardzo żywiołowo właśnie dlatego, że wszystko go ciekawi – odrzekła Joceline.

– I omówiłam już ten problem z naszym lekarzem. Przyrzekł, że zastanowi się nad odpowiednimi lekami, ale uważa, że dyscyplina może w przypadku Markiego odnieść lepszy skutek niż kuracja farmakologiczna. Oczywiście nie mam na myśli bicia kijem, żeby zmusić go do skupienia uwagi – zaznaczyła. – Doktor twierdzi, że zbyt pobudliwe dzieci potrzebują konsekwencji, ustalonego porządku oraz ograniczenia liczby zabawek, co chroni przed nadmierną ilością bodźców. Ta koncepcja ma jest poparta badaniami, ale wolałabym zacząć od najmniej drastycznych metod. Jeżeli nie przyniosą rezultatu, wówczas będę zmuszona rozważyć użycie innych środków. Kompromis stanowi fundament cywilizacji – zakończyła z uśmiechem.

– Owszem. – Morrison wstał. Wydawał się już nieco odprężony.

Uśmiechnięta panna Rawles również się podniosła i rzekła:

– Jeszcze raz przepraszam za moje uwagi.

– Nic się nie stało – powtórzyła Joceline. – Powiadomi mnie pani, jeśli sytuacja nie ulegnie poprawie?

– Oczywiście. I dziękuję, że przyszła pani z nami porozmawiać. Wiem, że praca zabiera pani mnóstwo czasu.

– Jaka praca? – spytał z zaciekawieniem pan Morrison.

– Panna Perry pracuje w FBI. – Panna Rawles zerknęła z uśmiechem na zaszokowaną minę dyrektora.

– O mój Boże! – wyrwało mu się. – Nie miałem pojęcia...

– Nie biorę udziału w akcjach służb federalnych

– Wyjaśniła Joceline. – Wykonuję jedynie papierkową robotę, która pomaga skazać przestępców.

– To bardzo interesujące – stwierdził podekscytowany. – W listopadzie organizujemy w szkole dzień spotkań z przedstawicielami rozmaitych profesji. Może zechciałaby pani opowiedzieć uczniom o swoich doświadczeniach zawodowych?

– Z chęcią bym to zrobiła, ale mój szef jest bardzo zasadniczy i mogłoby mu się to nie spodobać.

– W żadnym razie nie chcielibyśmy przysporzyć pani kłopotów w pracy – zapewnił dyrektor. – Proszę jednak się nad tym zastanowić.

– Oczywiście. Dziękuję państwu za wyrozumiałość.

– Mam dwie córki w liceum i wiem, jak to jest z dziećmi – oświadczył Morrison, a po krótkim milczeniu dodał: – Jedna z nich brała ritalin z powodu zespołu nadpobudliwości ruchowej.

Joceline chciała zapytać o wynik kuracji, jednak coś w wyrazie jego twarzy ją powstrzymało. Raz jeszcze podziękowała dyrektorowi i nauczycielce, pożegnała się i poszła odebrać Markiego z ośrodka dziennej opieki.

Następnego dnia wspomniała mimochodem agentowi Blackhawkowi o wyznaniu dyrektora szkoły.

– Ach tak, Morrison – rzekł Jon. – Smutna historia.

– Jak to?

– Jego starsza córka jest w ostatniej klasie liceum. Aresztowano ją za posiadanie narkotyków i oskarżono o zamiar rozprowadzania. Ponieważ było to jej pierwsze wykroczenie, oddano ją pod nadzór kuratorski.

– Zmarszczył brwi. – Aha, przypominam sobie coś jeszcze. Jej matka zmarła od przedawkowania leków.

– Mój Boże...

– Ale oficjalnie niczego ode mnie nie usłyszałaś – zastrzegł się

Blackhawk. – Z zasady nie omawiamy spraw prowadzonych przez inne służby, a tym przypadku przez wydział policji San Antonio.

– Tak jest, sir.

– Zaraz... Kiedy córka Morrisona chodziła do podstawówki, podawano jej lekarstwa przeciwko zespołowi nadpobudliwości ruchowej.

– Właśnie o to zamierzałam zapytać, zanim powiedział pan, że nie chce dłużej rozmawiać na ten temat. W szkole nalegają, żebym skłoniła mojego lekarza rodzinnego do przepisania Markiemu tych leków.

– Niespokojnie zerknęła na Jona. – Bardzo pana przepraszam, to było z mojej strony niestosowne. Nie powinnam wspominać o osobistych sprawach, zwłaszcza w pracy.

Spojrzał na nią z uwagą, po czym spytał:

– Zamierzasz zrobić to, do czego cię namawiają?

Joceline poruszyła się nerwowo, jednak nie odpowiedziała.

Blackhawk podszedł bliżej, tak blisko, że poczuła żar jego muskularnego ciała i intensywny zapach wody kolońskiej. Podniosła na niego wzrok i serce skoczyło jej w piersi.

– Zrobisz to? – powtórzył łagodnie.

Przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– Obiecałam im, że przedyskutuję z lekarzem rodzinnym kwestię podawania Markiemu leków oddziałujących na zachowanie, a jeśli doktor się na nie zgodzi, zmienię go na innego – odrzekła sucho.

– W istocie nie miałam takiego zamiaru. Chcę tego, co będzie najlepsze dla mojego synka.

Jon mimo woli roześmiał się.

– Przypuszczam, że powiedziałaś im coś jeszcze.

Jej oczy błysnęły.

– Nauczycielka Markiego wygłosiła uwagę, która bardzo mnie uraziła, ale nie straciłam opanowania. Nie mogę jednak nic poradzić na to, że na mojej twarzy odbijają się wszystkie myśli i uczucia...

– Panno Perry – rzekł z niejakim rozbawieniem, choć bez podkpiwania – nie pasuje pani do współczesnego świata.

– Słucham?

– Teraz nie mam czasu tego wyjaśnić. – Zerknął na zegarek. – Jestem już spóźniony na zebranie w biurze agenta specjalnego.

– A na mnie czeka praca.

Wydął wargi.

– Niektórzy przyrządzanie kawy również uważają za pracę – stwierdził sarkastycznie.

Gdy rzuciła mu uśmiech, Jon pomyślał, że najczęściej widuje ją właśnie uśmiechniętą.

– Niektórzy uważają pomidor za owoc – zripostowała.

– Bo to przecież jest owoc.

Wykrzywiła się paskudnie, niewiele brakowało, by pokazała szefowi język, i odwróciła się do biurka.

Markie chciał zagrać w grę wideo, niestety mama zaczęła mówić o jego zachowaniu w klasie i niezdolności do wysiedzenia na lekcji.

– Nikt mnie nie lubi – stwierdził smętnie.

– Wcale nie, synku, ale kiedy nie siedzisz spokojnie w ławce, przysparzasz nauczycielce mnóstwo kłopotów. Pamiętaj, że nie jesteś jedynym uczniem w klasie.

– Lekcje są nudne – powiedział z westchnieniem.

– Wiem już wszystko, czego tam uczą. Ale jestem najmłodszy i inne dzieci wyśmiewają się ze mnie, bo ciężko mi się oddycha i nie mogę biegać

jak inni.

Ból przeszył serce Joceline. Wiedziała jednak z własnego doświadczenia, że prześladowców uwielbiających gnębić słabszych spotyka się w każdym wieku i w każdym środowisku. Uznała, że o ile dokuczanie Markiemu nie przybierze niebezpiecznych rozmiarów, najlepiej będzie pozwolić, aby syn sam sobie z tym poradził. Zresztą już tak się zdarzało, bo Markie nie chował uszu po sobie. Na przykład kiedy starszy chłopiec chciał zmusić go do oddania kieszonkowego, Markie wrzeszczał na całe gardło: „Złodziej!”, dopóki nie zjawiała się właścicielka ośrodka dziennej opieki. Zganiono go, ale łobuziak też wpadł w kłopoty i już nigdy więcej nie próbował wymuszać pieniędzy. Joceline pomyślała z dumą, że jak na tak chorowitego malca synek jest bardzo odważny i potrafi zachować się w sposób zdecydowany.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytał.

– Jestem z ciebie ogromnie dumna. Twój ojciec też byłby dumny z tego, jak dajesz sobie radę, gdy ktoś próbuje ci dokuczać.

– Tata był odważny, prawda?

– Tak, i to bardzo.

– Mamusiu, może mamy jakieś jego zdjęcie?

To było kłopotliwe pytanie. Wiedziała, że w miarę upływu czasu będzie stawało się coraz trudniejsze.

– Nie, nie mamy – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Naprawdę bardzo mi przykro, Markie.

– Czy on był podobny do mnie?

Popatrzyła na synka, uśmiechając się smutno.

– Tylko trochę – odrzekła ze skrywaną ulgą.

– Większość dzieci ma tatusiów, którzy zabierają ich w różne fajne

miejsca. Szkoda, że go nie znałem.

Podniosła chłopca i przytuliła mocno.

– Też tego żałuję, Markie.

– Lubisz swojego szefa, co? – spytał, kiedy postawiła go na ziemi.

Joceline najpierw się zaczerwieniła, dopiero potem odpowiedziała:

– Jest bardzo miły.

– Tak samo jak my gra w gry.

– Jego brat też.

– Ty grasz rzadko – rzekł Markie oskarżycielskim tonem.

Pocałowała go w czoło.

– Mam mnóstwo pracy w domu. Matki są zazwyczaj bardzo zajęte.

Ale przecież gramy razem w weekendy, prawda?

– Tak, prawda. – Uśmiechnął się do niej. – I wygrywam z tobą.

– Zawsze – przyznała ze śmiechem.

– Może następnym razem pozwolę ci wygrać – rzekł w zadumie.

– Naprawdę? – zdziwiła się teatralnie.

Chłopiec już miał jej odpowiedzieć, gdy zadzwonił telefon. Joceline podniosła słuchawkę, wciąż rozbawiona wielkoduszną obietnicą synka.

– Halo. – Usłyszała tylko złowrogą ciszę. – Halo!

– Pierwszy będzie twój szef – powiedział szorstki głos. – Potem ty.

– Co takiego?! – Odpowiedział jej sygnał przerwane połączenia.

Pragnęła uznać, że to była pomyłka, po prostu ktoś źle wybrał numer, nie mogła jednak się ludzić. To była prawdziwa groźba skierowana i do niej, i do Blackhawka. Przeszył ją zimny dreszcz.

– Kto to był, mamusiu?

– Pomyłka, kochanie. – Zmusiła się do uśmiechu.

– Pójdę do pralni, muszę przygotować ci na jutro ubranie do szkoły.

– Dobrze – rzucił chłopiec z roztargnieniem, już pochłonięty grą wideo.

Joceline zamknęła za sobą drzwi i ciężko oparła się o ścianę. Jeszcze nigdy nie czuła się aż tak przerażona.

Omam nie zadzwoniła do Blackhawka, żeby powiedzieć mu o groźbie, powstrzymała się jednak. Jak go znała, na pewno od razu by tu przyjechał, a zdecydowanie nie chciała jeszcze bardziej wciągać go w swoje prywatne życie. Poza tym gdyby szef tu się zjawił, a ktoś niepowołany go zobaczył... Nie chciała narazić na szwank i jego, i swojej pozycji zawodowej. No i stanowczo wolała, by Jon nie stykał się z Markiem. Na koniec uznała, że lepiej będzie, gdy w ogóle o tym incydencie nie wspomni Blackhawkowi. W sumie telefon był do niej, to osobista sprawa, więc może pominąć ją milczeniem.

Z drugiej jednak strony miała pewną koncepcję dotyczącą tożsamości mężczyzny, który jej groził. Nie potrafiłaby tego udowodnić, gdyż wcześniej tylko raz słyszała Harolda Monroego, kiedy bezczelnie zadzwonił do Blackhawka, aby go poinformować, że wyszedł z więzienia. Ale to musi być on, pomyślała. Zaraz jednak coś ją uderzyło. Ten głos wydał się niższy niż Monroego. Ale co za problem mówić trochę inaczej niż zazwyczaj...

Jednak telefoniczna groźba nie dawała Joceline spokoju, toteż nazajutrz, gdy przedstawiła Blackhawkowi rozkład dnia i zorientowała się, że szef ma jeszcze trochę czasu do rozprawy w sądzie federalnym, gdzie ma się stawić jako świadek, ponownie weszła do jego gabinetu i zamknęła drzwi.

Jon spojrzał na nią ze zdziwieniem, ona zaś usiadła przed biurkiem i oznajmiła:

– Przepraszam, ale wczoraj wieczorem ktoś do mnie zadzwonił.

Wprawdzie nie mogłabym przysiąc, ale myślę, że był to Harold Monroe.

– Co powiedział? – Czarne oczy Blackhawka się zwężyły.

– Że pan będzie pierwszy, a potem ja.

Z wyrazu twarzy Jona trudno było cokolwiek wyczytać.

– Czy w twoim telefonie jest automatyczna sekretarka?

– Tak, oczywiście! – Joceline entuzjastycznie skinęła głową. – Mam też nadajnik krótkofalowy, plazmowy telewizor, dwa sportowe wozy...

– Panno Perry – przerwał jej szorstko.

– Przepraszam pana, zapomniałam się. To się więcej nie powtórzy.

– Ta sprawa wcale nie jest zabawna – stwierdził ponuro.

– Przecież wiem. Po prostu obrazowo starałam się przekazać, że nie stać mnie na tego rodzaju urządzenie

– wyznała szczerze.

– Powinienem być o tym pomyśleć – przyznał z lekkim poczuciem winy.

Zapewne, rzekła w duchu. Choć z drugiej strony, jeśli wierzyć plotkom, Jon Blackhawk i jego brat – nie wspominając już o ich kipiącej z wściekłości matce – posiadają majątek wart miliony dolarów. Joceline nie wątpiła, że szef mógłby wejść do najbliższego sklepu z artykułami elektronicznymi i bez mrugnięcia okiem kupić najdroższy sprzęt. Ona mogłaby tylko popatrzeć sobie na ceny.

– Mieszkasz w niestrzeżonym bloku – powiedział Blackhawk.

– Mamy zaniki w drzwiach i domofon.

– Joceline! – Spiorunował ją wzrokiem. – Zamki stanowią przeszkodę tylko dla uczciwych ludzi.

Splotła dłonie na kolanach, po czym powiedziała wyważonym tonem:

– Od kiedy tu pracuję, a minęło już ładnych parę lat, wiele razy

słyszałam różne groźby, nie znam jednak przypadku, by któraś z nich została zrealizowana.

– Ale ja znam – szorstko odparł Jon. – Nie pozwolę, by tobie i twojemu synkowi coś zagrażało. Coś najgorszego...

– Miałam na myśli pańskie życie – wpadła mu w słowo. – Monroe ma powód, by pragnąć rewanzu, by skrzywdzić pana.

– Czyżbyś troszczyła się o mój los? – spytał ni to kpiąco, ni to ze zdumieniem.

– Owszem. Niełatwo było tak sobie podszkolić szefa, by nie oczekiwał ode mnie wypełniania nadmiernie uciążliwych obowiązków – odparła z błyskiem w oczach. – Wolałabym nie przechodzić ponownie tej drogi przez mękę.

– Racja! – Rozbawiony zerknął na zegarek i wstał.

– Porozmawiam z kilkoma osobami i zobaczę, co da się zrobić, żeby ktoś ochraniał cię po pracy.

– Przy naszym budżecie możemy sobie pozwolić tylko na dziesięcioletniego chłopca w trenczu, wyposażonego w zestaw „Mały szpieg”.

Już nie był rozbawiony, tylko spojrzał na nią gniewnie.

– Nie lekceważ zagrożenia, dobrze? – Aż sapnął ze złości. – Mój brat ma różne potajemne kontakty, o których mnie nie informuje. Domyślam się tylko, że tak musi być. Z pewnością wśród tych ludzi znajdzie się ktoś, kto po pierwsze jest nam potrzebny, a po drugie ma do spłacenia dług wdzięczności wobec McKuena. – Zadumał się na moment. – Od razu przyszedł mi na myśl Rourke.

– Wykluczone! – zareagowała gwałtownie. – Nie pozwolę zbliżyć się do mnie temu jednookiemu szaleńcowi!

Jon ze zdziwienia wygiął brwi w łuk. Asystentka bardzo rzadko wypowiadała tak kategoryczne sądy o ludziach przewijających się przez biuro.

– To bardzo dobry prywatny ochroniarz – przekonywał, a gdy Joceline mocno zacisnęła usta, dodał:

– Więc mów, co masz przeciwko niemu.

Poruszyła się niespokojnie.

– Powiedział, że powinno się mnie zakneblować i zamknąć w szafie.

– Mogę spytać, co skłoniło go do wygłoszenia takiej uwagi? – spytał Blackhawk, ze wszystkich sił starając się zachować powagę.

– Nabijał się z moich butów. – Ze złości zagryzła wargi.

Jon spojrzał w dół. Joceline miała na nogach baletowe pantofelki, które zwykle nosiła w pracy. Były nieodpowiednie dla podbicia, ale nadzwyczaj wygodne... i tanie.

– Są ładne...

– Och, niech pan da spokój! Nie wszyscy mogą sobie pozwolić na zakupy u Neimana Marcusa, nawet jeśli rzetelnie pracują i pobierają przyzwoitą rządową pensję. – Choć minęło już tyle miesięcy, wciąż była oburzona tamtym złośliwym komentarzem.

– Rourke plecie, co mu ślina na język przyniesie, i myśli, że jest dowcipny – bagatelizował Blackhawk.

– Jeszcze raz powie mi coś takiego, a będą to jego ostatnie słowa w życiu – rzuciła mściwie.

– Biedny Rourke... – Jon zachichotał. – W takim razie muszę się dowiedzieć, czy ktoś inny jest winny McKuenowi przysługę.

– Ten facet, który do mnie dzwonił, to musiał być Harold Monroe, ale nie mogę tego udowodnić, bo wnioskuje tylko po brzemieniu głosu. Trochę

go zmienił, ale to żadna sztuka. Myślę, że chciał się przekonać, czy można mnie zastraszyć. Wiedział też oczywiście, że powtórzę panu jego groźby. Tyle że to nie ja jestem głównym celem – dodała cicho, po czym powiedziała z wahaniem: – Mnie to niepotrzebne, ale pan koniecznie powinien mieć obstawę. To prawda, Monroe jest durniem, o czym wszyscy wiemy, ale ma krewnych, którzy w żadnym razie durniami nie są.

– Zdaję sobie z tego sprawę – burknął Jon.

– Proszę się nie obrażać – zareagowała na jego poirytowaną minę. – Wiem, że wy, faceci z FBI, macie siebie za największe i najgroźniejsze brytany w dzielnicy... i zazwyczaj taka jest prawda. Chodzi mi jednak o to, że nie lubię pogrzebów – oświadczyła stanowczo.

– Albo szkolenia nowych szefów.

– Właśnie. – Jej oczy błysnęły.

– Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pozostać przy życiu. – Skierował się do drzwi, ale w progu przystanął. – Jeśli zadzwoni mój brat, powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać. Wrócę po drugiej.

– Wiem – odrzekła miłym tonem. – Przeczytałam to w pańskim terminarzu. – Gdy Blackhawk zacisnął zęby, spytała: – Nie spóźni się pan do sądu? Dzisiaj znowu przewodniczy sędzia Cummings, prawda? Bardzo nie lubi agentów FBI, więc lepiej niech pan zachowa się uprzejmie – dodała z niewinnym uśmiechem, a gdy Jon mruknął coś pod nosem, Joceline zawołała z przesadnym zgorszeniem: – Ależ proszę pana! To gmach rządowy...

Jon zniknął za drzwiami, zanim zdążyła dokończyć.

Betty Rimes zawsze bawiły potyczki słowne Joceline z szefem, a nasłuchiwała się już ich już bez liku.

– Mógłby cię wylać – zauważyła.

– Nie ośmieli się. Gdzie znajdzie kogoś na moje miejsce? Niewielu prawników pracuje poza systemem sądowym – odparła z uśmiechem Joceline.

– Mamy asystentkę zatrudnioną na pół etatu

– przypomniała Betty ponuro. – I Phyllis Hicks godzi się przyrządzać szefowi kawę.

– Ja nie podejmuję się nadmiernie uciążliwych zadań – powtórzyła po raz setny Joceline. – To nie należy do zakresu moich obowiązków.

Betty upiła kawę.

– Tak, moja droga, ale następczyni z pocałowaniem ręki przyjąłaby tę posadę za połowę twojej pensji

– rzekła zatroskana. – Gospodarka przeżywa zastój. Tylu ludzi pozostaje bez pracy.

Joceline, nie chcąc pokazywać po sobie niepokoju, powiedziała z uśmiechem:

– Pan Blackhawk nie lubi obcych, a do mnie już przywykł.

– Tak, masz rację, ale to nie on podejmuje ostateczne decyzje związane z budżetem biura.

Joceline spojrzała na nią z uwagą, po czym spytała:

– To jakaś aluzja? Czy wiesz coś, o czym nie chcesz powiedzieć mi wprost?

– To prawdopodobnie nic takiego... – próbowała się wycofać.

– Gadaj!

– Podśluchałam, jak jeden ze starszych agentów rozmawiał o czymś, co pan Grier powiedział podczas lunchu. – Garon Grier obecnie był agentem specjalnym i szefem satelickiego oddziału FBI w Jacobsville. Często odwiedzał biuro w San Antonio, aby zjeść lunch z miejscowym

agentem specjalnym. – Pana Griera zaniepokoiła pogłoska, że planowana jest redukcja personelu w jego biurze, na co nasz agent specjalny powiedział, że tak naprawdę mamy przerost etatów. I na przykład w Oddziale Zwalczania Ciężkich Przestępstw wystarczyłaby jedna pełnoetatowa asystentka oraz druga zatrudniona na pół etatu.

– Mój Boże... – Joceline siedziała jak skamieniała i z rosnącym przerażeniem wpatrywała się w koleżankę. Betty pracowała w FBI już od kilkunastu lat, więc jej na pewno nikt by nie zwolnił.

– Myślę, że to tylko plotka, a może on nawet tylko żartował. Proszę, nie martw się – dodała łagodnym tonem. – Na pewno znajdą jakiś inny sposób na zrobienie oszczędności, na przykład obetną nasz fundusz delegacyjny. Wahałam się, czy w ogóle mówić ci o tym, byłoby jednak źle, gdyby ta wiadomość cię zaskoczyła. Jesteś świetną pracownicą, ale w razie czego powinnaś mieć trochę czasu na znalezienie czegoś nowego. Choć z drugiej strony sędzia Cummings od razu by cię przyjął do swojego biura, podobnie jak zastępczyni prokuratora okręgowego.

To była prawda. Jednak niezależnie od doskonałych warunków i wysokiej pensji, nie widywałyby tam Jona Blackhawka. Zmiana pracy pod wieloma względami byłaby dla niej korzystna, lecz z jednego istotnego powodu wprawiłaby ją, w rozpacz.

– Joceline, nie zostaniesz zwolniona – powiedziała Betty krzepiącym tonem. – Nasz agent specjalny i pan Blackhawk nie pozwoliliby na to.

Joceline wiedziała o tym. Wprawdzie zdecydowanie odmawiała wykonywania poleceń wykraczających poza zakres obowiązków, ale była dobra w swoim fachu i nigdy nie wymigiwała się od roboty.

Zdarzały się jednak te nieuniknione przypadki, kiedy przychodziła później do biura...

Z niepokojem podniosła wzrok na koleżankę.

– Czasami spóźniam się do pracy.

– Wszyscy wiedzą, dlaczego tak się dzieje.

– Jak to? – spytała zaskoczona Joceline.

– Wiemy, że twój synek ma problemy zdrowotne – ze współczuciem odparła Betty.

– Ale...przecież nigdy się nie skarżę, nikomu o tym nie wspominałam – mówiła zażenowana. – To znaczy pan Blackhawk zajrzał raz do szpitala, kiedy musiałam przyprowadzić tam Markiego...

– I opowiedział nam o tym – wpadła jej w słowo Betty. – Nie chciał, by ktokolwiek sądził, że nie zjawiłaś się w pracy z błahego powodu. On na swój sposób cię lubi, chociaż zabawnie jest obserwować, jak na ciebie reaguje. Najwyraźniej go wkurzasz.

– To utrzymuje go w ryzach – ze śmiechem powiedziała Joceline. – Małe tornado co jakiś czas i mam szefa ustawionego do pionu. To działa oczyszczająco, a on nie jest z tych, co się obrażają o byle co czy przez długi czas noszą w sobie urazę.

– Och, kawa! – rzekła z uśmiechem Phyllis, wchodząc do pokoju. – Czy ja też dostanę?

– Jasne, siadaj – zaprosiła ją Joceline, mimowiednie rejestrując, że Phyllis ma na sobie elegancki markowy strój. Na coś takiego mogła sobie pozwolić na przykład Cammy Blackhawk, ona jednak była córką policjanta, pracowała na pół etatu i wieczorowo uczyła się w college'u. Skąd więc brała pieniądze na drogie ubrania? Zaraz jednak zreflektowała się.

Jestem rozdrażniona, pomyślała Joceline, dlatego irytują mnie drobiazgi, na które w ogóle nie powinnam zwracać uwagi.

– Rozmawialiśmy o naszych służbowych obowiązkach – wyjaśniła

Betty.

– Są takie nudne – narzekła Phyllis. – Szkoda, że nie mogę być oficerem śledczym, jak mój ojciec, i mieć dostępu do miejsc zbrodni.

– Oglądasz za dużo telewizyjnych programów kryminalnych – kpiąco skomentowała Betty.

Ta uwaga wyraźnie skonsternowała Phyllis, natomiast Joceline dołożyła swoje:

– Pokazują w nich, jak dzięki drobnym poszlakom można rozwiązywać wyjątkowo trudne i skomplikowane sprawy. Fikcyjne sprawy, fikcyjne śledztwa, a proza życia wygląda całkiem inaczej.

– No właśnie, choć bardzo wielu ludzi nie dostrzega różnicy – rzekła z westchnieniem Betty.

– Obecnie sędziowie przysięgli czują się tak oblatani, że spierają się z prokuratorami o dowody rzeczowe w procesach o morderstwa. Obejrzą kilka programów w telewizji i myślą, że mogą rozstrzygać w kwestii dowodów przedstawianych przez ekspertów z zakładu medycyny sądowej.

– Wiem, że prawda jest inna, niż pokazują to w telewizji – zgodziła się Phyllis. – W serialach czy filmach kryminalnych zwłoki są schludne i czyste, a tak naprawdę wszędzie jest krew, rozbryzgana jak farba... – Urwała, gdy dotarło do niej, że Joceline i Betty wpatrują się w nią w milczeniu, nie kryjąc zdumienia. – Och, tata czasami pozwala mi obejrzeć zdjęcia z akt – wyjaśniła pośpiesznie. – Uczy mnie, jak naprawdę gromadzi się dowody.

– Rozumiem – powiedziała Betty, lecz nadal była mocno poruszona.

– Nie zawsze w telewizji wszystko jest takie czyściutkie i schludne – dodała Joceline. – Jak na mój gust niektóre programy są zbyt drastyczne, zwłaszcza że mój synek mógłby wejść i zobaczyć coś, co przyprawiłoby go

o nocne koszmary.

– Och, nigdy nie byłam przesadnie wrażliwa, nawet w dzieciństwie – rzuciła drwiąco Phyllis, po czym oświadczyła nieoczekiwanie: – Ta sprawa o zabójstwo, nad którą pracowaliśmy z panem Blackhawkiem i w której aresztowano Jaya Coppera, była naprawdę fascynująca. Czy zajmujesz się aktami Hancocka? Wygrzebujesz informacje o jego przeszłości?

– Staram się wytropić to i owo – odparła Joceline.

– Dzisiaj dostałam z wydziału policji w San Antonio kilka kartotek przestępców, ale jeszcze ich nie wprowadziłam do komputera. Mam mnóstwo roboty, więc pewnie zabiorę je do domu.

– Przypuszczam, że to obszerne kartoteki – rzekła Phyllis.

– Bardzo obszerne.

– Zabójstwo Kilravenów... cóż to za straszna tragedia – powiedziała Betty. – Pomyślcie tylko, ktoś zamordował małe dziecko!

– Dzieci czy dorośli, śmierć to tylko śmierć.

– Phyllis obojętnie wzruszyła ramionami. – Wszyscy umierają tak samo.

– Patrzałabyś na to inaczej, gdybyś była matką rzuciła ostro Joceline.

No cóż, oczywiście, ty masz syna – odparła Phyllis z wymuszonym uśmiechem.

Betty wypila kolejny łyk kawy, po czym oznajmiła ponuro:

– Martwię się tymi groźbami Monroego. Pan Blackhawk je lekceważy, traktuje jak żart, ale ten facet jest niebezpieczny. Wuj jego żony nauczył go okrucieństwa, a szwagier to istny potwór.

– Tak... – Joceline skinęła głową. – Jay Copper przysporzy nam dużych problemów, jeśli zdoła uniknąć kary – powiedziała z naciskiem. – Wyobraźcie sobie, żeby zlecić zamordowanie matki i dziecka!

– A jestem pewna, że on to zrobił, choć tak bardzo się wypiera – rzekła pośpiesznie Betty. – Być może to Dan Jones dokonał zabójstwa, ale stał za tym Copper. Jeśli zdołają go skazać, to już będzie coś. Mam nadzieję, że im się uda.

– Pan Blackhawk wieczorem, o siódmej, ma się spotkać z informatorem – oznajmiła z powagą Joceline. – Nie zgodził się na ochroniarza, bo uważa, że Harold Monroe nie jest groźny.

– To lekkomyślność – stwierdziła Betty Rimes.

– Przecież wszyscy wiemy, co przydarzyło się sierżantowi Marquezowi, kiedy poszedł na spotkanie z tajnym informatorem.

Marquez został potrącony przez samochód i trafił do szpitala. Joceline bała się powtórki, dlatego wieczorna eskapada Jona napawała ją lękiem.

– Pan Blackhawk bardzo ryzykuje – powiedziała.

– Och, jestem pewna, że nic mu się nie stanie – rzekła bez troski Phyllis. Zerknęła na swój bardzo drogi zegarek. – O rety, muszę wracać do pracy! Dzięki za kawę.

Wyszła, nie wrzuciwszy monety do puszek, w których zbierano pieniądze na odremontowanie stołówek. Betty bez słowa wyjęła z kieszeni banknot i włożyła do skarbonki.

– Ach, ci młodzi – skomentowała z westchnieniem.

– Jesteś miła – rzekła z uśmiechem Joceline.

– Dzięki, ty również.

– Naprawdę mam nadzieję, że uda się skazać Jaya Coppera za zabójstwo małej Melly – powiedziała Joceline cicho, po czym dodała łagodnym tonem:

– Kilraven wciąż jeszcze ją oplakuje, chociaż zdołał się pozbierać i założył nową rodzinę. Z Winnie spodziewają się dziecka na początku

przyszłego roku.

– Uśmiechnęła się ciepło. – Jaki wspaniały prezent będą mieli na Gwiazdkę, jeśli Winnie urodzi trochę wcześniej!

– Gwiazdka! – wykrzyknęła Betty. – Boże, jeszcze nie zaczęłam robić świątecznych zakupów.

– Jest mnóstwo czasu. Przed nami dopiero Święto Dziękczynienia.

– Tak, ale zwykle miałam wszystko kupione już w sierpniu. Szkoda, że nie radzę sobie z tym tak dobrze jak z pracą – rzekła Betty ze śmiechem.

Joceline też się roześmiała.

– Cóż, każdy z nas orze, jak może. – Gdy zadzwonił telefon, poderwała się z krzesła. – Pora wracać do roboty. Dziękuję za ostrzeżenie – dodała ciepłym tonem. - Jeśli mnie zwolnią, przynajmniej będę na to przygotowana. Być może powinnam zacząć pisać CV.

Nic śpiesz się, to pewnie tylko plotki. Owszem, jakichś cięć budżetowych nie unikniemy, ale biuro nie będzie skutecznie działać, gdyby całą papierkową robotę zwalono na mnie i na asystentkę pana Blackhawka zatrudnioną na pół etatu. Ja dostałabym załamania nerwowego, a biuro przemieniłoby się w jeden wielki chaos. – Spojrzała na Joceline. – No i nie umiem... nikt z nas nie umie tego, co tobie przychodzi tak łatwo. Wyszukujesz w sieci, co dla innych jest zakryte, a przede wszystkim czarodziejskimi sztuczkami nakłaniasz ludzi do mówienia. Jesteś naprawdę niesamowita. Jak to się dzieje, że z najbardziej opornych potrafisz wyciągać informacje?

– Owszem, potrafię to robić. – Wydęła wargi.

– W razie czego otworzę firmę Tropiciel Joceline sp. z o. o. i za dużą kasę będę zbierać dane dla oficerów śledczych. Zostanę milionerką, no i do twarzy mi w trenczu.

Betty parsknęła śmiechem.

Tuż przed końcem pracy, gdy Joceline właśnie włożyła do torby obszerną kartotekę Barta Hancocka, zadzwonił telefon.

– Halo – rzuciła pośpiesznie do słuchawki.

– Moja ukochana! Kopę lat!

Poznała ten głos z charakterystycznym południowoafrykańskim akcentem. Z pamięci wypłynął obraz surowej, spalonej słońcem twarzy z przepaską na oku i jasnymi włosami związanymi w koński ogon.

– Rourke – mruknęła.

– Wiesz, jesteś szczęściarą, bo znów będziesz mnie mieć przy sobie – rzekł przeciągle. – Wyobraź sobie, przez kilka tygodni będę cię pilnować, dopóki ten świr nie przestanie ci grozić.

– Już nie mogę się doczekać – odparła kpiąco.

– Masz pancierz?

– Słucham? – spytał po krótkim wahaniu.

– Kamizelkę kuloodporną i w ogóle cały ten arsenał bojowy.

– Nie, ale mogę wypożyczyć. Dlaczego miałbym tego wszystkiego potrzebować?

– Jeśli spróbujesz mnie ochraniać, natrę cię niedźwiedzim tłuszczem, a potem otworzę w ogrodzie zoologicznym klatkę z lwami – oświadczyła słodkim tonem.

Rourke zaśmiał się leniwie.

– Joceline, mój skarbie, w Afryce Południowej mam dwa oswojone lwy, które mieszkają w moim domu. Nie przerażają mnie wielkie koty. Kochanie, skoro jednak tak bardzo nalegasz, by natrzeć mnie niedźwiedzim sadłem, i to całego – dodał głębokim, aksamitnym głosem – to już pędzę do ciebie. Będą w twoim gabinecie za dwie minuty. Co tam czerwone

światła!

Trzasnęła słuchawką i zacisnęła wargi w wąską linię, a potem wymamrotała coś pod nosem.

Gdy po chwili znów rozbrzmiał telefonu, chwyciła słuchawkę i wrzasnęła bez namysłu:

– Rourke, jeśli jeszcze raz zadzwonisz, to podam cię do sądu za nękanie!

Odparła jej złowieszczą cisza, wreszcie Joceline usłyszała ponury głos Kilravena:

– Joceline, mam złą wiadomość.

– Winnie...? – rzuciła zaniepokojona, gdyż bardzo lubiła żonę McKuena, z którą często wybierała się na zakupy.

– Nie, nie Winnie. Mój brat...

– Jon? Coś się przydarzyło Jonowi? – krzyknęła histerycznie, lecz nie dbała o to. Ze zgrozą przypomniała sobie telefoniczną groźbę Monroego. Kurczowo ścisnęła słuchawkę. – Co się stało?

– Został postrzelony. Rana jest ciężka. Leży w Centrum Medycznym im. Hala Marshalla.... Halo? Joceline?

Lecz ostatnie słowa Mac mówił już tylko do siebie. Joceline z torbą na ramieniu wbiegła do gabinetu Betty Rimes i przekazała straszną wieść.

– Jadę do szpitala – oznajmiła. – Zadzwonię do ciebie, jak tylko dowiem się czegoś więcej!

Betty zaczęła mówić, że przy Jonie z pewnością jest rodzina, która przekaże wszelkie wiadomości, lecz urwała na widok miny przyjaciółki. Zastanowiła się, czy Joceline w ogóle zdaje sobie sprawę ze swojego uczucia do Jona Blackhawka – uczucia, które jawnie malowało się na jej ściągniętej niepokojem twarzy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kilraven siedział na niewygodnym krześle w poczekalni oddziału nagłych wypadków, mając obok siebie Winnie. Podniósł wzrok, gdy weszła Joceline. Na jego twarzy, zazwyczaj niewzruszonej i nieprzeniknionej, widniał taki sam niepokój jak na twarzy asystentki brata.

– Są jakieś nowe wiadomości? – spytała Joceline, obejmując na powitanie Winnie.

– Zabrano go na salę operacyjną – oznajmił posepnie Kilraven. – Lekarze powiedzieli, że będą wiedzieć więcej po operacji. Dostał strzał w plecy. W plecy!

– Mam nadzieję, że znajdą Harolda Monroego i go powieszają! – z furią wyrzuciła z siebie Joceline.

– To byłoby dobre rozwiązanie – odparł Kilraven. – Nie mógłbym tego dowieść, ale jestem przekonany, że on to zrobił. I znajdę dowód, nieważne, ile czasu mi to zajmie!

– Pomogę ci – rzuciła energicznie Joceline.

– Chcesz kawy? – spytała Winnie męża. Kiwnął głową i chciał wstać, ale pchnęła go z powrotem na krzesło. – Potrzebuję trochę ruchu. Tak twierdzi doktor. Ale dziękuję, kochanie. – Pocałowała McKuena. – Ty też się napijesz, Joceline?

– Tak, poproszę. – Wygrzebała z kieszeni banknot jednodolarowy i wręczyła go Winnie. – Nie będziesz stawiać mi kawy – rzekła stanowczo. – Jestem pracownikiem agencji federalnej, więc muszę się wystrzegać korupcji – dodała z udawaną surowością.

– Jak chcesz, Elliotcie Nessie – zripostowała rozbawiona Winnie.

Kilraven zmarszczył brwi.

– Elliott Ness kierował biurem FBI w Chicago w okresie prohibicji i rzeczywiście był nieprzekupny.

– Mój ty profesorze historii. – Winnie znów pocałowała męża.

– Nie znam się zbyt dobrze na historii Ameryki, chyba że jest powiązana ze Szkocją – oświadczył Mac, który specjalizował się w dziejach siedemnastowiecznej Szkocji.

– Czy Elliott Ness był z pochodzenia Szkotem? – spytała Joceline.

– Sprawdzę to – obiecał Mac.

Winnie poszła po kawę. Kilraven i Joceline siedzieli nieporuszeni, obserwując drzwi, przez które wchodzili i wychodzili członkowie personelu medycznego w zielonych kitlach. Niekiedy towarzyszyli im odziani na biało lekarze ze stetoskopami na szyjach.

– Duży ruch – zauważył Mac.

– Owszem – przyznała Joceline, przetrząsając torebkę. – Zatelefonowałeś do matki?

– Już tu jedzie. Kazałem jej przyrzec, że nie będzie sama prowadzić. – Skrzywił się. – Ma niezły wynik. W ciągu ostatnich pięciu lat rozwaliła dwa auta na słupach telefonicznych.

– Więc to po niej odziedziczyłeś talent do demolki samochodów – rzekła Joceline z miłym uśmiechem.

– Nigdy nie rozbiłem wozu! – Spiorunował ją wzrokiem.

– Wybacz, zapomniałam. Wysadzano je w powietrze. To wielka różnica. – Z powagą pokiwała głową.

Poruszył się z zakłopotaniem.

– Każdemu z nas grożą zamachami bombowymi.

– Tylko że w twoim przypadku nie skończyło się na groźbach. Jakie to

szczęście, że nie było cię w tych autach, kiedy eksplodowały.

– Nic na to nie poradzę, że budzę w ludziach gwałtowne emocje.

– Podobno dotyczy to wszystkich członków tajnych oddziałów specjalnych – rzuciła żartobliwie.

– Staram się podążać bezpieczną drogą, zwłaszcza ostatnio – rzekł z uśmiechem. – Wykonuję najbardziej nudną robotę, jaką firma zdołała dla mnie znaleźć, to znaczy inwigilację.

– No tak, to o wiele bezpieczniejsze niż twoje dawniejsze zadania – Zmarszczyła brwi. – Czy to ty nasłałeś na mnie Rourke’a?

– Tak, Joceline – odparł z powagą. – I nawet nie próbuj mu zwiewać, wystawiać do wiatru. Jesteś do tego zdolna, ale tym razem odpuść sobie. Groźby Harolda Monroego są śmiertelnie poważne, jak mogłaś się dzisiaj przekonać. Monroe powiedział, że ty będziesz następna, wiem to od Jona. Joceline, masz małego synka, mieszkacie w niechronionym bloku. Powtarzam, odpuść sobie, a Rourke cię obroni.

– A kto obroni go przede mną? – rzekła z zadumą.

– Dobre pytanie.

Umilkli i znów wpatrzyli się w drzwi bloku operacyjnego. Właśnie w progu pojawił się chirurg w zielonym kitlu i skinął na Kilravena. Joceline również podeszła, nie zważając na to, że lekarz wyraźnie się zdziwił. McKuen potraktował to inaczej. W innych okolicznościach rozbawiłaby go nieustanna i nader gorąca troska Joceline o szefa.

Jej serce waliło tak mocno, że obawiała się, by Kilraven go nie usłyszał. Była śmiertelnie przerażona. Jeśli Jon Blackhawk umrze, to jakby słońce zaszło dla niej na zawsze. Nie chciała w ogóle rozważać takiej możliwości. Wiedziała jednak, że Jonowi naprawdę grozi śmierć. Ścisnęła kurczowo pasek torby jak linę ratunkową i wznosiła ku niebu bezgłośnie

błaganie:

– Proszę, niech on przeżyje, będę częściej chodzić do kościoła i dawać więcej na biednych, postaram się być lepsza, uprzejmiejsza, bardziej tolerancyjna...

– Zamknęła oczy. Nie można targować się z Bogiem, pomyślała.

– Moim zdaniem rokowania są ostrożnie optymistyczne – oznajmił chirurg i zerknął na Joceline, gdy westchnęła z ulgą. – Pocisk ominął najważniejsze narządy i utkwiał w klatce piersiowej. Wyrządził pewne szkody w płucach i oczywiście spowodował obfity krwotok w jamie opłucnej. Wydobyliśmy kulę i wprowadziliśmy rurę, by usunąć nadmiar płynów i ponownie rozszerzyć płuca. Uszkodzenie płuc jest minimalne. Widocznie strzelano ze sporej odległości, dzięki Bogu nie była to kula dum-dum. Rany się zagoją. Na szczęście pacjent jest młody i w doskonałej formie fizycznej.

– Czy mogę go zobaczyć? – spytał cicho Kilraven.

Doktor się zawahał. Był jednak życzliwym człowiekiem, a tych dwoje najwyraźniej kochało ранego pacjenta. Zastanawiał się, czy młoda kobieta to jego narzeczona. Wyglądała na bardzo zaniepokojoną.

– Za kilka minut – odpowiedział. – Przeniesiemy go do sali pooperacyjnej, a potem umieścimy na dzień lub dwa na oddziale intensywnej opieki medycznej. Tylko na wszelki wypadek – dodał szybko, gdy oboje pobledli. – Musimy dopilnować, żeby nie doszło do żadnych powikłań, które mogłyby opóźnić proces powrotu do zdrowia. Później zatrzymamy go w szpitalu jeszcze przez trzy, cztery dni, aby się upewnić, czy rekonwalescencja przebiega właściwie. Ale sądzę, że wszystko będzie dobrze – zakończył łagodnym tonem.

– Da nam pan znać, kiedy już będziemy mogli go zobaczyć? – zapytał

Kilraven, spoglądając na Joceline, jakby było oczywiste, że dotyczy to również jej.

– Przyślę do was pielęgniarkę. On jest agentem FBI, prawda?

– Tak – potwierdził Mac. – Jednym z najlepszych.

– Na nasz oddział nagłych wypadków bardzo często przywożą rannych od postrzałów. – Lekarz ciężko westchnął. – Niestety, w tym rejonie jest więcej rewolwerowców niż chirurgów urazowych.

– Kiedyś to się zmieni – zapewnił Kilraven.

– Obawiam się, że nie za mojego życia. – Doktor smutno się uśmiechnął. – Muszę już wracać do pracy. Właśnie przywieziono siedmioletnie dziecko, ktoś strzelił do niego z przejeżdżającego samochodu. – Pokiwał głową. – Za moich czasów o narkotykach tylko szeptano, nie było szeroko zakrojonej dystrybucji, żadnych uzbrojonych gangów ani... – Wzruszył ramionami. – To był świat mniej tolerancyjny, ale też o wiele mniej brutalny.

– Czytałem o pewnym eksperymencie – powiedział cicho Kilraven. – W ciasnej, zamkniętej przestrzeni umieszczano coraz więcej szczurów, aż wreszcie były tak stłoczone, że ledwie mogły się poruszać. Wówczas stały się agresywne, zaczęły atakować się nawzajem, a nawet pożerać.

– Wiem, o czym pan mówi. Na tej planecie o niewystarczających zasobach naturalnych jest nas za dużo i żyjemy w miastach na zbyt małej powierzchni. Przyroda ma własne sposoby ograniczania populacji i radzi sobie z tym bez naszej pomocy. – Zerknął w kierunku oddziału nagłych wypadków. – Muszę dodać, że wolę naturalne metody. Rewolwery i noże powodują tylko zamęt;

– Zgadną się z panem – przytaknął Kilraven. – Też na co dzień stykam się z rezultatami ich użycia. – Nie dodał, że sam pomógł kilku

przestępcom trafić do szpitala.

Chirurg rzucił im pokrzepiający uśmiech i zniknął za drzwiami.

Joceline starała się ukryć łzy przed Kilravenem.

– Hej, przestań – rzucił do niej żartobliwym tonem.

– Nigdy nie pozwól nikomu zobaczyć, że płaczesz.

Zaśmiała się, tłumiąc szloch, i otarła oczy dłonią.

– On jest okropnym szefem – powiedziała z trudem. – Każe mi pracować do późna, zawala mnie robotą, obraża...

– Jon cię obraża? – spytał wstrząśnięty Mac.

– Żąda, abym robiła mu kawę! – oznajmiła z teatralnym oburzeniem, znów ocierając łzy. – Wyobrażasz to sobie?

– Wcale mu się nie dziwię. Odwiedzający nas adwokaci grożą Jonowi pozwem sądowym za to, że muszą pić lurę przyrządzaną przez agentów.

– Więc powinno się zabronić Murdockowi parzyć kawę – stwierdziła autorytarnie.

– Padła taka propozycja, choć niektórzy posunęli się dalej. Zażądano, by zakopać go w ziemi.

– W naszym gabinecie hodujemy w donicy wielką roślinę, której przydałoby się nawożenie – rzekła w zamyśleniu Joceline. – Niestety agent Murdock jest za wielki i tam się nie zmieści.

– Moglibyśmy... – zaczął z entuzjazmem Mac.

Joceline podniosła rękę.

– Proszę, przestań! – Dodatkowo zmiękczyła go spojrzeniem. – Jesteśmy w szpitalu.

– To tylko luźny pomysł, daleki od konkretyzacji. W każdym razie gdy znów odwiedzę Jona w jego gabinecie, przyniosę własną kawę.

Na dźwięk imienia szefa Joceline uśmiechnęła się lekko.

– Dobry pomysł... – Zamilkła na moment. – Cieszę się, że z tego wyjdzie. – Wyraźnie się odprężyła. – Chyba już pójdę.

– Najpierw musisz go zobaczyć.

– Sama nie wiem... Powinniście wejść do niego ty i Winnie.

– Winnie uzna, że to ty powinnaś go odwiedzić.

– Dzięki – wymamrotała schrypniętym głosem, nie podnosząc wzroku.

Kilraven nie zdradził się, o czym myśli. Joceline i Jon przez długi czas odnosili się do siebie wrogo, aż kilka lat temu wybrali się razem na party. FBI zapewniło ochronę młodej kobiecie, która spotykała się z synem zagranicznego dygnitarza, i zapobiegło jej uprowadzeniu. Kobieta nalegała, by agent Jon Blackhawk, który kierował akcją, zjawił się na jej przyjęciu urodzinowym i przyprowadził ze sobą partnerkę. W tej sytuacji Jon namówił Joceline, żeby z nim poszła, Podobnie jak on, nie cierpiała przyjęć, w ogóle nie gustowała w życiu towarzyskim. A jednak się zgodziła.

Po tym wieczorze Joceline zachowywała się dziwnie, nawet chciała rzucić pracę, lecz Jon nakłonił ją, żeby została. Nie mówił wiele o tym, co się wtedy zdarzyło, wspominał jedynie, że za dużo wypił i Joceline musiała go zawieźć do szpitala. Później okazało się, że ktoś zrobił głupi dowcip i dosypał mu do drinka halucynogenne narkotyki. Winowajca, ów syn zagranicznego dygnitarza, wkrótce potem umknął z kraju i już nigdy nie wrócił.

Od dawna o tym nie rozmyślał. Jon z zasady nigdy nie pił, w ogóle prowadził purytański tryb życia. Był człowiekiem do szpiku kości uczciwym i szlachetnym a oto McKuen widział go dziś na wózku, a rana na plecach strasznie krwawiła. Z trudem zniósł ten widok, bo bardzo kochał Jona. Wiedział też, że Cammy wpadnie w furję. Żyła w ciągłym lęku, że coś

takiego się wydarzy, odkąd Jon wstąpił do służb ochrony porządku publicznego. Wszędzie trzymała różańce, nawet w schowku na rękawiczki w samochodzie, i nieustannie modliła się o bezpieczeństwo syna. Przynajmniej teraz, gdy jedzie do szpitala, nie prowadzi auta sama, gdyż mogłoby dojść do następnej tragedii. Kilraven przywiózłby ją, ale bał się zostawić Jona, jakby jego obecność utrzymywała brata przy życiu.

Zanim wezwała ich pielęgniarka, upłynęło kilka nerwowych minut. Ani Kilraven, ani Joceline w głębi duszy nie wierzyli, że Jon może umrzeć, musieli jednak zobaczyć go na własne oczy, by się o tym upewnić.

Jon miał na sobie szpitalną koszulę, ale leżał w łóżku z odsłoniętą pierś. Był biały jak kreda. Na jego wargach widniała zakrzepła krew. Oddychał z trudem mimo wychodzącego z klatki piersiowej drenu, którym usuwano z płuc nadmiar płynów. Odżywiano go kroplówką podłączoną do ramienia. W nozdrzach miał rurki dostarczające tlen, był przyłączony do kilku monitorów. Długie, kruczoczarne włosy leżały rozsypane w nieładzie na poduszce. Oczy miał zamknięte.

Na tle cichych elektronicznych pisków aparatury kontrolnej rozległo się gwałtowne westchnienie Joceline, prawie szloch. Szybko się jednak opanowała.

– Na pewno nie chciałby mieć tak potarganych włosów – szepnęła.

– To prawda – przytaknął Kilraven.

Zerknął na nią i zauważył, że jest niemal równie blada jak Jon. Kurczowo ścisnęła torebkę, jakby bała się ją zgubić.

– To twardy facet – powiedział pocieszająco.

– A ja znam się trochę na ranach postrzałowych. Jon z pewnością bardzo cierpi i minie sporo czasu, nim wyzdrowieje, ale wyjdzie z tego, Joceline.

– Tak, na pewno – poparła go, opanowując lęk.

– Zobaczysz, już jutro będzie pouczał pielęgniarki, jak mają podawać kroplówkę, i groził lekarzom, że opuści szpital.

Skinęła głową, nawet próbowała się uśmiechnąć, jednak tak bardzo ją bolało, gdy musiała patrzeć na silnego, pełnego energii szefa, którego powaliło cierpienie i leżał bezradny, niezdolny do jakiegokolwiek działania.

Kilraven przyjrzał się jej ukradkiem. Zaskoczyło go, że tak bardzo to przeżywa. Owszem, żyli się w pracy, ale w tym było coś więcej, znacznie więcej. A może Joceline przeżywa swoiste *deja vu*? Może myśli o tajemniczym kochanku, który zaginął podczas wypełniania zagranicznej misji? O ojcu Markiego?

Markie... Kilraven poczuł niepokój.

– Wyjdę na chwilę. – Opuścił salę OIOM– u, żeby przeprowadzić krótką rozmowę telefoniczną.

Joceline ledwie zwróciła na to uwagę. Delikatnie wygładziła długie, gęste, potargane włosy Jona.

Wspomniała, jak kiedyś dotykała tych chłodnych, jedwabistych włosów, czując tak potężną falę uczuć, że mogłyby niemal przyprawić ją o śmierć. Jon nie pamiętał tamtego zdarzenia. To dobrze. Nie chciała, żeby sobie przypomniał.

– Nie dotykaj mojego syna!

Zamarła, a potem gwałtownie cofnęła rękę, gdy do pokoju wtargnęła Cammy Blackhawk. Spiorunowała ją wzrokiem i stanęła przy łóżku, odwrócona plecami do Joceline.

– Jon – wyszeptała. – Mój biedny chłopiec. – Pocałowała go w czoło, powstrzymując łzy. Przygładziła włosy syna i długo wpatrywała się w niego. Potem odwróciła się do Joceline, emanując chłodną wyniosłością i

wrogością. – Nie masz prawa tutaj przebywać – wycodziła.

Joceline nie oponowała. Rzuciła ostatnie spojrzenie na Jona i wyszła z pokoju.

– Dokąd idziesz? – spytał zaskoczony Kilraven, gdy natknął się na nią w holu.

– Wychodzę. – Joceline była bardzo blada, ale panowała nad sobą. – Życie toczy się dalej. Jest tam twoja matka – wyjaśniła sucho.

– Boże, dopiero teraz zacznie się prawdziwa męka – oznajmił ponuro. – Cammy zacznie sztorcować personel, a oni zagrożą, że wywieszą ją za okno na prześcieradle. – Gdy Joceline parsknęła śmiechem, dodał cicho, z powagą: – Nie przejmuj się nią. Uwierz, ona jest inna, niż się wydaje.

Nie skomentowała tej uwagi, tylko powiedziała:

– Mam nadzieję, że Jon rzeczywiście wydobrzeje.

– Na pewno. Zadzwoń do ciebie, jeśli nastąpi jakaś zmiana.

– Dziękuję, Mac.

– Posłuchaj, Joceline... – Zmrużył oczy. – Zadzwoń do Rourke'a i polecił mu, żeby pilnował ośrodka dziennej opieki, w którym jest twój syn.

– Co takiego?! – Zbladła jeszcze bardziej.

– Monroe ci groził, niestety nie potrafimy mu tego udowodnić, więc nie można go aresztować. Jest pod obserwacją, tyle mogę powiedzieć, ale niewykluczone, że twojemu synkowi zagraża niebezpieczeństwo. Musi mieć ochronę. Ty również.

Przeraziło ją, że Markie też może trafić do szpitala jako ofiara niepoczytalnego przestępcy.

– Ależ skądże! – zaprotestowała. – To jeszcze dziecko!

– Podobnie jak Melly – z posępną miną przywołał swoją

zamordowaną córeczkę. – Miała zaledwie trzy latka, kiedy... – Głos mu się załamał.

– Przykro mi – powiedziała Joceline. – Naprawdę, ogromnie ci współczuję.

– Twoje współczucie mi jej nie zwróci... ani nie ustrzeże twojego synka – oświadczył surowo Kilraven. – Ochroni go Rourke, więc zaakceptuj jego pomoc. – Gdy Joceline się skrzywiła, dorzucił:

– Doskonale wiem, że bywa nieznośny i wcale nie musisz go lubić, ale to najlepszy prywatny ochroniarz, jakiego znam.

– Dobrze, zgoda.

Kilraven przyjrzał się jej przenikliwie.

– Nigdy nie przyprowadzasz synka do pracy. Nie masz też jego zdjęcia na biurku. Ale najwyraźniej ogromnie go kochasz.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków – zareagowała natychmiast.

Nadal wpatrywał się w nią niewzruszenie, bez mrugnięcia okiem.

– Nic takiego nie robię, po prostu...

– Oddzielam życie zawodowe od osobistego – wpadła mu w słowo. – Chronię swoją prywatność. – Umknęła wzrokiem.

– I dlatego starasz się nie przyciągać niczyjej uwagi?

– Tak – odrzekła szybko, pragnąc zakończyć ten temat.

– Rozumiem... – Kilraven nie drażył dalej, jednak wyczuwał, że ta rozmowa, choć pozornie dotyczyła oczywistej sprawy, ma bardzo interesujący ukryty podtekst. – Nie martw się o szefa – powiedział łagodnym tonem. – Jest w dobrych rękach.

Spojrzała w kierunku szklanych drzwi, za którymi Cammy Blackhawk w dalszym ciągu przyglądała włosy syna i przemawiała do niego.

– Zauważyłam – rzuciła cierpko.

– Miałem na myśli lekarzy.

– Tak, oczywiście...

– Nie znasz przeszłości Cammy Blackhawk, a ja ci jej nie wyjawię – powiedział nieoczekiwanie.

– Ale istnieje powód, że jest taka, jaka jest. Postaraj się zbytnio nie przejmować tym, jak odnosi się do ciebie.

– Kocha syna. Nie ma w tym niczego złego.

– Owszem, ale dyryguje jego życiem. A przynajmniej usiłuje.

– Chce dla niego jak najlepiej. – Joceline wyduła wargi, a w jej oczach zamigotał kpiący błysk. – Pragnie, aby miał najlepszą konsultantkę mody, jaką można znaleźć.

– Jakoś nie widzę go w takim związku. Bardziej pasowałaby do niego kobieta, z którą mógłby grać w gry komputerowe.

– Nie patrz tak na mnie – odparła stanowczo Joceline. – W moim życiu jest już jeden mężczyzna. Nie potrzebuję innego.

– Ojciec twojego syna, zaginiony w akcji bojowej?

– Tak.

– Nadal mam kontakty w sferach wojskowych – oświadczył, przyglądając się Joceline z niepokojącą intensywnością. – Mógłbym poprosić, żeby sprawdzono, co się z nim stało.

Upuściła torebkę, po czym szybko ją podniosła.

– Przepraszam, to był ciężki dzień, a ja jestem niezdara... – Przymknęła na moment oczy. – Nie, dziękuję, już to sprawdzili. Zaginął w górach, w których prawdopodobnie znajduje się tajna baza niedobitków Al-Kaidy. W dowództwie naszej armii byli pewni, że został zabity, tylko wahali się, czy mnie o tym powiadomić. Dopóki nie ma absolutnej pewności... – Jej głos zamarł.

– Rozumiem – rzekł współczująco Kilraven.

Od dalszej rozmowy na ten temat wybawił ją powrót Winnie z dwiema filiżankami kawy. Podała jedną mężowi i powiedziała do Joceline:

– Myślę, że powinnaś już pójść do domu. Miałaś ciężki dzień.

– Tak – odrzekła z wdzięcznością. – Ale zadzwonicie do mnie, jeśli nastąpi jakakolwiek zmiana w stanie zdrowia Blackhawka?

– Oczywiście – zapewniła ją Winnie.

– Joceline, pytała o ciebie zastępczyni prokuratora okręgowego – oznajmił Mac. – Wciąż ma nadzieję, że opuścisz okręt i zaczniesz u niej pracować – dorzucił kpiąco.

– Niewykluczone, że tak się stanie. – Westchnęła ciężko. – Krążą pogłoski o zredukowaniu personelu w moim biurze. Betty Rimes pracuje najdłużej, więc jeśli mają kogoś wylać, padnie na mnie. – Zamilkła na chwilę. – To był naprawdę koszmarny dzień.

Kilraven zmarszczył brwi.

– W żadnym razie cię nie zwolnią.

Joceline uśmiechnęła się smutno.

– Kogoś zwolnią, jeśli będą musieli, a nie łudzę się, że jestem najlepszą asystentką na świecie. – Ponownie westchnęła. – A teraz muszę się martwić nie tylko o to, lecz także o szefa i mojego syna...

– Nie o Markiego – zapewnił ją Mac. – Rourke dopilnuje, żeby nie spotkało go nic złego... ani ciebie.

– W porządku — wycodziła Joceline.

– A Jon wyzdrowieje.

– Miał krew na wargach – niemal szepnęła.

– Dostał postrzał w płuca – odparł Kilraven. – Kiedy go znaleziono, miał krwotok z ust. Dzięki Bogu, że przynajmniej stało się to na głównej

ulicy i natychmiast go zauważono.

Tak... – Znow poczuła ogromny ból na myśl, jak bardzo cierpi Blackhawk.

– A teraz już wracaj do domu, do synka – powiedziała łagodnie Winnie. – Przy nim przestaniesz tak strasznie się zamartwiać.

– Och, to jego specjalność – odparła Joceline, wskazując drzwi salki, w której Cammy wciąż siedziała przy synu. – Wciąż się martwi o rodzinę, o znajomych, o cały świat. Taki już jest.

– Tak, wiem. – Mac uśmiechnął się. – A ty pamiętaj, że się z tego wyliże. Musisz tylko pokierować biurem, dopóki Jon nie wyzdrowieje.

Joceline poczuła się znacznie lepiej. To były optymistyczne słowa. Ona też musi być optymistką.

– Dobrze. A tak przy okazji... może znasz dobrego adwokata?

– Niespecjalnie, ale mogę popytać – odparł wyraźnie zaskoczony. – Dlaczego jest ci potrzebny?

– Jeszcze nie teraz, ale jak tylko Rourke wlezie mi przed oczy...

– Niezły z niego numer, co? – rzucił rozbawiony McKuen.

– Uratował ci życie, kochanie – przypomniała Winnie, obejmując go czule.

Odwzajemnił uścisk i pocałował ją we włosy.

– Owszem, ale zachowywał się okropnie.

– To jego specjalność – wtrąciła Joceline.

– Ochroni Markiego, a tylko to się liczy – z powagą stwierdził Kilraven. – Naprawdę jest w tym dobry.

– Czyli właściwie w czym? – spytała z zaciekawieniem Joceline. – Czym on się zajmuje, kiedy nie odwzajemnia ci przysług?

– To nie twoja sprawa – odparł stanowczo Mac.

– Nie musisz o tym wiedzieć.

– Ważni faceci i ich jeszcze ważniejsze tajemnice – skomentowała kpiąco, po czym uśmiechnęła się do Kilravena i Winnie, spojrzała z troską w kierunku sali, w której leżał Jon Blackhawk, i wyszła z poczekalni.

– Coś mi tu nie gra – mruknął Mac, gdy zniknęła za drzwiami.

– Co takiego? – spytała zaciekawiona Winnie. Nie odpowiedział. Miał swoją koncepcję dotyczącą powodów skrytości i powściągliwości Joceline. Zamierzał trochę powęszyć w wolnej chwili.

Gdy wrócili do sali OIOM– u, Cammy wstała od łóżka syna.

– Czy ta okropna dziewczucha już sobie poszła? – spytała ze złością.

– Joceline Perry jest w pracy prawą ręką Jona – zareagował stanowczo Mac. – Stała u jego boku w sytuacjach, gdy wiele innych kobiet wpadłoby w przerażenie i uciekłoby z krzykiem.

– Nie lubię jej. Jest niemoralna – oświadczyła Cammy.

– A gdyby przerwała ciążę, czy to uczyniłoby ją w twoich oczach bardziej moralną? – zapytał chłodno Kilraven. – A jeżeli ty byłabyś na jej miejscu i chodziłoby o Jona?

Cammy przełknęła nerwowo ślinę, zacisnęła wargi i odwróciła wzrok. Słowa McKuena przywołały koszmary, a w żadnym razie nie mogła mu o tym powiedzieć. Nikomu nie mogła powiedzieć.

Znów wygładziła włosy Jona, mówiąc cicho:

– Jest taki blady...

– Nic dziwnego, to był ogromny wstrząs dla organizmu – wyjaśnił Kilraven.

– Wiem, kochanie – powiedziała łagodnie i objęła go. – Przepraszam, zachowuję się okropnie. Ale tak bardzo się niepokoję... – W jej oczach pojawiły się łzy.

– Jon wyzdrowieje. – Mac uściskał ją serdecznie.

– Tak, na pewno...

– Myślałem, że sprawa tamtych zabójstw została całkowicie rozwiązana i zakończona, jednak pojawił się nowy trop. Niedawno dowiedziałem się, że szwagier faceta, który, jak sądzimy, to zrobił... – wskazał na rannego Jona – może być zamieszany w zamordowanie Melly.

– Co? – wykrzyknęła wstrząśnięta Cammy.

– To nie wszystko. Teraz poluje na synka Joceline – oznajmił Kilraven. Co prawda nie był tego pewien, ale miał uzasadnione powody do podejrzeń.

Cammy była w rozterce. Nie lubiła Joceline, ale uwielbiała dzieci... wszystkie dzieci.

– To fatalnie – stwierdziła.

– Istotnie – przytaknął Mac.

– Czy ona nie mieszka z przyjacielem czy w ogóle z kimś, kto mógłby obronić jej synka?

– Joceline mieszka sama, ale wysłałem do niej Rourke'a, żeby pilnował chłopca.

– Rourke'a! – Cammy wymownie przewróciła oczami. – Chociaż z drugiej strony on jest kawalerem, nie jest jeszcze stary, ale ma już swoje lata i na pewno myśli o założeniu rodziny... – mówiła w zadumie. Gdyby Joceline poślubiła Rourke'a, przeprowadziłaby się do RPA, daleko od Jona.
– Być może polubią się nawzajem – zakończyła z uśmiechem.

Kilraven nic nie odpowiedział. Wiedział, że trybiki w głowie Cammy zaczynają się obracać, i nagle zrobiło mu się żal Rourke'a.

Joceline wstąpiła do mieszkania i zostawiła rzeczy zabrane z biura. Wiedziała, że spóźni się z odebraniem Markiego z ośrodka dziennej opieki,

ale uprzedziła o tym telefonicznie właścicielkę. Pani Norris odpowiedziała jej, żeby się nie śpieszyła, zwłaszcza w tych wyjątkowych okolicznościach, i zapewniła, że chętnie na nią zaczeka. Słyszała w wiadomościach o postrzeleniu Jona i bardzo mu współczuła. Jednak nawet w części nie tak bardzo jak Joceline, która wprost odchodziła od zmysłów z niepokoju o szefa.

Jeśli on umrze, jak będzie mogła żyć ze swoim sekretem? Ta tajemnica dręczyła ją niemiłosiernie. Joceline była tak zdenerwowana, że ręce jej się trzęsły, gdy zamykała drzwi wejściowe i szła do samochodu. Wydało się jej, że dostrzegła przelotnie jakiś poruszający się cień, ale to z pewnością tylko gra jej wyobraźni. Była tak napięta, że miała zwidy.

Usiłowała odepchnąć od siebie myśli o ciężkim stanie Jona Blackhawka, musiała wyglądać pogodnie, by nie niepokoić Markiego. Odbierając synka z ośrodka dziennej opieki, wylewnie podziękowała pani Norris.

Chłopczyk pragnął się pochwalić nowymi rysunkami.

– To moja nauczycielka – oznajmił, pokazując matce wizerunek dość jeszcze nieudolny, ale w przedziwny sposób bardzo dobrze oddający podobieństwo. – A to pies, który przyszedł na nasz plac zabaw. Później przyjechał ciężarówką jakiś człowiek i go zabrał – dodał ze smutkiem. – Czy oni go zabijają?

– Nie! Odszukają tylko jego właściciela – odrzekła z uśmiechem, mając nadzieję, że to prawda.

– Szkoda, że nie możemy mieć psa...

Przymocowała Markiego w foteliku na tylnym siedzeniu, a potem zajęła miejsce za kierownicą. Ze wszystkich nie lubianych przez nią aspektów współczesnego życia najbardziej złościło ją właśnie usytuowanie fotelika. Dziecko powinno siedzieć w samochodzie obok rodzica, a nie samo

gdzieś z tyłu. Zgoda, poduszki powietrzne, które dorosłym ratują życie, są niebezpieczne dla malucha i mogłyby go zabić, ale przed laty mała Joceline, szczęśliwa i roześmiana, jeździła z ojcem na przednim siedzeniu furgonetki przypięta tylko pasami. Ktoś powinien wynaleźć fotelik, który wytrzyma reakcję poduszek powietrznych, co pozwoli dzieciakom, siedzieć bliżej rodziców.

Z westchnieniem włączyła się do ruchu. Powtarzała sobie, że szef wyzdrowieje. Musiała w to uwierzyć, żeby zachować równowagę psychiczną. Z Markiem też wszystko będzie dobrze. Rourke go ochroni. Nie musiała lubić tego człowieka, by wiedzieć, że jest dobry w swoim fachu – cokolwiek tak naprawdę robi, kiedy nie oddaje przysług Kilravenowi. Zaczęła się rozglądać, próbując wypatrzeć jednookiego wariata w którymś z mijających ją samochodów.

– Mamusiu, szukasz kogoś? – spytał z ciekawości Markie.

Joceline odchrząknęła, po czym odparła:

– Nie, tylko zwracam uwagę na uliczny ruch.

– Czy twój szef nazywa się Blackhawk? Ktoś mówił, że go zastrzelono. Naprawdę nie żyje?

– Nie, skądże! Jest tylko ranny i leży w szpitalu – odpowiedziała natychmiast.

– Cieszę się. Tamtego wieczoru graliśmy z nim w gry wideo. Lubię go.

– Też go lubię, synku – powiedziała ze smutnym uśmiechem.

– Czy moglibyśmy go odwiedzić?

Zaskoczona Joceline zdołała tylko wyjąkać:

– Małe dzieci nie mogą składać wizyt w szpitalach.

A przynajmniej tak było kiedyś. Nie znała obecnych przepisów. Minęło już kilka lat, odkąd sama leżała na oddziale położniczym, gdy

urodziła Markiego.

– To znaczy, że nie mogę się z nim zobaczyć?

– Niestety nie. Ale jest przy nim jego matka.

– Och, to dobrze.

Joceline miała w tej kwestii odmienne zdanie, lecz zachowała je dla siebie.

– Może zjemy lody? – zaproponowała.

– Super! Naprawdę możemy?

– Tak, kochanie. – Pomyślała, że takie drobiazgi czynią życie znośnym. Nawet najcięższy okres można łatwiej przetrwać dzięki prostym przyjemnościom.

Przystanęła przy lodziarni i zamówiła truskawkowe lody dla siebie, a orzechowe dla synka. Podała mu je z uśmiechem.

Oczy Markiego rozbliły z radości, gdy poczuł pyszny smak. Pomyślała, że wyrośnie na przystojnego młodzieńca. Oby tylko... No cóż, każdego dnia dziękowała Bogu, że jej syn jest podobny bardziej do niej niż do ojca.

Kiedy niedługo po zmroku zajechali przed dom, drzwi frontowe były otwarte. Joceline przełknęła nerwowo ślinę, nie wpadła jednak w panikę, tylko stanowczo poleciła synkowi:

– Zostań w samochodzie.

– Co się stało, mamusiu?

– Po prostu zostań. – Podeszła nieco bliżej, by zajrzeć do środka, lecz nie dostrzegła nikogo.

Oczywiście nie zamierzała wchodzić do mieszkania. Ktoś się włamał i nadal mógł tam być. A jeśli tak, to raczej nie był to złodziej, tylko zawodowy zabójca, któremu nakazano zabić ją i Markiego wyłącznie za to,

że znają Jona Blackhawka...

– No, no! – dobiegł ją ze środka głos o charakterystycznym południowoafrykańskim akcencie. – Dobrze, że nie wróciłaś wcześniej.

W progu stanął barczysty, przystojny i uśmiechnięty mężczyzna.

Jednym słowem: Rourke.

TTLR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Rourke! – wykrzyknęła Joceline. – Ty kretynie! Śmiertelnie mnie przestraszyłeś!

Pogwizdując, z rękami w kieszeniach zszedł po schodkach. Był wysoki i szczupły, ale muskularny. Długie jasne włosy wiązał w koński ogon spadający na plecy. Miał tylko jedno jasnobrazowe oko. Po drugim najpewniej pozostał pusty oczodół zakryty zawadiacką czarną przepaską.

– Posłuchaj, kochanie – powiedział ciepło, niemal czule – gdybym nie zjawił się tu przed tobą, przeżyłabyś okropny szok po otwarciu drzwi. Cześć, stary, jak się masz? – zwrócił się do Markiego.

– Dobrze. – Chłopiec bacznie mu się przyjrzał.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Rourke – przedstawił się z rozbawieniem.

– Ma pan tylko jedno oko.

– Zauważyłem – rzucił Rourke wcale nieurazony.

– Przykro mi.

– Miło, że to mówisz. – Rourke spojrział na Markiego z wyraźną sympatią.

– Czy zranił pana jakiś zły człowiek?

– Można tak powiedzieć.

– Podoba mi się pana przepaska na oko. W Halloween mógłby pan być piratem.

Rourke wybuchnął śmiechem.

– Wiesz, parę razy rzeczywiście nazwano mnie piratem czy innym złoczyńcą. – Rzucił wymowne spojrzenie na Joceline.

– Dlaczego tu jesteś i co się stało w moim mieszkaniu? – spytała z niepokojem.

– Nic strasznego. – Uśmiechnął się pokrzepiająco do Markiego, ale kiedy odwrócił się z powrotem do Joceline, miał poważną minę. – Ktoś przetrząsnął twoje biurko. Przychodzi ci do głowy, czego mógł szukać?

Serce jej zamarło. Nie miała żadnych ważnych dokumentów... niczego, co mogłoby kogokolwiek interesować. Tylko bankowe potwierdzenia wpłat, informacja o podatkach, świadectwo urodzenia jej i Markiego, nic więcej... Zaraz, jeszcze dziennik!

Przycisnęła się obok Rourke'a i w panice wbiegła do mieszkania. Trzymała dziennik w szufladzie nocnego stolika, ale był zagrzebany pod stertą innych rzeczy: książkami w tanich wydaniach, piórem i notesem, środkami przeciwbólowymi kupowanymi bez recepty, różnymi broszurami oraz instrukcjami obsługi domowych urządzeń elektronicznych. Nerwowo grzebała w szufladzie, przerażona tym, że opisała w dzienniku ważne i skrywane przed innymi wydarzenia z jej życia. Ale przecież nigdy nawet nie pomyślała, że ktoś mógłby ją obrabować!

Przerażona Joceline wyciągnęła na oślep książki.

I wówczas na dnie szuflady ujrzała swój dziennik z nienaruszonym zameczkiem. Nikt do niego nie zajrzał. Przycisnęła go do piersi, drżąc z ulgi.

– Przypuszczam, że zawiera coś niebezpiecznego? – zagadnął łagodnie Rourke.

Spojrzała na niego, wciąż przejęta lękiem.

– Ludzie zapisują rzeczy, które nigdy nie powinny zostać utrwalone na papierze.

– Owszem – przytaknął z powagą.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli go spalę. – Odetchnęła głęboko.

– Umieść go w banku w skrytce depozytowej.

– Razem z moją kolekcją brylantów i sztabkami złota? – rzuciła ironicznie, mierząc go wzrokiem. Gdy Rourke się roześmiał, mówiła dalej: – Posłuchaj, ledwie starcza mi na czynsz. Nie stać mnie na dodatkowe wydatki w rodzaju opłaty za skrytkę bankową. Najlepiej go zniszczyć. Z jego przechowywania tak czy owak nie wyniknie nic dobrego.

– Z przechowywania czego, mamusiu? – wtrącił się Markie, podchodząc do nich.

Rourke przyprowadził go chwilę po tym, jak Joceline weszła do mieszkania. Skrzywiła się, uświadomiwszy sobie, że lekkomyślnie zostawiła syna w samochodzie.

– W porządku, ochraniam was – zapewnił ją z uśmiechem Rourke.

– To tylko dziennik, Markie – wyjaśniła synkowi.

– Po prostu chciałam się upewnić, że leży na swoim miejscu.

– Mogę go przeczytać?

Chrząknęła nerwowo.

– Może kiedyś, gdy będziesz starszy.

– Zgoda.

Rourke przyglądał się jej zmrużonym bladobrązowym okiem. Zastanawiał się, co takiego w tym dzienniku wprawiło ją w panikę.

Reszta mieszkania na pierwszy rzut oka wydawała się nietknięta, lecz nie za bardzo uspokoiło to Joceline. Ktoś grzebał w jej rzeczach, wtargnął w prywatną przestrzeń. Czuła się zbrukana. Może powinna wymienić zamki w drzwiach?

– Owszem, powinnaś – zdecydował Rourke, gdy o tym wspomniała. – Jutro zamontuję wewnętrzne zasuwki. Czy potrzebna jest zgoda właściciela

domu?

Joceline pokręciła głową.

– Nie, kiedyś już o to pytałam i zarządca wyraził pisemną aprobatę.

Tylko że jeszcze tego nie zrobiłam.

– Szkoda... – mruknął Rourke.

Gdy spojrzała na niego, przez moment straciła panowanie nad wyrazem twarzy, na której odmalował się ogromny niepokój.

– Wtedy się nie bałam – bąknęła.

– A zawsze powinnaś bać się o dziecko, szczególnie gdy pracujesz w FBI. I o siebie – powiedział cicho, żeby Markie nie usłyszał.

Joceline włączyła telewizor.

– Chyba pora na czyjś ulubiony program – rzekła żartobliwym tonem do synka i usadowiła go w wyściełanym foteliku przed odbiornikiem.

Chłopczyk zachichotał.

– Uwielbiam go – odparł uradowany i wpatrzył się jak urzeczony w bohaterów kreskówki.

– Markie potrafi już rozpoznać niektóre japońskie litery tylko dzięki temu serialowi – oznajmiła z dumą Joceline, spoglądając na Rourke'a. – Myślę, że może mieć talent do języków.

– A ty znasz jakiś obcy język? – zapytał ją obojętnym tonem.

– Ledwie potrafię poprawnie mówić w ojczystym – odparła ze śmiechem.

– Więc pewnie odziedziczył tę zdolność po ojcu lub kimś z jego rodziny – stwierdził Rourke.

Joceline zbladła.

– Tak sądzisz? Lepiej sprawdzę, czy nic nie zginęło – oświadczyła, chcąc zmienić temat.

To ponownie przypomniało Joceline, że splądrowano jej mieszkanie. Była przerażona, lecz starała się tego nie okazywać, żeby nie przestraszyć Markiego.

Przeszła przez wszystkie pomieszczenia i dotarło do niej, jak bardzo się pomyliła, gdy uznała, że w mieszkaniu niczego więcej nie ruszono. Znalazła rozrzucone papiery, wysunięte szuflady, a nawet odwrócone poduszki fotela.

– Do diabła, czego oni szukali? – dociekała zaniepokojona.

– Czy oprócz tego trzymasz tu jeszcze jakieś ważne papiery? – zapytał Rourke, wskazując głową dziennik, który kurczowo ścisnęła w rękę.

Joceline odgarnęła włosy do tyłu i z niepokojem rozejrzała się wokoło.

– Rachunki, prywatne dokumenty, na przykład nasze akty urodzenia, to wszystko.

– I nic nie zginęło?

Podeszła do segregatora i wyjęła teczkę zawierającą osobiste papiery. Nie przechowywała niczego, co mogłoby stanowić jakikolwiek dowód. Była pod tym względem bardzo ostrożna.

Otworzyła teczkę, zajrzała do środka i westchnęła z bezbrzeżną ulgą.

– Wszystko jest na miejscu. – Parsknęła nerwowym śmiechem.

Rourke w zamyśleniu przyjrzał się Joceline. Nie zamierzał mówić, że łatwo można skopiować dokumenty, nie trzeba ich kraść. Każdy agent ma miniaturowy aparat fotograficzny, zamaskowany w postaci zapalniczki albo wiecznego pióra. Zameczek dziennika był tak prosty, że poradziłby sobie z nim nawet kompletny nowicjusz, nie pozostawiając żadnych śladów ingerencji. Joceline pracowała w FBI, więc musiała o tym wiedzieć, tyle że z tych nerwów uleciało jej to z głowy. Właśnie, z tych nerwów... Włamanie każdego by wyprowadziło z równowagi, ale Joceline najbardziej niepokoiła

się o dziennik i niektóre swoje papiery. Był ciekaw, dlaczego tak się dzieje.

Gdy spostrzegła, że głęboko nad czymś duma, ostro zareagowała:

– Nie bądź wścibski!

– A czy jestem? – wykrzyknął Rourke z szerokim uśmiechem.

– Zastanawiasz się nad tym wszystkim – rzekła oskarżycielskim tonem.

– Ładna, bystra i w dodatku potrafi czytać w myślach – rzucił kpiąco.

Joceline oblała się rumieńcem.

– Pozostańmy przy „bystra”, dobrze? – fuknęła rozzłoszczona.

– I nie lubi pochlebstw. Zanotuję to sobie. – Znów się uśmiechnął. –

Co byś powiedziała na przeprowadzkę do Afryki?

– Z tobą? Nigdy! – odparła stanowczo.

– W Kenii mam uroczą posiadłość z oswojonym lwem.

– Ma pan lwa?! – Markie błyskawicznie zerwał się z fotelika i z niekłamanym podziwem spojrzął na Rourke’a. – Czy dałby mi się pogłaskać?

– Mógłbyś nawet na nim jeździć – zapewnił go z życzliwym uśmiechem. – Jest obłaskawiony i bardzo łagodny. Wychowałem go od małego. Kłusownicy dopadli jego mamę.

– Dopadli? To znaczy zastrzelili, tak? – Markie posmutniał, zaraz jednak się rozpogodził. – Gdybym miał lwa, karmiłbym go hamburgerami.

– Raczej mama by ci nie pozwoliła trzymać takiego kotka w mieszkaniu – powiedział Rourke.

– W Anglii już tak zrobiono – wtrąciła się rozbawiona Joceline. – Parę lat temu było o tym głośno w internecie. Dwaj chłopcy kupili małe lwiątko i trzymali je w domu. Kiedy lew urósł, musieli oddać go do rezerwatu w Afryce. Później pojechali go odwiedzić, chociaż ludzie

ostrzegali, że lew zdziczał i ich zaatakuje. A jednak dwustukilogramowy kociak poznał chłopców, oparł łapy na ich ramionach i zaczął ocierać się łbem, a nawet zaprowadził do swojej samicy. – Uśmiechnęła się rzewnie. – Kiedy oglądałam to w internecie, płakałam jak bóbr. Potem wysłałam czek na drobną sumę do fundacji, która przejęła lwa od tych chłopców.

– Tak zwane dzikie zwierzęta w gruncie rzeczy wcale nie są tak bardzo dzikie – przyznał Rourke.

– Szkoda, że wielu ludzie traktuje je jako źródło szybkiego zysku.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – rzekła Joceline.

– Widzisz, jak wiele mamy ze sobą wspólnego?

– Chcę pojechać do Afryki i zobaczyć lwa – zdecydowanym tonem oświadczył Markie. – Mamo, możemy zaraz wyruszyć?

– Pomijając nawet kwestie organizacyjne – odrzekła łagodnie – to przecież pracuję, a ty musisz pójść jutro do szkoły.

– Och... – Malec przez chwilę myślał intensywnie. – To pojedźmy w sobotę, dobrze?

Joceline i Rourke zdołali zachować powagę, gdy wyjaśniali chłopcu, że taka wyprawa na razie jest niemożliwa, a kiedy chłopiec wrócił do oglądania telewizji, Rourke przyciszonym głosem rzucił komentarz:

– Dzieciom nawet rzeczy niemożliwe wydają się nadzwyczaj proste. – Myślał przy tym, czy skromne finanse Joceline pozwalają na częstowanie gości małą czarną, i postanowił, że przy następnej wizycie przyniesie pół kilograma znakomitej południowoafrykańskiej kawy.

– Markie przeżywa trudny okres – powiedziała ze smutkiem Joceline.

– Jest alergikiem, ma astmę i słabe płuca, przez co spędzamy mnóstwo czasu w gabinetach lekarskich.

– Są przecież zastrzyki przeciwko alergii – podsunął Rourke.

– Markie je dostaje i naprawdę pomagają, ale kiedy jest spięty albo narażony na infekcje wirusowe, łapie chorobę łatwiej niż inne dzieci.

– To sympatyczny chłopiec – stwierdził Rourke, zerkając na malca. – Doskonale sobie radzisz z jego wychowaniem.

– Dziękuję. – To były miłe słowa, szczególnie miłe dla samotnie borykającej się z trudnym losem matki.

Rourke znów zerknął na dziennik. Leżał przy prawej ręce Joceline. Odkąd znaleźli się w mieszkaniu, nie traciła go z oczu. Tak naprawdę nie była to jego sprawa, a jednak ciekawiło go, jakie sekrety ukrywała.

– Co z nim zrobisz? – zapytał, wskazując dziennik.

– Podrę i spalę – odparła bez wahania. – Oprócz mnie nikt nigdy nie może go przeczytać. – Widząc błysk w oczach Rourke’a, rzuciła z irytacją:

– Przestań być wścibski! – A gdy tylko uniósł brwi, dodała kąśliwie: – Rety, jak wiele potrafisz wyrazić bez słów.

– Mam ponad setkę rozmaitych min – oświadczył z komiczną dumą. Jednak Joceline wcale nie było do śmiechu.

– Czy ci włamywacze mogą tu jeszcze wrócić?

– zapytała z lękiem.

– Nie, raczej nie. Albo znaleźli to, czego szukali, albo tego tu nie było.

– Znaleźli...? – Patrzyła na Rourke’a z jawną zgrozą. Potem znów spojrzała na dziennik. Był zabezpieczony zamczkiem, ale przecież pracowała w FBI i doskonale wiedziała, że dla zawodowego przestępcy... czy dla agenta tajnych służb... to żaden problem uporać się z takim zamknięciem i sfotografować dokument.

– Joceline – odezwał się łagodnie Rourke. – Co takiego zawiera ten dziennik, że tak bardzo się boisz?

– Doskonale narzędzie szantażu, gdybym była bogata – odpowiedziała

ponuro, gładząc okładkę. – Ale nie jestem. I nie potrafię sobie wyobrazić, jaki inny użytek mógłby ktokolwiek zrobić z tego dziennika.

– Jednak prawda była inna. Ktoś o złych intencjach mógłby wyrządzić mnóstwo szkód za pomocą informacji zawartych w tej książeczce. Zadrżała na myśl o tym, jak mógłby je wykorzystać przestępca w rodzaju Monroego.

– Nie wolno ci się tym martwić – powiedział Rourke. – Rozejrzę się i zobaczę, co zdołam wywęszyć. Mam różnych informatorów.

– Nie boję się o siebie – odparła nerwowo. – Nie chcę tylko, żeby ucierpiał ktoś inny.

– A sądzisz, że to możliwe?

– Tak. – Nerwowo ścisnęła dłonie.

– Jakież splątane sieci tkamy – mruknął Rourke, cytując fragment znanego wiersza Waltera Scotta traktującego o oszustwach.

– Istotnie... – Joceline upiła kawy. – Dokonujemy wyborów, a potem ponosimy ich konsekwencje.

– Uważasz, że dokonałaś właściwego?

– Jedyne, jakiego mogłam. – Z uśmiechem spojrzała w kierunku synka, którego całkiem pochłonęła japońska kreskówka. – I nigdy go nie żałowałam.

– To wspaniały chłopiec.

– Dzięki.

– Podobno jego ojciec zginął podczas akcji bojowej – powiedział Rourke, nie patrząc na Joceline.

– Tak, podczas zagranicznej misji. Służył w armii. Oficjalnie zaginął, ale...

– Rozumiem. To smutne.

– Cóż, życie... – Wstała. – Chcesz jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję. Zbyt mocno reaguję na kawę, nadmierna dawka kofeiny może okazać się dla mnie zabójcza.

– Całkiem inaczej niż ja. Piję za dużo kawy.

– Zajmę się zasuwami. – Rourke podniósł się z krzesła. – Jutro wrócisz do biura?

– Jeszcze nie wiem – odparła z wahaniem. – Mojego szefa nie będzie, a jedyna sprawa, nad którą pracuję, dotyczy jego... – Przerwał jej dzwonek telefonu. Wstała i z ociąganiem sięgnęła po aparat, jakby miała wsadzić dłoń w ogień. Potem gwałtownie podniosła słuchawkę. – Halo. – Odpowiedziała jej długa cisza. Joceline miała wrażenie, że ze zgrozy krew zakrzepła jej w żyłach. – Halo! – powtórzyła, lecz połączenie zostało przerwane.

Joceline z przerażeniem popatrzyła na Rourke'a. Odebrał jej aparat, wystukał jakiś numer, słuchał przez chwilę, a potem rzucił do mikrofonu:

– Tak. Pośpiesz się. Najpóźniej za dziesięć minut chcę wiedzieć wszystko, nawet to, jaki alkohol pija. No, bierz się do roboty. – Odłożył słuchawkę.

Joceline zdumiała się, jaki władczy i rzeczowy jest Rourke, kiedy nie błaznuje.

– Kazałeś założyć podsłuch – wyszeptała.

– Tak – potwierdził szorstko. – Gdy tylko wjechałem na podjazd.

Przygryzła wargę, po czym powiedziała:

– Cieszę się, że tu jesteś.

Wygiął brwi w łuk, a jego jedyne oko błysnęło.

– Naprawdę? Kochanie, możemy wziąć ślub za dziesięć minut...!

– Przestań – mruknęła. – Nie zamierzam wyjść za mąż.

– Nie marudź. Przecież mam własne zęby i ani jednego siwego włosa.

– Nie o to chodzi.

– Mężczyzna ze zdrowymi zębami i bez siwizny jest doskonałym kandydatem na męża. W dodatku władam sześcioma nadzwyczaj trudnymi językami, między innymi afrykanerskim.

Joceline, przez cały czas kręcąc głową, poszła umyć dzbanek do kawy.

Rourke zamontował zasuwę w drzwiach i zamki w oknach. Przyniósł również grube kotary, by szczelnie zasłonić mieszkanie. Nie poinformował Joceline, że snajper miałby idealne stanowisko w bloku mieszkalnym naprzeciwko. Nie chciał jej dodatkowo niepokoić, a sama na pewno nie pomyślała, że ktoś mógłby być na tyle szalony, by strzelać do niej lub Markiego.

Dziennik bardzo zaintrygował Rourke'a. Wyszedł coś zjeść i w tym czasie odbył dwie rozmowy telefonicznie. Gdyby Joceline dowiedziała się, na jaki temat, dostałaby zawału.

Źle spała w nocy, choć przecież była bezpieczna. Rourke pomimo jej protestów przekimał się w ubraniu na kanapie w pokoju dziennym. Joceline czuła się skrepowana jego obecnością, ale nie miała argumentów, by wystawić go za próg. Ten telefon od człowieka, który się nie odezwał, tylko ciężko oddychał, ogromnie ją przeraził. Nie bała się o siebie, lecz o Markiego. Miała ważne powody, by zataić okoliczności jego narodzin, teraz jednak mogło się to przyczynić do śmierci chłopca.

Bezsennie rzucała się i przewracała w łóżku. Wczoraj Kilraven zapewnił ją z przekonaniem, że Blackhawk wyzdrowieje. Nie potrafiła jednak wyprzeć z pamięci obrazu jego bladej twarzy, zamkniętych powiek i zakrwawionych warg. Jon był silnym, pełnym energii mężczyzną, więc tym bardziej ją zszokowało, gdy ujrzała go tak bezbronno. Nie wiedziała, co zrobi, jeśli on umrze. Niegdyś podjęła decyzję, której echa powróciły, by ją dręczyć. Być może nie powinna była dochowywać tajemnicy. W owym

czasie wydawało się to jedynym możliwym wyjściem, ale obecnie...

Niewyspana, z zapuchniętymi oczami, wstała tuż przed świtem i poszła do kuchni przyrządzić śniadanie. Nieco później Rourke zajrzał tam i zobaczył Joceline już w dżinsach i podkoszulku. W zwykłych okolicznościach jeszcze by się nie ubrała, jednak goszcząc w mieszkaniu obcego mężczyznę, nie chciała paradować w nocnej koszuli.

– Jesteś głodny? – spytała z uśmiechem, gdy wszedł do kuchni

– Mógłbym coś zjeść. Robisz płatki?

– Nie, biskwity i jaja na szynce dla Markiego. Chcę, żeby przed pójściem do szkoły zjadł porządne śniadanie.

– Biskwity? Prawdziwe biskwity? – spytał zaskoczony Rourke.

– Tak. – Wyjęła żelazną patelnię i delikatnie powiodła palcami po czarnej powierzchni. – Należała do mojej prababki. W istocie to jedyna pamiątka po niej, jaką mam.

– Imponujące – powiedział szczerze. – Od dzieciństwa nie widziałem takiej patelni.

– Jej widok budzi we mnie mnóstwo wspomnień – rzekła z uśmiechem.

– Znałaś swoją prababkę?

– Niestety nie. Zmarła, zanim się urodziłam, ale babcia często o niej opowiadała.

Rourke zmarszczył brwi.

– A co z twoimi rodzicami?

Westchnęła ciężko.,

– Ojciec zmarł przed wieloma laty, a z matką nie utrzymuję kontaktów.

– Przykro mi.

– Mnie również. Byłoby miło, gdyby Markie miał dziadków.

W zamyśleniu przyglądał się, jak Joceline wprawnie ugniata ciasto, a potem wałkuje je i kroi.

– Doskonale ci to idzie – pochwalił.

– Lata praktyki – odparła z uśmiechem.

– Potrafisz kucharzyć, a jednak nie parzysz kawy w biurze.

– To kwestia zasad – stwierdziła stanowczym tonem. – Jeśli zacznę wypełniać uciążliwe obowiązki, nigdy nie będzie im końca. Moja praca jest trudna i wymagająca. Przez większość czasu wiszę na telefonie, starając się zdobyć informacje, rozmawiam z ludźmi, nawiązuję kontakty. Wpadam wtedy w swoisty rytm, a gdybym przerwała, żeby przyrządzić kawę lub podać ją gościom, straciłabym koncentrację.

– Rozumiem.

– A mój szef nie – rzekła z szelmowskim uśmieszkiem. – Jednak z czasem nauczył się respektować mój punkt widzenia. – Włożyła biskwity do rozgrzanego piekarnika. – Wyglądał okropnie – dodała cicho.

– Tak zwykle bywa z ofiarami postrzałów, ale zapewniam cię, że jego rany są stosunkowo lekkie. Miał ogromne szczęście, że kula ominęła najważniejsze organy.

Joceline odwróciła się i spojrzała na niego.

– Naprawdę uważasz, że wyzdrowieje?

– Oczywiście – odrzekł Rourke.

Przez chwilę przyglądała mu się przenikliwie.

– Ciebie też kiedyś postrzelono.

– Dwukrotnie. – Już się nie uśmiechał. – Raz w pierś, a raz w nogę.

Żadna z tych sytuacji nie była miła.

– Od lat wciąż słyszę, że w Afryce jest bardzo niebezpiecznie.

– Owszem, choć zależy od rejonu. Zresztą przemoc nie zna granic, zdarza się na całym świecie.

– Też prawda...

– Pochodzę z RPA, ale mam dom w Kenii, w pobliżu rezerwatu dzikich zwierząt – powiedział z nostalgią. – Jestem zarządcą tego rezerwatu, sprawuję ogólny nadzór, lecz brak mi codziennej pracy w terenie. Bardzo dużo podróżuję, o wiele więcej, niżbym chciał.

– Wykonujesz niebezpieczny zawód.

– Moja droga... – Wydał wargi. – Nie wiesz, co robię.

– Och, myślę, że mogłabym wysnuć uzasadnione przypuszczenie.

– Które zapewne byłoby błędne. Nie działam wbrew prawu.

– Świetnie!

– No właśnie, świetnie. Zapamiętaj to, Joceline.

Skwitowała to śmiechem.

Zawiozła Markiego do szkoły i opowiedziała panu Morrisonowi o włamaniu oraz groźbach Monroego. Dyrektor wpadł we wściekłość, gdy usłyszał, że ktoś może grozić dziecku. Obiecał, że będzie bacznie pilnować Markiego i poinformuje jego nauczycielkę o zaistniałej sytuacji.

Potem pojechała do szpitala. Wiedziała, że czeka ją ciężka przeprawa, gdyż natknie się na mur wrogości Cammy Blackhawk, lecz to jej nie powstrzymało. Nie potrafiłaby dalej żyć i pracować, nie przekonawszy się na własne oczy, jak się czuje Jon.

Wkroczyła do holu i podeszła do recepcji, aby spytać, w której sali na OIOM-ie leży Jon i czy mogłaby go odwiedzić. Powiedziano jej jednak, że Jona Blackhawka przeniesiono już do zwykłego pokoju szpitalnego. W serce Joceline wstąpiła otucha. Skoro tak, to szef nie może być konający!

Okazało się, że Jon leży w pojedynczym, bardzo czystym i jasnym

pokoju na pierwszym piętrze. Joceline przystanąła w progu, oczekując gwałtownego wybuchu gniewu Cammy, która każe jej się wynosić.

Jon obrócił głowę na poduszce i jego czarne oczy rozbłysły.

– Wejź, Joceline – poprosił, a gdy rozejrzała się nieufnie, dodał napiętym tonem: – Nie ma jej. Poszła na zakupy z tą doradczynią w kwestiach mody.

Podeszła do łóżka, dyskretnie przyjrzała się szefowi, po czym powiedziała ciepło:

– Cieszę się, że już lepiej się pan czuje.

– Nie wiem, czy naprawdę lepiej. – Skrzywił się.

– Pański stan musiał się poprawić, gdyż przeniesiono pana z OIOM – u
– stwierdziła autorytatywnym tonem. – Zadzwoiłam do biura, ale powiedzieli mi, że nie muszę dzisiaj przychodzić. Poinformowałam ich, że pójde pana odwiedzić. Wszyscy przesyłają panu pozdrowienia, a kilku agentów z pańskiego oddziału zjawi się tu, jak tylko lekarze zezwolą na wizyty.

– Pracuję z grupą wspaniałych ludzi. – Z grymasem bólu wciągnął w płuca powietrze. – Gdy wypuszczą mnie ze szpitala, pojedę do rodzinnego rancza w Oklahomie. I tak przez parę tygodni nie będę w stanie pracować w biurze, a tam jest ładniej...i bezpieczniej – dodał posepnie, po czym spojrzał wymownie na Joceline. – Pojedziesz ze mną.

Serce skoczyło jej w piersi.

– Co... co... takiego? – wyjąkała.

– Ty i twój synek – rzekł szorstko Jon. – Rourke opowiedział mojemu bratu, co się stało. Nie chcę, żebyś zginęła, ponieważ jakiś oprych jest moim wrogiem.

– Nie mogę pojechać do Oklahomy – odrzekła spanikowana. –

Musiałabym zwolnić się z pracy i zabrać Markiego ze szkoły...

– To drobiazgi, które da się bez trudu załatwić. Wysłałem już brata, żeby zajął się wszystkim. Aha, to będzie służbowy wyjazd. – Lekceważąco machnął dłonią i zaraz skrzywił się z bólu.

– Ale...!

– Nie spieraj się ze mną – rzeki stanowczo. – Nie mam siły się kłócić.

Joceline przygryzła wargę. Istniał tuzin powodów, dla których za nic nie powinna pozwolić, aby Markie przebywał w towarzystwie Jona Blackhawka, nie potrafiła jednak znaleźć przekonującego argumentu bez wyjawienia prawdy, czego nigdy nie uczyni.

– To ładne ranczo – rzucił Jon. – A twój syn uwielbia zwierzęta. Mógłby nawet jeździć na koniu.

– Nie!

– Joceline, zarówno Mac, jak i ja jeździliśmy na kucykach w wieku trzech lat – powiedział. – Twojemu synkowi nie stanie się nic złego. Mamy kowbojów przyuczonych do zajmowania się niepełnosprawnymi fizycznie dziećmi, które przyjeżdżają na ranczo na hipoterapię.

– Naprawdę? – Nigdy nie sądziła, że osoby niepełnosprawne mogą jeździć konno.

– Tak, naprawdę. Ta metoda leczenia staje się coraz popularniejsza. – Poruszył się i jego twarz znów ściągnął grymas bólu. Czuł się chory i obolały. Nienawidził być przykutym do łóżka, nienawidził szpitali. W trakcie swojej pracy w organach ochrony prawa dopiero pierwszy raz został zraniony z broni palnej. Wciąż pamiętał to wrażenie nagłego spowolnienia czasu, kiedy trafił go pocisk. Początkowo nie czuł bólu, tylko silne uderzenie, jakby cios pięścią w plecy. Potem wszystko zwolniło i zobaczył uliczny chodnik zmierzający mu na spotkanie, a w ustach poczuł smak krwi.

To był dla niego kompletny szok.

– Nie powinien się pan nigdzie przenosić – rzekła z troską Joceline. – Rana może się ponownie otworzyć.

– Wystarczy, że matka dręczy mnie takimi uwagami. – Spojrzał na nią gniewnie. – Nie musisz jej w tym wyręczać!

Znów przygryzła usta, a na jej policzkach pojawił się nikły rumieniec.

– Przepraszam, tak mi się tylko wyrwało. To się więcej nie powtórzy.

– Oho, coś nowego. Pokorna Joceline... – Jego uśmiech zamienił się w grymas bólu.

– Jeszcze raz bardzo przepraszam – rzuciła pośpiesznie Joceline. – Chciałam tylko pana zobaczyć i upewnić się, że dobrze się pan czuje.

– Postrzelono mnie – przypomniał ze złością.

– Wcale nie czuję się dobrze!

– Ale nie zginął pan – powiedziała z naciskiem.

Jon opadł z powrotem na poduszki i zaczął skubać skraj cienkiej kołdry, która przykrywała go niemal po szyję, tak że powyżej było widać zaledwie kołnierzyk szpitalnej piżamy.

– Zamarznę tu na śmierć – marudził. – Potrzebuję koca i grubej kołdry. I chcę już wrócić do domu!

Do pokoju zajrzała pielęgniarka. Minę miała bardzo niezadowoloną, odezwała się jednak łagodnym głosem:

– Czy mógłby pan narzekać troszkę ciszej? W sąsiednim pokoju leży pacjent, którego pchnięto nożem. Właśnie próbuje usnąć.

Gdy spiorunował ją wzrokiem, chrząknęła zakłopotana i wycofała się za drzwi, natomiast Jon wymamrotał coś pod nosem. Coś, czego nie należy cytować.

– Pańska matka z miejsca wpadnie w furję, gdy tylko się dowie, że

zamierza pan zabrać mnie do Oklahomy – rzekła stanowczo Joceline. – Nie mogę pracować na polu bitwy.

– Dobrze powiedziane. – Westchnął ciężko. – Też mi to nie odpowiada, ale czy mamy jakiś wybór? Rourke zdradził mi, że włamano się do twojego mieszkania i ktoś nęka cię telefonami.

– Tak... – Nagle poczuła się bardzo znużona. – Musieliśmy zadzwonić po policję, dokładnie zbadali... miejsce przestępstwa. Markie był przerażony, uspokoił się dopiero wtedy, gdy jeden z policyjnych detektywów dał mu gumę do żucia i zachwyił się jego zabawkami. Wiesz, takie figurki przedstawiające postaci z dziecięcego programu telewizyjnego.

– Detektywi raczej tak się nie zachowują. Jakiś wyjątkowy facet – zauważył zdziwiony Jon.

– A tak, sierżant Rick Marquez – wyjaśniła ze śmiechem Joceline. – Naprawdę jest wyjątkowy. Poza tym zna Rourke’a.

– Większość ludzi w organach ochrony prawa go zna albo przynajmniej słyszało o nim. – Jon poruszył się i znów skrzywił. – Nie chcę, żebyś siedziała sama w mieszkaniu i czekała, aż rozwiążemy tę sprawę. Peppy może być zamieszany w zabójstwo mojej bratanicy. A jeśli tak i jeśli pomaga Monroemu zemścić się na mnie, to nie zawaha się przed zastrzeleniem następnego dziecka – rzekł z naciskiem, nie dodając jednak, że gdyby to Monroe do niego strzelał, z całą pewnością by chybił.

Joceline doskonale wiedziała, o czym mówił szef, i zbladła.

– Wspomniał pan, że na ranczu byłabym bezpieczniejsza. Przypuszczam, że zatrudnia pan tam przynajmniej jednego emerytowanego agenta federalnego?

– Trzech, a także byłego płatnego zabójcę z mafii.

– Gdy osłupiała Joceline po prostu gapiała się na niego, roześmiał się,

po czym wyjaśnił: – Kiedy zlecono mu pierwszą robotę, był bardzo młody i zdesperowany. Wciągnięto go w to podstępnie. Ostatecznie nie oddał zabójczego strzału, trafił jednak do więzienia, odpokutował za swoje winy, zerwał nie tylko ze światem przestępczym, ale i z przestępczą mentalnością. Trafił za kratki dwadzieścia pięć lat temu. Podczas odsiadki pracował przy hodowli żywego inwentarza, nauczył się fachu, a kiedy wyszedł na wolność, szukał uczciwego zajęcia i ostatecznie wylądował na naszym ranczu. Gdy zacząłem pracę w FBI, kilka razy z nim rozmawiałem w związku z prowadzonymi przeze mnie sprawami. Nie był o nic nowego podejrzany, nic z tych rzeczy, po prostu z dawnych lat posiadał wiedzę o pewnych gangsterach i personalnych powiązaniach, a to były dla mnie cenne informacje.

– Nawrócony łotr – rzuciła sceptycznie. – Jakoś nie wierzę w takie cuda.

– Uwierzysz, kiedy go poznasz. Wydam polecenie, żeby nasz prywatny odrzutowiec przetransportował jutro ciebie i Markiego na ranczo.

– Ale pańska matka... – zaczęła Joceline.

– Szczęśliwie dziś wieczorem wylatuje do Paryża razem z tą konsultantką od mody, by obejrzeć wiosenną kolekcję – oznajmił Blackhawk rozbawionym tonem. – Obiecałem, że codziennie będę do niej dzwonił i informował o postępach mojej rekonwalescencji. W ogóle się nie dowiemy, że przebywasz na ranczu.

– Powinien pan ją o tym powiadomić – zaproponowała Joceline.

– Jeśli to zrobię, nigdy tam nie dotrzesz. Mateczka porwie samolot i wysadzi cię na bezludnej wyspie.

– No dobrze – zgodziła się ze śmiechem.

– To tylko kilka dni. Kiedy wrócisz do swojego domu, zapewnimy

ochronę tobie i Markiemu. Aha, rozmawiałem z naszym agentem specjalnym. Formalnie zostałam oddelegowana, żeby mi pomóc na ranczu przy bieżących śledztwach.

– Czyli wszystko już załatwione. – Była wściekła, że skromny budżet nie pozostawia jej wyboru i zmusza do przyjęcia pomocy Blackhawka. Nie mogła jednak narażać synka na ryzyko.

– Zobaczysz, wszystko pójdzie dobrze – zapewnił ją Jon.

– Nic nigdy nie idzie naprawdę dobrze – rzekła w zadumie, po czym dodała z uśmiechem: – Cieszę się, że czuje się pan lepiej. – Zerknęła na zegarek.

– Muszę już wracać.

– Polecę pilotowi naszego samolotu, żeby dziś wieczorem skontaktował się z tobą telefonicznie.

– Urwał na moment. – Czy Rourke zatrzymał się u ciebie?

– Tak. – Jej oczy błysnęły gniewnie. – Nie chciał wyjść, a ja nie mam dość siły, by złapać go za frak i wyrzucić za drzwi.

Blackhawk się uśmiechnął.

– On jest najlepszy w swoim fachu. Proszę, nie kłóć się z nim.

– W porządku.

Gdy przez chwilę wpatrywał się jej w oczy, przebiegł ją rozkoszny dreszcz.

– Do zobaczenia jutro, Joceline – powiedział Blackhawk głębokim, zmysłowym głosem.

Serce waliło jej szaleńczo. Odetchnęła, żeby się opanować.

– Do zobaczenia, szefie.

– Dziękuję, że mnie odwiedziłaś. – Posłał jej ciepły uśmiech.

Joceline poruszyła się niespokojnie.

– To należy do moich obowiązków. Notowanie pod dyktando, sprawdzanie materiału dowodowego, prowadzenie na bieżąco kartoteki oraz odwiedzanie szefa, kiedy jakiś idiota go postrzeli. – Zerknęła na Jona. – Ale nie przyrządzanie kawy.

Tylko pokiwał głową, lecz w jego czarnych oczach zamigotał zagadkowy błysk. Joceline rozmyślała o tym przez całą drogę do domu.

TTLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

Samolot okazał się niewielkim odrzutowcem. Joceline zaskoczyło imponujące wyposażenie kabiny, bardziej luksusowe niż w apartamentach najwytworniejszego ze znanych jej hoteli. Znalazła tam wszystko, od grubych koców, którymi mogła opatulić Markiego, po napoje i jedzenie.

– Staramy się zapewnić naszym pasażerom to wszystko, czego potrzebują – wyjaśnił sympatycznie wyglądający steward.

– To bardzo miło ze strony pana Blackhawka, że zaproponował mnie i synkowi podróż samolotem. Mój samochód nie doturlałby się nawet do Dallas, a co dopiero do Oklahomy – rzekła ze śmiechem.

Steward również się roześmiał.

– Znam te problemy. Dopóki nie dostałem tej pracy, każdy wóz, który miał na liczniku mniej niż sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, uważałem za nowkę.

Joceline pochyliła się do przodu.

– Mój właśnie przekroczył sto pięćdziesiąt tysięcy, ale to jedno z tych małych importowanych japońskich aut i wciąż jakoś się turla. Powinno jeszcze trochę pociągnąć.

– Owszem, to świetne samochody dla ludzi o ograniczonych dochodach. – Steward spojrział na Markiego. – Hej, kolego – zagadnął do chłopca – byłeś kiedyś w kabinie pilotów?

– Nie – odparł Markie spod koca.

– A chcesz ją zwiedzić?

Chłopiec usiadł gwałtownie.

– Naprawdę mógłbym?

– Jasne.

Markie ściągnął z siebie koc.

– Pewnie, że chcę – odpowiedział z entuzjazmem.

– Więc chodź. – Steward wyciągnął do niego rękę.

– Mamo, mogę? – spytał chłopiec.

– Naturalnie – zapewniła go pogodnie.

Markie poszedł ze stewardem, a Joceline rozsiadła się wygodniej w fotelu. Znow ogarnął ją niepokój. Ostatnio w jej życiu zapanował straszliwy zamęt. Czuła się przerażona, ale nie mogła tego okazać, żeby nie zdenerwować synka. Bała się pozostać w swoim mieszkaniu, lecz jeszcze bardziej obawiała się czekającego ją pobytu na rodzinnym ranczu Blackhawków. Zawsze trzymała Markiego z dala od szefa i jego rodziny, dlatego ta podróż była dla niej tak trudna i kłopotliwa. Pocieszała się jednak myślą, że pobędzie na ranczu jedynie przez parę dni, na tyle krótko, że z pewnością nikt nie wtrąci się w jej życie.

Przymknęła oczy. Ostatnio źle sypiała. Nocami wciąż prześladował ją obraz kredowo białej twarzy

Jona i zakrwawionych warg, gdy przywieziono go do szpitala. Mógł umrzeć samotnie na chodniku...

Gwałtownie odepchnęła od siebie tę myśl. Jon nie może się nigdy dowiedzieć. Podjęła kiedyś trudną decyzję i teraz musi ponosić jej konsekwencje. Znow zamknęła oczy i zanim się obejrzała, usnęła.

– Proszę pani.

Usłyszała ten głos jak przez gęstą mgłę. Ubrana w strój z kozłej skóry jechała na słońiu, trzymając karabin strzelców wyborowych z połowy XIX wieku, i wrzeszczała do kogoś w oddali:

– Padnij, McDuff!

Gwałtownie otworzyła oczy i ze śmiechem wyrwała się z krainy snów.

– Przyśniło się pani coś przykrego? – zapytał steward z błyskiem w oczach.

– Tak, to musiał być prawdziwy koszmar. – Usiadła wyprostowana. – Pamiętam tylko słonia, a także to, że dźwigałam staroświecki karabin Sharpsa kaliber 50. – Zamilkła na chwilę. – Myślę, że to reminiscencja relacji z bitwy stoczonej przez Quanaha Parkera, którą ostatnio czytałam.

– Ma pani na myśli bitwę pod Adobe Walls? Tę, w której garstka myśliwych polujących na bizona została napadnięta przez Komanów pod wodzą Quanaha Parkera, pięciokrotnie przewyższających ich liczebnie, i odparła ten atak?

– Właśnie – potwierdziła z uśmiechem. – Z tego Quanaha Parkera był niezły numer.

Steward skinął głową.

– Tak, niesamowity facet. Jego matką była biała kobieta. Porwali ją Komanów i poślubiła wodza jednego ze szczepów. Później biali wymienili ją na indiańskich jeńców i siłą zabrali do siebie. Kilka razy próbowała uciec, chciała wrócić do szczepu, ale jej się nie udało. Niedługo potem zmarła.

– Bardzo kochała swojego męża Komanów, a on nigdy ponownie się nie ożenił. Ludzie stale usiłują zmusić innych, by postępowali na ich modłę – zauważyła z nikłym uśmiechem. – Od tamtych czasów pod tym względem niewiele się zmieniło.

– Owszem, tak bywa... Niebawem wylądujemy. Pani synek usnął po powrocie z kabiny pilotów.

– Wskazał głową Markiego, który smacznie spał pod kocami.

– Ostatnio mieliśmy ciężkie, pełne napięcia dni – odrzekła Joceline, nie wdając się w szczegóły. – Syn mało spał, podobnie jak ja.

– Na ranczu sypia się doskonale – zapewnił steward. – Jest położone na wsi, z dala od miejskiego zgiełku. Tylko od czasu do czasu zaryczy krowa albo zaszczeka pies.

– Mają tam psy? – spytał Markie, siadając i zrzucając z siebie koce.

– A jakże – odparł steward. – Hodują wspaniałe owczarki niemieckie.

– Ojej! – Joceline wiedziała, że te psy mają opinię agresywnych.

– Rozumiem pani obawy, ale te pieski nie skrzywdziłyby nawet muchy, chyba że zaatakowano by kogoś z rodziny.

– Szkoda, że nie możemy mieć psa. – Markie wymownie popatrzył na matkę.

– Kupię ci nawet pięć piesków, jak tylko nabędę ten pałac we Francji – odrzekła z poważną miną.

– Mamo, będziemy mieszkać we Francji?!

Joceline najpierw westchnęła, a potem wygłosiła wykład na temat sarkazmu.

Na niewielkim lądowisku na terenie rancza czekał olbrzymi lincoln suv. Kierowcą był siwowłosy stary kowboj z jasnoniebieskimi oczami i szerokim uśmiechem pod rudym wąsem.

– Panna Perry? Nazywam się Sloane Callum. Jestem szoferem, wykonuję też inne prace na ranczu. Pan Blackhawk przysłał mnie po panią i chłopca.

– Miło mi pana poznać. – Z przyjaznym uśmiechem podała mu dłoń.

– A więc pani jest tą sekretarką, o której tyle się tu mówi! – zawołał, ładując do bagażnika jej małą walizkę i worek marynarski Markiego.

Nie poprawiła go. Za jego czasów były tylko sekretarki, nawet jeśli wykonywały zadania obecnie przydzielane asystantkom.

– Mam nadzieję, że nie mówi się o mnie bardzo źle – rzekła

żartobliwym tonem.

– Też nie cierpię przyrządzać kawy. – Skrzywił się, patrząc przy tym, jak Joceline przypina synka pasem bezpieczeństwa na tylnym siedzeniu pojazdu. – Cholerna szkoda, że nawet w wozie trzeba trzymać dzieciaki jak najdalej od rodziców. – Gdy spojrzała na niego zaskoczona, wyznał cicho: – Wiele lat temu w Meksyku miałem synka. Zawsze jeździł ze mną na przednim siedzeniu furgonetki, żebym mógł mierzwić mu włosy i pokazywać mijane widoki, nie wykręcając sobie szyi.

– To było przed wprowadzeniem poduszek powietrznych – powiedziała Joceline. – Obecnie sadzanie dzieci z przodu samochodu jest zbyt niebezpieczne.

– Jeśli chciałaby pani poznać moje zdanie... a niewielu ludzi chce – dodał z uśmiechem – to uważam, że rząd za bardzo wtrąca się w nasze prywatne sprawy. Nie można prawnie zadekretować moralności ani bezpieczeństwa, ale i tak wciąż próbują to robić. Ot, choćby kowboje... Da pani wiarę, że nie wolno im wskoczyć na siodło bez tych cholernych kasków?! – pieklił się. – Kowbojom!

– Nie do wiary... – Joceline zachichotała. Spodobała jej się barwna i zaprawiona emocją retoryka Sloane'a Calluma.

– Niech pani się mną nie przejmuję. – Sloane skrzywił się w wyrazie samokrytyki. – Jestem reliktem z czasów prehistorycznych, nie pasuję do dzisiejszego świata. Takie dziwadło ze mnie. – Otworzył przed nią drzwi samochodu. – Widzi pani? Mam maniery Neandertalczyka i nadal otwieram drzwi damom.

– To bardzo miłe, naprawdę. – Uśmiechnęła się do niego ciepło. – Przypomina mi pan aktora Jacka Palance'a z tego filmu, za który dostał Oscara. Zawsze urzekał mnie sposób, w jaki chronił tę młodą kobietę.

Sloane uniósł brwi, uśmiechając się szeroko.

Gdy zapinała pas bezpieczeństwa, Sloane obszedł pojazd i usiadł za kierownicą. Zmierzył gniewnym wzrokiem kartkę naklejoną na osłonie przeciwsłonecznej, jednak też zapiał pas. Spostrzegłszy zdezorientowane spojrzenie Joceline, przekręcił osłonę tak, że mogła odczytać napis: „Zapnij ten cholerny pas i nie narzekaj na rządowe przepisy dotyczące prywatnych przedsiębiorców”.

– Mogę wiedzieć, kto to napisał? – spytała rozbawiona.

Odpowiedź, którą usłyszała, wcale jej nie zaskoczyła:

– Któż by inny, jak nie pani szef? – Włączył silnik i ruszył. – Kiedy zacząłem pracować na ranchu, mieliśmy wielką kłótnię na ten temat... Niestety, przegrałem.

– Jak większość ludzi, którzy się z nim spierają.

– Tak, prawda. – Odetchnął głęboko. – Przykro mi, że ma pani kłopoty. – Zerknął we wsteczne lusterko na Markiego, który przyklepiony do bocznej szyby gapił się na bydło pasące się na rozległej równinie. – Ktoś, kto chce skrzywdzić dziecko, jest chorym sukinsynem.

– Lepiej bym tego nie ujęła. Dla nas to prawdziwy szok, że zostaliśmy wplątani w tę sprawę. Co nie znaczy, że nie martwię się o szefa. Przecież go postrzelono.

– Gdyby był tutaj, nigdy by mu się to nie przytrafiło – rzucił szorstko stary kowboj. – Kiedy przebywa na ranchu, zawsze go pilnuję. Nie wie o tym, ale nigdy nie zostawiam go samego. Wiem, że agenci federalni często otrzymują groźby, ale na mojej warcie nikt nie załatwi szefa.

– To mnie podnosi na duchu – powiedziała z uśmiechem. – Założę się, że pan poluje.

– Jasne. – Po czym dodał zagadkowo: – Także na zwierzęta.

Joceline zanotowała w pamięci dziwną frazę, jednak nie skomentowała jej, bo właśnie dojeżdżali do głównej siedziby rancza. Tak naprawdę była to olbrzymia rezydencja stylizowana na hacjendę, zbudowana z grubej, suszonej na słońcu cegły koloru piaskowego, otoczona ogrodzeniem z czarnymi bramami z kutego żelaza, wyposażonymi w elektroniczne systemy monitoringu. Teraz, w połowie listopada, nic tu nie kwitło, ale Joceline dostrzegła drzewa, którymi obsadzono długi podjazd. Drzewa rosły również na hiszpańskim patio z kamienną podłogą i wielką fontanną, a kiedy spojrzała w górę, z zaskoczeniem dostrzegła na balkonie na piętrze mężczyznę z karabinem o dużym zasięgu.

– Snajper – wyjaśnił Sloane. Mamy teraz trzech, którzy na zmianę trzymają wartę. Dawniej był jeden i pilnował tylko od czasu do czasu, ale odkąd postrzelono szefa, jesteśmy ostrożniejsi.

– Nieźle pomyślane – przyznała.

– Będzie tu pani bezpieczna, panno Perry – zapewnił ją łagodnym tonem. – Nie ma pani żadnych powodów do niepokoju. Absolutnie żadnych – powtórzył z naciskiem, zerkając na nieświadomego niczego chłopca na tylnym siedzeniu. – Oboje będziecie tu bezpieczni.

– Dzięki – odrzekła z uśmiechem.

Sloane zaparkował przy frontowych drzwiach, tam, gdzie półkolisty podjazd otaczał kolejną wielką czynną fontannę. Wsiadł, obszedł suwa i pomógł wyjść Joceline i Markiemu.

– Mamo, patrz, fontanna! – Chłopiec podbiegł do niej i przycupnął na kamiennej ławce. – Tu są rybki! Złote!

– Chińskie złote rybki – poinformował go z uśmiechem Sloane. – Za domem jest także duża japońska sadzawka z olbrzymimi karpami koi we wszelkich możliwych odmianach i kolorach. Jeden jest nawet żółty z

niebieskimi oczami.

– Mogę pójść zobaczyć? – spytał Markie.

– Później, synku. Najpierw musimy spotkać się z szefem i rozlokować się w naszych pokojach.

– Idziemy, mały kowboju – rzekł z uśmiechem Sloane.

Wyjął z samochodu bagaże i wniósł je przez otwarte wrota z kutego żelaza.

– Jak tu ładnie! – wykrzyknął chłopiec z entuzjazmem. – Mamo, popatrz na te wszystkie drzewa! W naszym mieszkaniu nie mamy ani jedno.

– Ani jednego – poprawiła go odruchowo.

– O, i jest piesek! – Pobiegnął w kierunku olbrzymiego owczarka niemieckiego o czarnym pysku.

– Markie, nie! – wrzasnęła Joceline. – Nie rób tego!

– *Dieter, freund!* – krzyknął kowboj płynną niemczyzną. – *Ja, ja, freund. Das ist ein braver hund!*

Joceline zerknęła na niego ze zdumieniem i popędziła do synka.

Ale pies nie zachowywał się wrogo. Przeciwnie, podszedł powoli do Markiego, usiadł tuż przed nim i podsunął łeb do pogłaskania.

– On uwielbia dzieci – rzekł Sloane do Joceline.

– Dieter to staruch, tak jak ja – dodał ze śmiechem.

– Pochodzi z Niemiec. Niech pani zwróci uwagę na jego przygięte łapy. Stawy kolanowe prawie dotykają gruntu. Owczarki niemieckie hodowane w Ameryce mają tylne łapy bardziej wyprostowane.

Joceline rzeczywiście to dostrzegła. Budowa psa sprawiała, że niemal szorował brzuchem po ziemi. Był piękny. Miał gęstą, lśniącą, czarną sierść z jasnobrązowymi łatami. Wydawał się nadzwyczaj uszczęśliwiony, gdy Markie z zapalem obejmował go i głaskał.

– Mówi pan do niego po niemiecku. Dlaczego?– spytała zaciekawiona.

– Wszystkie nasze psy zostały tak wyszkolone, by reagowały na komendy w tym języku. – Sloane nie dodał, że istnieje tajna niemiecka komenda ataku, znana tylko treserowi i kilku najbardziej zaufanym kowbojom. Nigdy się jej nie używa, z wyjątkiem sytuacji najwyższego zagrożenia. Kiedy się ją wypowie, psy zaatakują napastnika i obalą go na ziemię. Zważywszy na profesję Jona, a także jego brata, należało być przygotowanym na wszystko. Co najmniej raz potencjalny zabójca spróbował wdrzeć się na teren posiadłości. Oczywiście trafił do więzienia, choć z krótkim przystankiem w szpitalu, gdzie zszyto mu rany od kłów owczarków.

– A gdyby intruz też znał niemiecki? – zapytała Joceline.

– Psy go zignorują. Reagują wyłącznie na nasze głosy.

– Wprost nie mogę uwierzyć, że ten owczarek tak przyjaźnie odnosi się do Markiego.

– Prawda, wygląda to zadziwiająco – z uśmiechem odparł Callum. – Biorąc pod uwagę wielkość i siłę tych psów, trzymanie ich byłoby szaleństwem, gdyby nie zachowywały się łagodnie wobec rodziny i przyjaciół. Wejdzmy do domu. – Wprowadził ich do środka.

Markie protestował, dopóki Dieterowi nie pozwolono wejść razem z nimi. Owczarek szedł tuż obok chłopca, jakby już się do niego przywiązał.

– Nie do wiary! – zawołała na ten widok Joceline.

– Polubił cię – z szerokim uśmiechem powiedział stary kowboj do Markiego.

– Też go polubiłem. Jest super! – Podekscytowany chłopiec klepał Dietera po łbie.

W obszernym pomieszczeniu znajdowały się wygodne fotele, piękne

rośliny i obrazy. Dominowały odcienie jasnego i ciemnego brązu z dodatkiem zieleni, a nawet odrobiną koloru złocistego w obiciach mebli i zasłonach. Był tam również olbrzymi kamienny kominek. Ze względu na panujące na dworze zimno płonął w nim ogień.

– Mają kominek! – zawołał Markie. – Mogę przy nim usiąść?

– Nie beze mnie – odparła stanowczo Joceline.

– Chodź, synku, rozpakujmy bagaże, zanim na śmierć wystraszymy mieszkańców naszym buszowaniem po domu.

– Dobrze – zgodził się niechętnie.

Stary kowboj z błyskiem w oczach wprowadził ich do ogromnego pokoju.

– To główny apartament gościnny – oznajmił.

– Gdyby chłopiec chciał mieć własny pokój, to drugi, mniejszy jest za łazienką. Ale tutaj są dwa wielkie łóżka.

Joceline rozejrzała się z podziwem.

– Zmieściłoby się tutaj całe moje mieszkanie – wyznała mimowiednie.

Sloane roześmiał się hałaśliwie.

– Tak samo jak mój domek, kapeluszem można go nakryć. Ale lubię małe, przytulne wnętrza. Można powiedzieć, że przez lata się do nich przyzwyczaiłem – dodał enigmatycznie.

Joceline postawiła torbę na podłodze.

– Dziękuję, że pan nas przywiózł.

– Och, zrobiłem to z przyjemnością. – Popatrzył z nostalgią na Markiego. – Miło znowu gościć tutaj dzieciaka.

– Znowu? – spytała, marszcząc brwi.

– Bywała tu córeczka Kilravena. – Twarz mu stężała. – Ponoć jeden z tych, którzy do niej strzelali, wykręcił się od oskarżenia o to zabójstwo. Ten,

który teraz zranił szefa i groził pani. On się tutaj nie dostanie, a jeśli okaże się, że naprawdę zabił Melly, zapłaci za wszystkie swoje zbrodnie. Znam ludzi, którzy łatwo sobie z nim poradzą. Ta dziewczynka była uroczym dzieckiem... – Urwał i odwrócił się, lecz Joceline zdążyła dostrzec groźny błysk w jego oczach. Wyszedł na korytarz i wskazał ręką. – Pokój pana Blackhawka jest tam, dwoje drzwi dalej. Szef czeka na panią. – Uśmiechnął się. – Cieszę się, że pani tu przyjechała. I ty, młody kolego – dodał do chłopca.

– Kiedy już się rozgościcie, pokażę ci konie, naturalnie jeśli twoja mama nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Nie będę – zapewniła.

Sloane rzucił jej zagadkowe spojrzenie.

– Później mogłaby pani mieć. Proszę się nie martwić, że mnie pani tym urazi, nie poczuję się dotknięty – rzekł z łagodnym uśmiechem. – Nie zna mnie pani.

– Uchylił kapelusza i wyszedł z brzękiem ostróg. Owczarek wstał i podążył za nim.

– Dieter! – zawołał Markie.

– Pozwól mu odejść – powiedziała Joceline. – Dieter pewnie ma swoje obowiązki.

– Och, rzeczywiście. – Chłopiec spojrzał na nią.

– Pójdziemy do pana Blackhawka?

– Tak. – Poprowadziła synka korytarzem i przystanęła przed otwartymi drzwiami.

– To ty, Joceline? – rozległ się z pokoju głęboki głos Jona, którego brzmienie przeniknęło ją dziwnie miłym dreszczem.

Uśmiechnęła się zażenowana.

– Tak, to ja. – Weszła do środka, trzymając synka za rękę, zresztą bardziej po to, by sobie dodać ducha niż jemu.

Jon siedział w łóżku wsparty o poduszki, miał na sobie bordową jedwabną piżamę rozpiętą na szerokiej, muskularnej piersi. Długie włosy spadały na ramiona, były trochę rozczochrane, jakby niedawno się obudził.

– Cześć – zwrócił się z uśmiechem do Markiego.

– Cześć. – Chłopiec podszedł do łóżka i oparł się o nie. – Przykro mi, że pana postrzelili.

– Mnie również.

– Ma pan fajnego psa. Rybki też mi się podobają.

– Dziękuję.

– Dieter mnie lubi – z dumą powiedział Markie.

– Wcale się nie dziwię, bo przepada za dziećmi. Dostaliśmy go od pewnej rodziny z Niemiec. Zapoczątkował naszą hodowlę. Dzięki niemu dochowaliśmy się kilku pokoleń pięknych psów.

– Jest wspaniały – entuzjasmował się chłopiec.

– A jaki łagodny!

Blackhawk uśmiechnął się, a potem skrzywił, gdy zmienił pozycję.

– Jest łagodny, o ile nie musi być agresywny.

– Zapewne ma pan tutaj doskonałą ochronę – odezwała się Joceline.

– W ciągu lat pracy w FBI otrzymałem kilka gróźb, jednak przynajmniej nie muszę sprawdzać, czy w podwoziu mojego samochodu nie umieszczono bomby.

Joceline doskonale wiedziała, do kogo odnosiła się ta aluzja.

– Pański brat stale przyciąga kłopoty.

– Tak, widocznie to jest zaraźliwe. – Sięgnął za siebie i nacisnął guzik. – Gałka, mogłabyś tu przyjść?

Odpowiedział mu łagodny żeński głos i po kilku chwilach do pokoju weszła drobna, śniada kobieta o długich czarnych włosach i brązowych oczach, wycierając dłonie w nieskazitelnie biały fartuch. Ujrzawszy gości, przystanęła i uśmiechnęła się szeroko.

– Witam – rzekła z miękkim akcentem. – Wiedziałam, że przyjdziecie, więc przygotowałam na obiad coś specjalnego. Podobno lubi pani sushi.

– Skąd pani się dowiedziała? – spytała zaskoczona Joceline. Przepadała za sushi, ale rzadko mogła sobie pozwolić na ten przysmak.

– Ja jej powiedziałem – oznajmił z uśmiechem Jon. – Kilka miesięcy temu jadłaś na mieście lunch ze mną i z McKuenem. Zamówiliśmy sushi i nigdy nie widziałem, żeby ktoś pałaszował z takim apetytem jak ty.

– Uwielbiam sushi – przyznała, lecz nie dodała, że nie stać jej na częste jadenie tej bardzo drogiej potrawy.

– Zatrudniamy człowieka, który był dawniej szefem kuchni w restauracji sushi, zanim postanowił zostać kowbojem – oświadczył Blackhawk. – Poleciałem Gałce, żeby go sprowadziła. Mamy tu świeże owoce morza z Kalifornii, więc mógł przyrządzić danie bliskie swemu sercu.

– Dziękuję panu – powiedziała szczerze uradowana Joceline.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł uprzejmie. – To drobne zadośćuczynienie za kłopot, jaki ci sprawiłem, ściągając cię tutaj, żebyś ze mną pracowała.

– Och, żaden kłopot, szefie.

– Sushi to surowa ryba – powiedział Markie, krzywiąc się z jawnym obrzydzeniem.

– Owszem, ale nasza kucharka potrafi przyrządzać również paluszki

rybne i frytki domowej roboty.

– W oczach Jona zamigotał wesoły błysk. – Słyszałem, że ktoś je uwielbia.

– Ja! – zawołał Markie. – I mnóstwo keczupu!

– Umieję też piec ciasteczka – oświadczyła Gałka.

– Może pani syn chciałby zajrzeć do kuchni i mi pomóc? Mógłby spróbować ciastek... naturalnie jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– Och, proszę, mogę? – zapytał Markie, przytulając się do mamy i przymilnie spoglądając na nią niebieskimi oczami. – Proszę!

– Dobrze, idź. – Joceline podniosła go i ucałowała w rumiany policzek.

– Oj, mamó – zaprotestował zakłopotany tym całusem przy ludziach i zaczął się wyrywać, żeby postawiła go na podłodze.

– Miłej zabawy – zawołała, gdy wychodził w ślad za rozbawioną kucharką. – Dlaczego mówi pan na nią Gałka? – zapytała Jona, gdy zostali sami.

– Zdarzyło się to kilka lat temu. Kiedy szykowałam ajerkoniak na Gwiazdkę, dodałam za dużo gałki muszkatołowej. Zaczęłam nazywać ją Gałką i tak już zostało.

– Jest bardzo miła. Wszyscy tutaj są ogromnie mili, a zwłaszcza kowboj, którego wysłał pan po nas na lotnisko. Ten z rudą brodą, Sloane Callum.

– Ach, tak. I co, polubiłaś go?

– Bardzo. Obiecał, że nauczy Markiego jeździć konno. – Zmarszczyła brwi. – Powiedział coś dziwnego... że nie poczuje się urażony, jeśli nie będę chciała utrzymywać z nim kontaktów.

– Cały Sloane – skomentował rozbawiony Jon.

– Cóż, prawda jest taka, że nie wszyscy lubią mieć go w pobliżu. Wie o tym i nie obraża się. – Znow się uśmiechnął. – Co jakiś czas dochodzi do awantury między nim a Cammy. Sloane jest bardzo uparty i pewny siebie, Cammy, jak już się przekonałaś, również, więc te kłótnie mają burzliwy przebieg.

– Powiedział, że poluje, i dodał coś bardzo dziwnego: „także na zwierzęta”.

– Tak to ujął... Musisz wiedzieć, że Callum siedział w więzieniu za polowanie na ludzi – powiedział bez emocji Blackhawk.

– Co?! – Taka wiadomość musiała ją zszokować.

– A więc to on był tym płatnym zabójcą, o którym niedawno pan wspomniał...

– Tak, mówiłem o nim. Sloane był wtedy bardzo młody, a jego matka umierała na raka. Pogubił się w życiu, wpadł w fatalne towarzystwo, kumple stopniowo wciągnęli go w różne brudne sprawy. Faktycznie został wmanewrowany, a na koniec perfidnie go oszukano. W rezultacie, co było nieuniknione, wylądował w więzieniu. Po odbyciu kary uczestniczył w programie rehabilitacyjnym i ostatecznie trafił tutaj. Pracuje u nas już ponad dziesięć lat.

– I od wyjścia z więzienia nigdy nie naruszył prawa? – Joceline wyraźnie była pod wrażeniem.

– Można do tego różnie podejść. Gdyby ktoś się uparł, mógłby oskarżyć Sloane’a o przeszkadzanie policji i FBI w prowadzeniu śledztwa.

– Jak to?

– Próbował na własną rękę wytropić Jaya Coppera, kiedy okazało się, że to on zlecił zabójstwo żony McKuena i był wmieszany w zamordowanie ich córeczki. Callum bardzo lubił Melly i niezwykle mocno przeżył jej

śmierć. Myślę, że ścigał Coppera nie po to, by po schwytaniu oddać go w ręce wymiaru sprawiedliwości... – Zadumał się na moment. – Wiesz, by zrozumieć Sloane'a, coś jeszcze musisz o nim wiedzieć. Ma nieślubnego syna, jednak gdy został aresztowany i jego przestępcza działalność wyszła na jaw, matka chłopca go opuściła.

– Co się stało z synem? – spytała zaciekawiona Joceline.

– Bóg jedne wie. Callum próbował go odszukać, ale bez powodzenia. Obawiał się zresztą, że syn nie będzie się palił do kontaktów z ojcem kryminalistą.

Joceline pomyślała, że racje rozkładają się na obie strony. To prawda, że Sloane był teraz innym człowiekiem i zasługiwał na synowską miłość, jak sama by jednak zareagowała, gdyby się dowiedziała, że jej ojciec był najemnym mordercą?

Doszła do wniosku, że roztrząsanie takich dylematów przynajmniej w tej chwili nie ma sensu, dlatego zmieniła temat rozmowy na bardziej neutralny:

– To wielki dom – powiedziała.

– Zbyt wielki – odparł Jon. – Moja matka nie prowadzi szczególnie ożywionego życia towarzyskiego, z wyjątkiem przypadków, gdy usiłuje skłonić mnie do ożenku. Wówczas wydaje przyjęcie, na które zaprasza kolejną kandydatkę tygodnia na moją żonę.

– Współczuję panu.

– Nie masz nawet pojęcia, jak trudno mi się ukryć na tym ranczu – narzekał. – Matka wytropiła wszystkie moje sekretne kryjówki, więc by jej unikać, muszę przez większość czasu przebywać w San Antonio.

– Domyślam się, że pańska matka bardzo by chciała mieć więcej wnuków. – Po tych słowach Joceline umknęła wzrokiem.

– Owszem, i nie ma w tym nic złego, tyle że prze do tego celu jak czołg. Cóż, nie da się ukryć, że potrafi być bardzo arogancka. – Łagodnie spojrział na Joceline.

– Przykro mi, że była dla ciebie nieuprzejma. Zachowywała się opryskliwie także wobec obecnej żony McKuena, ale Winnie kilka razy skutecznie się odgryzła. Cammy nadał nazywa ją „małą jasnowłosą piłą łańcuchową”, lecz teraz mówi to czule.

– Winnie jest sympatyczna.

– Tak, bardzo ją lubię. – Przyjrzał się uważnie Joceline. – Ty też jesteś bardzo miła – rzekł cicho.

– Naraziłaś się na niewygody, przyjeżdżając aż tutaj tylko po to, żeby ze mną pracować.

– Nie mógłby pan przyjść do biura.

– Tak, oczywiście, ale i tak przepraszam, że przeze mnie musiałaś zabrać synka ze szkoły.

– Rozmawiałam z jego nauczycielką. W szkole rozumieją sytuację. Wszystko będzie dobrze. Markie nadrobi stracone zajęcia. Jest bardzo bystry.

– Myślę, że spodoba mu się na ranczu. Dla dziecka to bardzo ciekawe miejsce. Od razu po nim widać, że kocha zwierzęta.

– Stale błaga mnie o psa, ale w naszym mieszkaniu nie wolno trzymać zwierzaków – powiedziała z żalem Joceline. Zaraz też przypomniało się jej włamanie i zachmurzyła się.

– Rozmawialiśmy o włamaniu do twojego domu – powiedział Jon, jakby czytał w jej myślach.

– I o tym głuchym telefonie. Między innymi dlatego nalegałem, żebyś przyjechała na ranczo. Tutaj możemy zapewnić bezpieczeństwo tobie i

twojemu synkowi. – Jego oczy rozblęły złością. – Nie mogę znieść myśli, że zostałam w to wszystko wmieszana.

To wyznanie nie tylko ją zaskoczyło, ale i bardzo poruszyło.

– Dziękuję, szefie. Ale przecież oboje wybraliśmy ryzykowną pracę, więc nie możemy oczekiwać, że zawsze unikniemy zagrożenia.

– Ale to ryzyko nie powinno dotyczyć twojego syna – powiedział prosto z mostu.

– Dawniej byłam na tyle naiwna, by sądzić, że żaden człowiek nie waży się skrzywdzić dziecka.

– Niestety, to tylko pobożne życzenia.

– Tak, teraz już wiem... – Odetchnęła głęboko.

– W tym włamaniu do naszego mieszkania przeraża mnie właśnie to, że ktoś mógł zrobić krzywdę Markiemu. Mam na świecie tylko jego.

Blackhawk zmarszczył brwi.

– Powiedziałaś, że twój.... że ojciec Markiego – poprawił się – zaginał podczas wojskowej misji zagranicznej?

– Tak. – Umknęła wzrokiem. – Formalnie zaginał, ale nie ma żadnych złudzeń co do jego losu.

– Czy go... lubiłaś?

– Bardzo... – Przygryzła usta.

– Przykro mi – powiedział z dziwną miną.

– To była tragedia z wielu powodów. – Wciąż umykała wzrokiem.

– Zamierzałaś go poślubić?

Nie mógł widzieć, że wbiła paznokcie w dzinsy.

– On nie darzył mnie tego rodzaju uczuciem – zdołała wydusić.

– Chyba jednak tak, gdyż inaczej nie byłoby Markiego – wymknęło się Blackhawkowi, lecz natychmiast się opamiętał i sapnął zły na siebie.

Joceline westchnęła z wysiłkiem i znów odwróciła się ku niemu. Twarz miała bladą.

– Przepraszam, ciężko mi rozmawiać o tak bardzo osobistych sprawach – rzekła z powagą. – Czy moglibyśmy zmienić temat?

Uniósł brwi.

– Podobno w jednej z chińskich restauracji przy stołach usługują roboty.

Ze ściśniętego gardła Joceline wyrwał się krótki śmiech.

– Co takiego?

Jon także zachichotał.

– Przeczytałem o tym w wiadomościach na stronie internetowej.

– Internet zrewolucjonizował zdobywanie informacji.

– Owszem. Jak się nazywał ten twój chłopak? – spytał nagle.

– Ależ panie Blackhawk...!

– Mówi mi Jon. Nie jesteśmy w biurze. – Ogarnął ją intensywnym spojrzeniem. – Jak ludzie się do ciebie zwracają?

– Słucham pana?

– Jak nazywają cię bliscy? Z pewnością masz rodzinę, przyjaciół...

– Cała moja rodzina nie żyje... z wyjątkiem matki, lecz z nią zerwałam stosunki – wypaliła Joceline.

– Straciłam też kontakt z koleżankami z liceum. Na studiach miałam przyjaciółkę, ale wyszła za mąż i przeprowadziła się do Kalifornii.

– Musisz mieć jakiś przydomek. – Gdy przygryzła wargę i milczała uparcie, popędził ją: – No, dalej. Powiedz.

Poruszyła się nerwowo, po czym wyznała:

– Rocky.

– Słucham? – Aż zamrugął ze zdziwienia.

– Rocky – powtórzyła.

– Możesz wyjaśnić, dlaczego zyskałaś takie... niezwykle miano?

– W szkole walnęłam pięścią koleżankę, gdy wylała sok grejpfrutowy na moją nową białą spódniczkę.

– Rocky... Podoba mi się. – Jego oczy rozbłyły.

– Lepiej pójdę poszukać Markiego. Kiedy pan chce, żebyśmy rozpoczęli pracę?

– Jutro rano. Potrzebujesz trochę czasu, by rozgościć się i odpocząć po podróży.

– A więc do zobaczenia. – Ruszyła do drzwi.

Uśmiechnął się.

– Naturalnie, Rocky.

Joceline zaczerwieniła się i wybiegła z pokoju.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Markie zakochał się w Gałce. Chodził za nią wszędzie, opowiadał o pysznych ciasteczkach, no i w ogóle Gałka to, Gałka tamto. Zachwycał się też olbrzymim domem Blackhawków, a także mnogością zwierząt. Duży biały perski kot, zwinięty w kłębek przy kominku, pozwolił mu wziąć się na kolana. Natomiast inny kot, o szylkretowym ubarwieniu, nie zamierzał się tak spoufalać.

Joceline oczarowało przyjazne nastawienie osób pracujących u Jona. Nie spodziewała się tego, jej wyobrażenie o bogaczach uległo diametralnej zmianie. Z jednym małym wyjątkiem. W żadnym razie nie oczekiwała, by Cammy Blackhawk ucieszyła się na wieść, że „sekretarka” syna mieszka pod jej dachem, nawet tylko przez jakiś czas.

– Markie uwielbia przebywać w kuchni – powiedziała Joceline do Jona, gdy dyktował jej mejle, które dotyczyły bieżących spraw i miały zostać wysłane do rozmaitych agencji.

Blackhawk roześmiał się. Wciąż jeszcze miewał bóle i bardzo dużo spał, ale jego stan poprawiał się z każdym dniem.

– Gałka rozpacza z powodu mojej diety. Nie lubię ciężkich potraw, a ona uwielbia je gotować.

Joceline spojrzała na niego znad laptopa.

– Wciąż jest pan blady.

Wzruszył ramionami, a potem się skrzywił, gdyż ten ruch wywołał ból.

– Wiedziałybyś dlaczego, gdyby cię postrzelili.

– Cieszę się, że pan wyzdrowieje. – Uśmiechnęła się, jej wzrok się rozpromienił. – Jak już mówiłam, wcale się nie palę do tego, by we

wszystko wprowadzać nowego szefa.

Odpowiedział uśmiechem. Była ładna, a już szczególnie przyciągała wzrok, gdy się uśmiechała. Podobały mu się jej bujne włosy i jędrne, twarde, drobne piersi, sterczące pod jasnoniebieskim swetrem. Nagle spochmurniał, gdy w pamięci błysnął mu obraz, którego nigdy nie powinien był widzieć.

– Masz pieprzyk – rzucił. – Na klatce piersiowej.

Joceline westchnęła cicho i oblała się rumieńcem, jednak nie skomentowała tej dziwnej i zupełnie niestosownej uwagi.

Jon odchrząknął.

– Dobry Boże, chyba zwariowałem. Skąd miałbym wiedzieć o czymś takim?

Zaczęła stukać w klawiaturę z taką zajadłością, że omal nie zrzuciła laptopa ze stołu, nadal jednak milczała jak zaklęta.

– Przepraszam – sumitował się Blackhawk. – Naprawdę bardzo cię przepraszam. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

– W porządku, nic się nie stało. – Parsknęła wymuszonym śmiechem.

– To zapewne pooperacyjny efekt. Ludzie po narkozie robią i mówią rozmaite dziwaczne rzeczy.

– Tak, podobno... – Jednak gdy popatrywał na Joceline, poczuł coś na kształt wyrzutów sumienia, nie wiedział tylko, z jakiego powodu.

Joceline zawsze czytała synkowi historyjki na dobranoc, zazwyczaj z książeczek dla dzieci Doktora Seussa. Najbardziej lubiła „Zielone jajka i szynkę”.

Roześmiała się, gdy Markie powiedział z przesadnym obrzydzeniem:

– Ojej, mamusiu! Nigdy bym nie zjadł zielonych jajek! Błę!

– Wyznam ci w sekrecie, że ja też nie.

– To dobrze. Wiesz, bardzo mi się tu podoba. Gałka piecze pyszne ciasteczka.

– Owszem. Wszystko, co przyrządza, jest bardzo smaczne.

– Szkoda, że nie możemy tutaj zostać – powiedział ze smutkiem. – Mają tu konie. Chciałbym się nauczyć jeździć konno.

– Porozmawiamy jeszcze o tym, ale nie tej nocy, młody człowieku. Teraz skończmy czytać książeczkę. Musisz się wyspać, żeby raniutko wyskoczyć z łóżka i pomóc Gałce zastawić stół do śniadania.

– Ona zrobi biskwity.

– Słyszałam.

– Lubię, kiedy ty je robisz. Rzadko gotujesz, no, tylko śniadania.

– Nie mam na to czasu, skarbie – odparła łagodnie.

Trudno było wyjaśnić dziecku, jak bardzo wyczerpująca i nerwowa jest jej praca, jak często muszą działać na najwyższych obrotach, niczym w gorączce. Zazwyczaj wracała do domu tak zmęczona, że tylko podgrzewała mrożonki. Gotowała jedynie w weekendy. Przyrządzała wielki gar jakiejś treściwej potrawy, dzieliła na porcje i zamrażała. Później mogła podawać ją przez cały tydzień z odpowiednio dobranymi warzywami i owocami. Dzięki temu Markie jadał racjonalnie zestawione posiłki.

– Smakują mi twoje biskwity – z uśmiechem przyznał chłopiec.

– Dziękuję. – Pocałowała go w czoło.

– Przykro mi, że postrzelili twojego szefa. Bardzo go lubię.

– Ja również. A teraz już zakończmy czytanie

– powiedziała stanowczo.

Okryła synka kołdrą, pocałowała na dobranoc i zgasiła światło. Zostawiła drzwi nieco uchylone, żeby w razie czego usłyszeć Markiego, któremu zdarzały się nocne koszmary. Zresztą nie lubiła tracić go z oczu,

choć zarzucano jej, że jest nadmiernie opiekuńcza. Nie przejmowała się tym, przecież synek miał zdrowotne problemy i wymagał specjalnej troski.

Wróciła do sypialni i usiadła ciężko w fotelu. W ciągu dnia była zbyt zajęta, żeby martwić się tamtym włamaniem, lecz po zmroku nie potrafiła przestać o tym myśleć. Tak jak postanowiła, spaliła dziennik. Nie służył niczemu poza tym, że przypominał Joceline o pewnym epizodzie z jej udziałem, zarazem wzruszającym, jak i bolesnym. Gdyby ta informacja została ujawniona, mogłaby zrujnować nie tylko jej życie, lecz także innych, niewinnych ludzi. Rozsądniej więc było zniszczyć dziennik, niż narażać się na takie ryzyko.

Jednak niespodziewana uwaga Blackhawka zszokowała ją i przestraszyła. Joceline czytała wystarczająco wiele o środkach psychotropowych, aby zdawać sobie sprawę, że mogą wywoływać nawrót wspomnień, choć tak po prawdzie Jon nie powinien był niczego zapamiętać. I nie pamiętał, tego była pewna, ponoć jednak wszystko, czego doświadczamy od chwili narodzin, mamy ukryte w podświadomości i w sprzyjających okolicznościach może być wydobyte na wierzch. Obecność Joceline w domu Jona, to, że przesiadywała przy jego łóżku, mogło przywołać pewne obrazy zakodowane w podświadomości. Bardzo to zaniepokoiło Joceline.

Z głębokim westchnieniem skrzyżowała ramiona na piersi i przymknęła oczy. Już dawno temu poprzysięgła sobie, że nigdy nie ujawni prawdy, nawet na torturach. Ale co będzie, jeśli Jon przypomni sobie także inne rzeczy? Jeśli właśnie odzyskuje utracone, czy też zepchnięte do podświadomości wspomnienia?

Usiadła wyprostowana, nerwowo przeczesła palcami włosy, i znów się pochyliła. Życie z pewnością nie może być aż tak okrutne, pomyślała. Po

tym wszystkim, przez co przeszła, to się nie może skończyć w taki sposób!

Wstała i zaczęła niespokojnie przechadzać się po pokoju. Co zrobi, jeżeli Jon sobie przypomni? To byłby koszmar. A co z jego rodziną? Jak oni...?

– Przestań! – nakazała sobie ochryłym szeptem. – Przestań natychmiast! Robisz z igły widły.

Zaskoczyło ją brzmienie własnego głosu. Roześmiała się z zakłopotaniem, włożyła piżamę i położyła się do łóżka. O dziwo, udało jej się usnąć.

– Powinnaś więcej jeść na śniadanie – zgromił ją Jon, gdy przełknęła ostatni kawałek pysznego rogalika domowego wypieku, usiadła na krześle obok łóżka szefa i odstawiła filiżankę kawy na leżącą na stole papierową serwetkę w koronkowy wzorek.

– Zazwyczaj przyrządzam śniadanie dla Markiego, ale sama nie jem dużo – usprawiedliwiała się. – Brak mi czasu.

– Gałka mówi, że twój syn ma wilczy apetyt – wesoło dodał Blackhawk.

Też się uśmiechnęła.

– Stale twierdzi, że umiera z głodu.

– Narysował obrazek przedstawiający Gałkę, a ona mi go pokazała. Powinien się kształcić w tym kierunku. Urodził się z wielkim talentem.

– Też tak uważam. Często się zastanawiam... – Nie dokończyła zdania.

Jon zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem, po czym zaproponował:

– Mógłbym opłacić jego edukację plastyczną.

Joceline znów omal nie zrzuciła laptopa.

– Sama sobie poradzę – odparła szorstko.

Jon przez chwilę znów się jej przyglądał, myśląc nad czymś

intensywnie, wreszcie spytał:

– Dlaczego jesteś przy mnie taka spięta? W biurze zachowujesz się inaczej.

Rozejrzała się nerwowo dokoła.

– Nie przywykłam przebywać w pańskim towarzystwie poza biurem.

– Wymówka, zwykła wymówka – stwierdził ponuro. – Chodzi o coś innego.

Była coraz bardziej zdenerwowana.

– Panie Blackhawk...

– Jon – poprawił ją.

Przygryzła dolną wargę.

– Nie mogę...

– Chodź tutaj, Joceline – poprosił łagodnym, czułym głosem, który wzbudził w niej rozkoszny dreszcz.

Powinna zignorować te słowa... udawać, że ich nie usłyszała...

Ostrożnie odstawiła laptopa na stolik, a potem usiadła na skraju łóżka obok Jona.

Delikatnie otoczył ją ramieniem i przyjrzał się jej z intensywną ciekawością, która wprawiła Joceline w zakłopotanie.

– Już od kilku lat krążymy wokół tego tematu – rzekł cicho. – Nigdy mi nie powiedziałaś, co takiego wydarzyło się tamtej nocy, kiedy poszliśmy na przyjęcie.

Joceline ponownie przygryzła wargę.

– Był pan... byłeś pod wpływem silnego środka psychotropowego...

– Tak, wiem – przerwał jej niecierpliwie. – Ale co się wtedy zdarzyło?

– Bardzo... bardzo źle się poczułeś i zawiozłam cię na oddział pomocy

w nagłych wypadkach – wyjąkała.

– Najpierw pojechaliśmy do mieszkania, gdzie pomogłaś mi położyć się do łóżka – rzekł z uporem.

– Przynajmniej tyle zostało mi w głowie. Resztę pamiętam jak przez mgłę, ale musi być jakiś powód, że wiem o tym pieprzyku.

Spróbowała wstać, lecz Jon objął ją mocniej.

– Wtedy trochę... straciłeś nad sobą kontrolę – wyznała z nerwowym uśmiechem.

Uniósł brwi.

– W sensie... emocjonalnym?

– Tak... ale tylko trochę... – Odchrząknęła z zakłopotaniem.

Przyciągnął ją do nagiej szerokiej klatki piersiowej, tak że musiała oprzeć się dłońmi o poduszkę po obu stronach jego głowy.

– Nie rób tego! Otworzą ci się rany! – zawołała.

– Wykluczone – mruknął.

Dostrzegł w oczach Joceline plamki zieleni. Widok tej kobiety tuż przy nim zafascynował go. Ładne, delikatne usta o łukowym wykroju i prosty nos z maleńkimi piegami. Gęste miękkie włosy miały lekko rudawy odcień. Pogładził je.

– Jesteś ładna – powiedział głębokim, łagodnym głosem.

– Wcale nie – zaprzeczyła z nerwowym śmiechem.

– Tak, ładna... – Oczy mu pociemniały. Zanurzył dłoń w jej włosach przy karku i zacisnął palce, a potem przyciągnął głowę Joceline do swojej. – Nie przejmuj się. Po prostu kilka dni po narkozie wciąż jeszcze jestem nieco oszołomiony... – Przywarł wargami do jej zaciśniętych ust, a ona je rozchyliła. Łagodnie objął ją ramionami. Jego pocałunek był powolny i delikatny, lecz zarazem natarczywy.

Pod wpływem cudownego pocałunku Joceline jęknęła cicho, bezradnie, i przyłgnęła do Jona. Obrócił się na łóżku i aż syknął z bólu, jednak nie przestawał się obracać, dopóki nie położył Joceline na plecach, ani na moment nie przerywając pocałunku. Wsunął dłoń pod jej sweter i objął jędrną pierś, a potem przesunął rękę niżej i dotknął pieprzyka, który znał, choć jednocześnie był pewien, że nigdy go nie widział.

Panowała między nimi wibrująca zmysłowo cisza. Jon wetknął kciuk pod stanik Joceline i zaczął gładzić pierś, jednocześnie miażdżąc pocałunkiem jej wargi.

– Dobry Boże... – Namacał haftkę stanika, rozpiął ją gwałtownie i bez przeszkód mógł już pieścić pierś. Patrzył na Joceline płonącym wzrokiem. Widział w jej oczach bezradne pożądanie i najwyższą rozkosz, wzbudzone jego pieszczotami. Dotknął twardego sutka i usłyszał jęk Joceline. – Niewiarygodne... – Głos miał schrypnięty z żądy.

Podciągnął sweter i biustonosz Joceline, patrząc na strome piersi z ciemnymi sterczącymi sutkami.

– Piękne – wyszeptał, pochylając ku nim głowę.

Pieścił je delikatnie wargami i językiem. Joceline uwielbiała to, co robił. Nie potrafiła nawet udąć sprzeciwu.

Jon pogładził jej nagie plecy, czując pod palcami ciepłą, miękką jak jedwab skórę. Potem rozchylił usta i zaczął ssać sutek, a Joceline krzyknęła cicho.

Uniósł głowę i spojrzał na jej zapłonioną, podnieconą twarz. Nozdrza mu zadrgały. W ciągu trzydziestu lat swego życia jeszcze nigdy nie doświadczył tak potężnego erotycznego pożądania.

– W biurze plotkują na mój temat – rzekł szorstko. – Snują rozmaite przypuszczenia. Nie możesz udawać, że nic do ciebie nie dotarło. – Zdołała

jedynie kiwnąć głową, on zaś ciągnął z błyskiem w oczach: – Plotki są prawdziwe. W ciągu tych wszystkich lat pracy w biurze umawiałem się z kobietami. Dochodziło między nami nawet do pieszczot, ale nigdy nie doszedłem do samego końca.

– Gdy Joceline odwróciła wzrok, przyciągnął jej głowę, by widzieć twarz. – Cammy i mój ojciec wychowywali nas bardzo surowo. Nauczono nas, że seks nieświęcony małżeństwem jest grzechem. Otrzymaliśmy tak bardzo sugestywną lekcję, że staliśmy się więźniami naszych przekonań dotyczących erotyzmu. Z początku miałem tyle zahamowań, że nie potrafiłem przespać się z kobietą, a z biegiem lat coraz bardziej paraliżowało mnie zażenowanie wywołane tym, że jeszcze nigdy tego nie zrobiłem.

– Wszyscy jesteśmy więźniami wychowania – poparła go.

Pogładził jej pierś, upajając się tym widokiem i natychmiastową namiętą reakcją Joceline.

– Jesteś równie religijna, jak każda inna kobieta, którą znałem, a jednak masz nieślubne dziecko.

– Tak – przyznała z napięciem w głosie. – Podjęłam decyzję...

– Cudowną decyzję – poprawił ją czule. – Markie to wspaniały malec. Świetnie sobie z nim radzisz.

– Dziękuję.

– Rzecz w tym, że ty poznałaś seks. – Kciukiem i palcem wskazującym ścisnął jej sutek, znów wydobywając z Joceline jęk rozkoszy.

– Co się wtedy czuje? – spytał prawie szeptem.

Rozchyliła wargi.

– Ja... właściwie nie wiem. To stało się tak szybko...

– On się pośpieszył?

– Tylko się całowaliśmy... – Przełknęła nerwowo ślinę. – I nagle

wszystko potoczyło się błyskawicznie... – Uciekła spojrzeniem w bok. – To się po prostu stało. Trochę zabołało... i zaraz było po wszystkim.

– Niech go diabli!

– Był... pijany. – Nawet teraz próbowała go bronić.

– On nie jest... nie był – poprawiła się – takim człowiekiem, który łatwo traci panowanie nad sobą.

Rozumiało się samo przez się, że z nią jest podobnie. Lecz Blackhawk tego nie powiedział, a zamiast tego spytał:

– Uważasz, że zginął podczas pełnienia zagranicznej misji wojskowej?

– Tak, jestem tego pewna. – Znów umknęła wzrokiem. – Po tym, co zrobił, nękało go olbrzymie poczucie winy.

– Czy chciał, żebyś zachowała dziecko?

– On... nic nie wiedział. Nie powiedziałam mu. Nie zdążyłam.

Dłoń Jona znieruchomiała na niej. Nie podobało mu się, że w jej życiu był kiedyś inny mężczyzna. Ta świadomość go dręczyła. Pochylił się i musnął wargami jędrną pierś, upajając się namiętym jękiem Joceline. Mógłby wymazać to jęczące wspomnienie. Mógłby dać jej podobną rozkosz, tylko większą.

O wiele większą.

Zacisnął usta w grymasie znamionującym upór. Joceline zadrżała. Narastało w niej pożądanie, stawało się wprost nie do zniesienia. Poczula, że Jon wsunął rękę pod jej majteczki, i chwyciła go za przegub.

– Nie – szepnęła stanowczo. – Nie możemy!

Jon posunął się już tak daleko, że znalazł się na granicy. Z wyraźnym trudem zmagił się z erotycznymi instynktami, usiłując nad nimi zapanować. Nagle spostrzegł półotwarte drzwi i mimo woli wybuchnął śmiechem.

Joceline też je zobaczyła i oblała się głębokim rumieńcem.

– Ojej – westchnęła zakłopotana.

Blackhawk obciągnął jej sweter, po czym spytał:

– Oczekujesz ode mnie przeprosin?

– I tak nie byłyby szczere – odparła, próbując obrócić wszystko w żart.

– Masz rację, Joceline, nie żałuję tego, co zrobiłem – oświadczył z błyskiem w oczach. – Twoje usta smakują jak miód.

Znów się zaczerwieniła i niezgrabnie wstała z łóżka. Zapięła stanik, poprawiła sweter i usiłowała dłońmi przygładzić fryzurę.

– Na toaletce jest szczotka – podsunął Jon. Leżał z podbródkiem wspartym na dłoni i z wyraźną przyjemnością przyglądał się Joceline.

Wzięła szczotkę i przyczesła się, a potem zauważyła potarganą czuprynę Jona. Bez namysłu podeszła do niego, przycupnęła na brzegu łóżka i przeciągnęła szczotką po długich, gęstych splotach. Usiadł prosto, by jej to ułatwić.

– Masz piękne włosy – powiedziała, nadal go czesząc. – Twój brat i ja widzieliśmy je w nieładzie po tym, jak cię postrzelono. Uznaliśmy, że bardzo nie chciałbyś być rozczochrany.

– Owszem. – Przyjrzał się jej z uśmiechem. – Nigdy dotąd nie pozwoliłem, by czesała mnie kobieta.

– To mi pochlebia. – Też się uśmiechnęła.

Kiedy skończyła, odebrał szczotkę i w rewanżu też uczesał Joceline.

– Wzajemne zabiegi toaletowe. Typowe w społecznościach ssaków z rzędu naczelnych – zauważył kpiąco.

– Pan szympanś i pani szympanśica. – Wybuchnęła śmiechem.

Delikatnie dotknął palcami jej warg obrzmiałych od pocałunków.

– Ile już czasu pracujemy razem? – zapytał.

- Długo. Będzie ponad pięć lat.
- A jednak wcale się nie znaliśmy.

Przytaknęła w milczeniu. Zaczynało do niej docierać, co przed chwilą zaszło. Pozwoliła, by szef ją pocałował. Nawet więcej niż tylko pocałował. Jego gwałtowna, porywcza matka szczerze jej nienawidzi, a Joceline ma nieślubne dziecko, co jeszcze bardziej wszystko komplikuje.

– Przestań się zamartwiać – polecił stanowczo Jon. – Zajmiemy się wszystkim po kolei, bez żadnej presji.

Z niepokojem spojrzała mu w oczy.

- Twoja matka mnie nienawidzi.
- Cammy jest jak żmija sykliwa.
- Co takiego? – zdziwiła się.
- Mój przyjaciel z Georgii opowiadał mi o tych węzach. Są bardzo jadowite, ale ludzi panicznie się boją. W chwili zagrożenia stają na ogonie, wydymają policzki i syczą jak kobra, jednak jeśli ruszy się na nie z kijem, bywa, że mdleją ze strachu.

- Typowe zachowanie obronne – skomentowała rozbawiona.
- Właśnie. Cammy jest taka sama. W gruncie rzeczy słaba i miękka, nauczyła się jednak maskować to przed ludźmi odpychającym zachowaniem.

Joceline nie sądziła, aby to była prawda, lecz nie miało to znaczenia, przynajmniej w tej chwili. Oczarowała ją cudowna intymność, to, że Jon spogląda na nią tak czule.

Uznała jednak, że najwyższa pora to przerwać.

- Myślę, że powinniśmy wrócić do pracy – oznajmiła, wstając.
- Tak, chyba masz rację... niestety – przyznał Jon z uśmiechem.

Odłożyła szczotkę na miejsce i usiadła z powrotem na krześle z

laptopem na kolanach. Blackhawk długą chwilę przyglądał się jej tkliwie, zanim podjął dyktowanie.

Joceline nie wiedziała, jak ma się zachować w nowej sytuacji. Obawiała się, że Jon będzie chciał od niej więcej, niż mogła mu ofiarować. Żywiła złe przeczucia i obawy co do swego miejsca w życiu tego mężczyzny, bardzo też lękała się reakcji jego matki na ich ewentualny związek. Poza tym był jeszcze Markie. Najbardziej niepokoiło ją właśnie to, jak zareaguje synek.

A w dodatku oprócz wszystkich tych zmartwień pojawiły się jeszcze dwie nowe komplikacje. Ktoś zadzwonił do Joceline na główną linię stacjonarną rancza i nagrał się na automatyczną sekretarkę. Wiadomość była krótka, jasna i przerażająca:

– Już jesteś martwa. A dzieciak będzie pierwszy. Nie możesz skrzywdzić mojej rodziny i przeżyć, żeby o tym rozpowiadać.

Najpierw Jon usłyszał to nagranie. Zgodnie z jego poleceniem linia była na podsłuchu, lecz zdołano ustalić jedynie, że zadzwoniono z komórki, gdzieś z daleka. Zatelefonował do lokalnego biura FBI i na jego prośbę przysłano paru ludzi, którzy zainstalowali elektroniczną aparaturę do namierzania połączeń.

Później Joceline odbyła kilka rozmów telefonicznych i dowiedziała się wstrząśnięta, że Harolda Monroego formalnie oskarżono o zamordowanie Melly, córki McKuena Kilravena. Znalazł się świadek, który zdecydował się zeznawać. Był to więzień z tej samej celi co Monroe, który przez kilka tygodni czekał na proces oskarżony o handel ludźmi. Jednak do rozprawy ostatecznie nie doszło. Ów mężczyzna słyszał, jak Harold Monroe chwalił się swoim udziałem w zamordowaniu dziewczynki. Monroe był na tyle głupi, że opowiedział o broni, którą się posłużył, i chełpił się tym, jak

sprytnie ukrył ją tuż pod nosem gliniarzy. W konsekwencji oddział policyjny dowodzony przez sierżanta detektywa Ricka Marqueza, kierując się wskazówką, którą Jon uzyskał od swego informatora, przeszukał kanał ściekowy tuż przed Wydziałem Policji w San Antonio i odnalazł narzędzie zbrodni: śrutówkę zawiniętą w torbę na śmieci, z odciskami palców Monroego na osadzie. Był to idiotyczny błąd popełniony przez durnia zbyt tępego, by mogło przyjść mu do głowy, że zostanie pojmany przez policję i skazany.

Jon także przeżył szok. Żadne z nich nie przypuszczało, że ten kretyń Harold Monroe, który dzięki ożenkowi został powinowatym Jaya Coppera, okaże się na tyle bystry, by w ogóle umieć posłużyć się śrutówką, nie mówiąc już o zastrzeleniu dziecka. Dotychczas wszystkie dowody wskazywały na bratanka Coppera, Peppy'ego Hancocka. Był to najbardziej zawikłany i nieprawdopodobny zbieg okoliczności, z jakim Jon Blackhawk zetknął się w ciągu lat pracy w organach ochrony porządku publicznego. Zupełnie jakby z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu celowo sprokurowano dowody przeciwko Monroemu.

Jon niepokoił się tym, co robi jego brat. Mac bardzo kochał córeczkę. Dotychczas policja była pewna, że zamordował ją nieżyjący już Dan Jones, a tę zbrodnię ukartował Jay Copper, którego aresztowano i postawiono w stan oskarżenia. Mac słyszał nawet, jak Copper mówił, że wysłał Peppy'ego, by się upewnił, że wszystko pójdzie gładko. Lecz teraz wyglądało na to, że był jeszcze drugi sprawca i że w rzeczywistości to on oddał śmiertelny strzał; człowiek, którego dotąd nikt nie podejrzewał, a którego teraz oskarżono o morderstwo. Natomiast Harold Monroe obwinił Jona, a nawet jego „sekretniczkę” i jej dziecko o to, że został aresztowany.

Jay Copper ma niebezpiecznych kumpli. Nagrany na sekretarce głos,

należący niewątpliwie do Monroego, obiecywał zemstę. Jon nie mógł sobie pozwolić na zlekceważenie tej groźby.

Toteż, aczkolwiek niechętnie, zadzwonił do brata i poprosił go, aby namówił Rourke'a do przyjazdu na ranczo i zapewnił dodatkowe wsparcie.

– Myślałam, że lubisz Rourke'a. – Joceline zdziwiła się, gdy Jon zwierzył się jej, że uczynił to bez entuzjazmu.

– Owszem, lubię. – Jednak jego mina wcale na to nie wskazywała. Pamiętał uwagę matki, że Rourke nie ma żony i jest wyraźnie zainteresowany Joceline. Jon wolałby nie mieć pod bokiem rywala, zwłaszcza teraz, u progu oszałamiająco romantycznego związku z Joceline.

– A ty go lubisz? – zapytał, nie zdoławszy ukryć wrogości w głosie.

– No cóż, tak, ale tylko jako przyjaciela – odparła bez wahania.

Ta odpowiedź wyraźnie uspokoiła Jona.

Lecz Joceline przypomniała sobie o czymś, co w trakcie podróży na ranczo wypadło jej z głowy. Ktoś włamał się do jej mieszkania. Wprawdzie spaliła dziennik, ale co będzie, jeśli sprawca go sfotografował?

Wciąż jeszcze się tym zamartwiała, gdy na ranczu zjawił się Kilraven. Był bez Winnie, za to w groźnym, ponurym nastroju.

– Wsadzili Harolda Monroego z powrotem do więzienia – poinformował go bez wstępów Blackhawk. – Tym razem już się z tego nie wywinie, bez względu na to, czy wuj jego żony, Jay Copper, wynajmie dla niego cwanego adwokata.

– Tak sądzisz? – rzucił Kilraven lodowatym tonem. – Właśnie został wypuszczony za kaucją.

Jon gwałtownie usiadł w łóżku i natychmiast skrzywił się z bólu.

– Co takiego?! – zawołał.

– Zna pewnych ludzi, a oni z kolei znają innych

– wycedził zimno Mac. – Znaleźli sędziego, który zwolnił go za kaucją pół miliona dolarów. Adwokat Monroego zapewnił sędziego, że nie zachodzi ryzyko ucieczki.

– Którego sędziego? – dopytywał się wściekły Jon.

Kilraven wymienił nazwisko młodego sędziego, powołanego na stanowisko dopiero w ubiegłym roku.

– A, ten – warknął z irytacją Blackhawk. – Niedawno podpisał zwolnienie za kaucją seryjnego mordercy, powołując się na prawa człowieka.

Mac ze zdziwieniem uniósł brwi. Było czymś co najmniej niezwykłym, aby opanowany i powściągliwy w ferowaniu ocen brat krytykował sędziego lub kogokolwiek innego związanego z systemem wymiaru sprawiedliwości.

– Wykazuje się sporą naiwnością jak na kogoś tak inteligentnego – stwierdził.

Czarne oczy Jona błysnęły.

– Ktoś, prawdopodobnie Harold Monroe, zadzwonił tutaj i nagrał pogróżki na automatycznej sekretarce. A co najważniejsze, groził również synkowi Joceline.

Kilraven przyjrzał mu się uważnie.

– Lubisz tego chłopca, prawda?

– Tak – odrzekł bez wahania Blackhawk. – Jest inteligentny i ma talent do rysowania. – Uśmiechnął się. – Zasugerowałem Joceline, że powinien brać lekcje z zakresu plastyki.

– Melly też lubiła rysować. – Spojrzenie McKuena sposepniało, gdy przypomniał sobie ostatni rysunek córeczki przed jej tragiczną śmiercią.

– Była utalentowana. Bardzo ci współczuję – rzekł łagodnie Jon. –

Wiem, musiała cię zabość wiadomość, że jeszcze ktoś przyłożył rękę do jej zamordowania, ale nie ujdzie mu to na sucho, pomimo tej drobnej gafy sędziego. – Po chwili namysłu dodał:

– Chociaż nie jestem tego taki pewny. Jay Copper ma posiadłość na Karaibach. Monroe może tam polecieć i ukryć się na zawsze. – Gdy Kilraven tylko się uśmiechnął na te słowa, spytał: – Wiesz coś, o czym ja nie wiem?

– Monrogo ktoś śledzi, nawet na chwilę nie spuszcza go z oczu – oznajmił z satysfakcją Mac. – Ale nie, nie powiem ci, kto.

– Rourke – rzucił gniewnie Blackhawk.

Mac uniósł brwi.

– Sprowadziłem Rourke'a, żeby czuwał nad Joceline i jej synem.

– On tu jest?! – wykrzyknął Jon.

Usiadł prościej i znowu skrzywił się z bólu. Rozejrzył się, jakby podejrzewał, że Rourke jest w tym pokoju.

– Przebywa na ranczu od przyjazdu Joceline i Markiego – poinformował go Mac. – Trzyma się w cieniu, aby nie dowiedziano się o jego obecności, dopóki nie nastąpi taka konieczność.

– Skoro moi ludzie go nie zauważyli, kilku z nich będzie musiało poszukać sobie nowej pracy – stwierdził beznamiętnie Blackhawk.

– Nie jest tak źle – odparł rozbawiony Kilraven. – Ten twój stary wyga natychmiast go wypatrzył i przytknął mu do pleców pukawkę kaliber 45. Rourke powiedział mi później, że ze strachu omal nie narobił w spodnie.

Jon mimo woli się uśmiechnął.

– Wiesz, kim jest ten stary wyga?

– Oczywiście, że wiem – potwierdził z uśmiechem Mac.

– Lepiej, że dowiedziałem się o obecności Rourke'a. Nie lubię, gdy

ktoś włóczy się po moim terenie bez nadzoru.

– Tak musi być – odparł Kilraven. – Nie możemy narażać na ryzyko dziecka Joceline.

– Naturalnie.

– Muszę z nią porozmawiać o włamaniu do jej mieszkania.

– Czy kogoś już podejrzewają? – Blackhawk zmarszczył brwi.

– Nie, chyba że masz na myśli Harolda Monroego lub któregoś z jego kumpli. Chcę ją wypytać, czy w mieszkaniu jest coś, czego włamywacze mogliby szukać. Rick Marquez nie dostałby zwrotu kosztów przylotu na ranczo w celu przesłuchania Joceline, więc go zastępuję – oświadczył trochę zbyt niedbałym tonem.

– Naprawdę? – mruknął Jon, wcale nieprzekonany.

– Naprawdę – potwierdził Kilraven ze szczerą miną. – Dlaczego jesteś taki podejrzliwy?

– Wyświadczenie przysług policji to do ciebie niepodobne.

Mac wzruszył ramionami.

– Rick nie jest typowym policyjnym oficerem śledczym.

Jon dumiał nad tym przez chwilę, po czym się odprężył.

– Istotnie. Zapewne znajdziesz Joceline w kuchni. Dogląda przyrządzenia posiłku dla Markiego, zanim sama zje.

– Wdepnę tam na chwilkę i zamienię z nią dwa słówka.

– Mówisz jak on.

– Kto?

– Rourke – warknął Jon.

Kilraven stłumił uśmiech. Było dla niego zupełnie oczywiste, że brat jest zazdrosny o Rourke'a, i to nie z powodów zawodowych.

– Popracuję nad południowoafrykańskim akcentem – odparł, po czym

zapytał ze szczerą troską:

– Lepiej się czujesz?

– Tak, tylko że ta poprawa przebiega wolniej, niż tego bym pragnął. Chciałbym już wrócić do biura i dopilnować, aby Harold Monroe nie opuścił kraju przed procesem.

– Spokojna głowa, zajmę się tym – obiecał Kilraven cichym głosem. – Jeśli przyczynił się do śmierci Melly, a myślę, że tak było, to nie uniknie kary.

– Tylko nie próbuj sam jej wymierzyć – ostrzegł go stanowczym tonem Blackhawk. – Nie chcę stracić jedyne go brata. A ty i Winnie na dniach spodziewacie się dziecka.

– Wiem. – Mac westchnął ciężko. – Ale niełatwo mi sobie z tym poradzić. Kiedy uznaliśmy, że morderstwa dokonał Dan Jones na polecenie Jaya Coppera, byłem przekonany, że śledztwo zostało ostatecznie zakończone. Przez myśl mi nie przeszło, że strzelał jeszcze ktoś inny. Później byliśmy pewni, że zabójcą był Peppy Hancock, ale jakaś młoda kobieta zapewniła mu niepodważalne alibi na noc, gdy zabito Melly. Jak, u diabła, Monroe zdołał popełnić taką skomplikowaną zbrodnię, nie wygadawszy się przedtem, co zamierza? Przecież nie potrafi trzymać gęby na kłódkę.

– Nie mam pojęcia. To rzeczywiście dziwne.

– Jay Copper zeznał, że wysłał Peppy'ego, by dopilnował, aby Dan Jones zrobił, co mu kazano. Nie potrafimy tego dowieść, ponieważ taśma z tym zeznaniem zaginęła i dysponujemy jedynie relacją z drugiej ręki. Nie możemy więc formalnie oskarżyć Peppy'ego o współudział. I oto teraz ze wszystkich ludzi na świecie właśnie Harolda Monroego, tego durnego szwagra Barta Hancocka, aresztowano za zamordowanie mojej żony i córki!

– Po tym, jak wykręcił się od zarzutu handlu ludźmi. – Jon zmarszczył brwi. – Dlaczego wziął na cel Joceline i jej synka? Czy dlatego, że pracuje u mnie?

– A jaki mógłby być inny powód? – twardo powiedział Kilraven. – Musisz to przyjąć do wiadomości.

Jon z głębokim westchnieniem opadł z powrotem na łóżko.

– Nie mogę znieść myśli, że naraziłem Joceline na niebezpieczeństwo, że przeze mnie grożono jej i chłopcu.

– Zaopiekujemy się nimi. Ty skup się tylko na rekonwalescencji, dobrze?

– Dobrze – zgodził się z uśmiechem Jon.

– Cieszę się, że wracasz do zdrowia.

– Dzięki – odrzekł Jon z ciepłym błyskiem w oczach.

Kilraven roześmiał się pogodnie.

– Ja to z tobą mam... Ale cóż, jak ja dla ciebie, tak i ty też jesteś moim jedynym bratem, nawet jeśli twoje problemy nieustannie przysparzają mi zmartwień.

– I kto to mówi!

– Co powiedziawszy, odchodzę – oświadczył z uśmiechem Mac. – Odwiedzę cię jeszcze przed wyjazdem.

– Liczę na to.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kilraven znalazł Joceline w kuchni. Właśnie szorowała buzię synkowi. Markie zaśmiewał się, gdyż gąbka łaskotała go w nos.

Kiedy Mac wszedł, podnieśli na niego wzrok.

– Widzę, że zjadłeś porządny lunch – zwrócił się z uśmiechem do chłopca.

– Był pyszny!

– Gałka włączy ci w salonie nową kreskówkę – poinformowała Joceline synka. – Zdaje się, że bardzo chciałeś obejrzeć ten film.

– Tak! Dzięki!

– Bardzo nam miło.

Gałka podeszła do drzwi i skinęła na chłopca, uśmiechając się do Joceline i McKuena.

– Do zobaczenia, mamusiu! – zawołał Markie i pobiegł za kucharką.

– Wspaniały dzieciak – powiedział cicho Kilraven.

– Dziękuję. Ja też tak myślę – odrzekła Joceline.

Odwrócił się do niej już bez uśmiechu.

– Słyszałaś może o teorii Locarda?

– Naturalnie. Jego zasada wymiany głosi, że każdy przestępca zostawia ślad swojej obecności na miejscu przestępstwa, a także...

– No właśnie. Niewielu może się równać z Rourkiem w zbieraniu dowodów rzeczowych. Znalazł w twoim mieszkaniu częściowy odcisk palca na nocnym stoliku przy łóżku. Odpowiada odciskom, które mamy w aktach.

– Czym? – Joceline przygryzła usta.

– Byłego włamywacza, który wykonywał różne dziwne zadania dla

Jaya Coppera.

- Dlaczego wtargnął do mojego mieszkania?
- spytała cała spięta. – Nie mam niczego, co opłacałoby się ukraść.
- Rourke powiedział, że prowadzisz dziennik.

Znów przygryzła dolną wargę, tym razem mocniej.

- Spaliłam go.
- Każdy znający swój fach włamywacz potrafi sporządzić fotokopię dokumentu, a oryginał zostaje na miejscu.

– Tak, oczywiście... – Zdusiła j jęk. – To by wskazywało na próbę szantażu, tyle że nie wiem nic takiego, co mogłoby komukolwiek zaszkodzić.

– Wejdz tu na chwilę, dobrze? – Kilraven otworzył drzwi do biblioteki.

Zawahała się, bo wyglądało to na przesadne szukanie azylu, bezpiecznego miejsca na poufną rozmowę, ale miał tak poważną minę, że usłuchała.

Starannie zamknął drzwi, po czym wypalił prosto z mostu:

– Ponad cztery lata temu poszłaś na przyjęcie z Jonem. Bez jego wiedzy podano mu środek psychotropowy, w efekcie trafił do szpitala. Ty go tam odwiozłaś.

– Tak. To był kretyński żart chłopaka tej dziewczyny, którą Jon uratował przed porwaniem.

– Wkrótce potem usiłowałaś porzucić pracę. Okazało się też, że jesteś w ciąży.

Umknęła wzrokiem, nim powiedziała:

– Umówiłam się na miście z przyjacielem i widocznie za dużo wypiliśmy...

– To mój brat jest ojcem twojego dziecka! Hej, uważaj...! – Chwył Joceline, gdy zaczęła bezwładnie osuwać się na podłogę. Posadził ją na sofie i delikatnie pochylił jej głowę w dół, dopóki nie doszła do siebie.

– Cholera... Przepraszam, powinienem być ostrożniejszy.

W oczach Joceline zakręciły się łzy.

– Po prostu zgadujesz na oślep! – broniła się.

– Nie. – Usiadł obok niej. – Twój syn ma grupę krwi A+, taką samą jak Jon. Poza tym sprawdziłem daty. Według raportu policyjnego poszłaś z Jonem na przyjęcie dziewięć miesięcy przed urodzeniem Markiego. Zgadza się prawie co do dnia.

– Zbieżność dat może być przypadkowa. A mnóstwo ludzi ma taką samą grupę krwi... – zaczęła słabym głosem.

– Nie wiem, co było w tym dzienniku, ale łatwo się domyślić – ciągnął Kilraven. – Musisz powiadomić o tym Jona, zanim dowie się od Harolda Monroego lub kogoś z jego szajki.

– I sądzisz, że by mi uwierzył? – spytała. – Jak myślisz, dlaczego przez cały ten czas trzymałam to w sekrecie? – W jej oczach pojawiło się cierpienie.

– Byłaś jedyną kobietą, którą kiedykolwiek zabrał na przyjęcie – powiedział Mac.

– Tak. I jest bogaty, a mnie ledwie wystarcza na czynsz – odrzekła chłodno. – Nawet dobrze mnie nie zna. Gdybym mu powiedziała, wiesz, jak by to potraktował? Że oskarżam go o ojcostwo dziecka, by uwić sobie wygodne gniazdko.

– To cyniczne podejście.

– Niewątpliwie – odparowała. – Ale taka byłaby jego pierwsza myśl. Podobnie jak jego matki. Wszyscy wiemy, jak bardzo stara się chronić Jona.

Mac zajął w jej zrozpaczone oczy.

– Wolisz, żeby usłyszał o tym w wiadomościach o szóstej? Monroe z pewnością uznałby taką zagrywkę za świetną zabawę.

Joceline usiadła sztywno wyprostowana.

– Sądzisz, że to Harold Monroe wysłał do mojego mieszkania włamywacza, który sfotografował mój dziennik?

– To uzasadnione przypuszczenie. Co innego mogłoby być powodem włamania?

– Spójrzmy na to z innej strony. – Zmarszczyła czoło. – Jakim cudem Monroe mógłby wiedzieć o tym dzienniku, skoro wiedziałam o nim tylko ja?

– To jest argument. – Kilraven też w zamyśleniu ściągnął brwi. – Jeśli nie chodzi o dziennik, to w takim razie po co ktoś miałby wdzierać się do twojego mieszkania?

– No właśnie. Szukał czegoś, co, jak sądził, mam.

– W skupieniu zmrużyła oczy. – Zaraz.... Zapomniałam o czymś.... Kartoteka zawierająca informacje o prywatnym życiu i przestępstwach Barta Hancocka. Miałam ją przepisać w biurze, ale w dniu, w którym postrzelono Jona, zabrałam akta do domu, żeby zrobić to wieczorem. Tego samego dnia włamano się do mojego mieszkania!

– Czy zwróciłaś tę kartotekę?

– Nie mogłam jej znaleźć. – Oblała się rumieńcem. – Zamierzałam powiadomić o tym szefa, ale po tym, jak go zraniono i włamano się do mnie, byłam tak zdenerwowana, że zupełnie o tym zapomniałam.

O rany, ale wpadłam! Teraz wyleją mnie za zaniedbanie...

– Nikt cię nie wyleje, ale prokurator okręgowy musi dowiedzieć się o zaginięciu akt. Porozmawiam z nim.

Joceline poczuła olbrzymią ulgę, gdy nagle uświadomiła sobie, że wygadała się przed Kilravenem. Spojrzała na niego z przerażeniem.

– Nie poinformuję Jona o Markiem – zapewnił ją łagodnie. – Ale ty musisz to zrobić. Wiesz o tym.

– Nie powiem mu – odparła z uporem. – I ty też nie mów. Nigdy by w to nie uwierzył. Od razu by pomyślał, że kłamię powodowana chciwością. Przez wiele lat mówiłam wszystkim, że ojciec Markiego służył w armii i zginął poza granicami kraju. Nie zmienię tej wersji.

Kilraven przyjrzał się jej upartej minie, po czym spytał:

– Jak, twoim zdaniem, Jon się poczuje, jeśli się dowie, że ma syna, o którym mu nie powiedziałaś?

– Nigdy się nie dowie – odparła beznamiętnym tonem. – Gdyby chciał się ożenić, do tej pory już by to zrobił. A już na pewno nie poślubiłby kogoś tak bezwartościowego jak ja. Moi rodzice pochodzili ze wsi. Ojciec jako pierwszy w rodzinie skończył college, a matka nawet nie chodziła do liceum. Pracowała jako kelnerka, a on zarabiał jako nocny strażnik. Należymy do ludzi, których wasza matka nigdy nie zaprosiłaby do swojego domu!

– Cammy wcale taka nie jest – zaproponował cicho Mac. – Tak naprawdę w ogóle jej nie znasz.

– Wiem, że chce jak najlepiej dla swojego syna – odparła Joceline, unikając jego wzroku. – Tak jak ja dla mojego. Niekiedy lepiej pozwolić, by tajemnica pozostała tajemnicą.

– Nie ustąpisz ani o włos, co?

– Nie, McKuen, nie ustąpię. – Przerwała na moment, po czym powiedziała cicho: – Musiałam zdecydować, czy mam zachować dziecko, i dokonałam jedyne go możliwego wyboru. Ale musiałam też rozważyć, co

stanie się z Jonem, jeśli dowie się o konsekwencjach tego incydentu, którego nawet nie pamięta.

– Podniosła wzrok na Kilravena. – Nie mogłam uczynić go odpowiedzialnym za coś, co zrobił w stanie odurzenia środkami psychotropowymi i czego nigdy sobie nie przypomni. Mogłam się wtedy wycofać, lecz tego nie zrobiłam. To wszystko moja wina. W przeciwieństwie do niego byłam jedynie lekko wstawiona, a nie zamroczona narkotykiem.

– I kochasz go.

– Tak. – Spojrzała na Macka. – Nie powiesz mu?

– Skoro twardo nalegasz, to zachowam milczenie, ale uważam, że popełniasz ogromny błąd, i to podwójny. Pierwszy polega na tym, że nie chcesz wyjawić Jonowi prawdy, a drugi na tym, że fałszywie przewidujesz jego reakcję. – I dodał jakby bez związku: – Mój brat jest wściekły, że ściągnąłem tu Rourke'a.

– Rourke tu jest? – spytała zdumiona Joceline.

– Od waszego przyjazdu. Nie mogłem ryzykować, że Monroe spełni swoją groźbę. To nieudacznik i dureń, ale ma niebezpiecznych przyjaciół, którzy nie są durniami.

– Naprawdę myślisz, że włamywaczowi chodziło tylko o te akta?

– Tak – opowiedział z uśmiechem Mac.

Joceline nieco się uspokoiła, zaraz jednak powiedziała smętnie:

– Tak czy inaczej, będę miała poważne kłopoty. Mogę nawet wylecieć z pracy z zaszarganą opinią.

– Nie sędzę, ale na wszelki wypadek poinformuj Jona o zaginięciu kartoteki Hancocka. – Gdy skinęła głową, Kilraven dorzucił: – I przemyśl to, co ci powiedziałem. Przynajmniej zastanów się nad tym.

- Dobrze – odparła niechętnie. – Ale nie łudź się, nie zmienię zdania.
- Twoja woła, twój wybór...

Kilka minut później do pokoju Joceline wszedł Rourke w towarzystwie Kilravena.

– Joceline, mój aniele! – zawołał, szeroko rozwierając ramiona. – Możemy się pobrać za dziesięć minut, jeśli tylko zechcesz. Przekupię sędziego...

– Pamiętaj, że pracuję dla rządu – odrzekła bez uśmiechu.

– Czy oni tam wszyscy są tacy? – zapytał Kilravena, w bezradnym geście unosząc dłonie. – Tak bardzo oddani pracy i nadeści praworządnością?

– Owszem, w każdym razie większość z nas – wycedził Mac.

– Nie bierz jej strony – z przesadną modulacją głosu błagał go Rourke.

– Umieram z nieszczęśliwej, nieodwzajemnionej miłości, a ty nie chcesz ani trochę mi pomóc.

– Masz chronić Joceline, a nie ciągnąć ją do ołtarza.

– Cholerna racja! – zawołał Jon, wychodząc z sypialni. Miał na sobie niebieski szlafrok frotte, który narzucił w pośpiechu na piżamę w paski, i był boso. Rozpięta kurtka piżamy odsłaniała nagą muskularną pierś. Wbijał gniewne spojrzenie w Rourke'a.

– Nie powinieneś wstawać z łóżka! – zganiła go Joceline.

– Mam już dość gnuśnego wylegiwania się – odparł ze złością.

– Otworzy ci się rana!

Zmierzył Joceline jeszcze bardziej rozgniewanym i posepnym wzrokiem, po czym burknął nieprzyjaźnie:

– Daj mi spokój.

Odpowiedziała mu równie wściekłym spojrzeniem.

– Krew trudno szczyścić z beżowego dywanu – rzuciła szorstko.

– A niech cię... – Jon parsknął śmiechem i skrzywił się, gdyż to naciągnęło szwy operacyjne.

– A widzisz! – triumfalnie zawołała Joceline. – Właśnie dlatego nie powinieneś opuszczać łóżka! – Spojrzała na jego brata. – Mac, zmusz go, żeby się położył.

– Kiedy ostatnim razem usiłowałem go do czegoś zmusić, skończyło się na tym, że to mnie zakładano szwy – odrzekł Kilraven.

Joceline westchnęła z bezbrzeżną irytacją.

– Ale on sobie zaszkodzi!

Blackhawk przestał zwracać uwagę na nią i na brata, za to nadal piorunował wzrokiem Rourke'a.

– Jesteś tutaj, aby zapewnić bezpieczeństwo Joceline i Markiemu, a nie błaznować z oświadczynami. Rozumiemy się?

Rourke ściągnął brwi, w jasnobrażowym oku zamigotało rozbawienie.

– Rozkaz, sir! – wyskandował tonem rekruta prężącego się przed sierżantem.

– I nie wolno ci ani na moment spuścić wzroku z chłopca – z naciskiem dodał Jon, a kiedy Rourke zachichotał, spytał wojowniczym tonem: – Co cię tak śmieszy?

– Nie śmieszy, a cieszy. Markie mieszka z matką, mam pilnować go bez przerwy...

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi!

– Jon, chwiejesz się na nogach – rzekł Kilraven, podchodząc do brata.

– Wróć do łóżka, przestań się wściekać i komenderować wszystkimi naokoło.

– Wcale się nie chwieję! – zaprzeczył z furją... i zatoczył się do

przodu.

Byłby upadł, gdyby brat go nie podtrzymał.

– Cholera, mówiłem! Kładź się natychmiast. – Prawie wniósł Jona do sypialni i położył na wielkim łóżku. – Nie bądź idiotą i nie ruszaj się stąd – polecił stanowczo.

Joceline zajrzała przez drzwi.

– Nic mu się nie stało? – spytała z troską.

Jon rozpromienił się na jej widok.

– Jeszcze nie całkiem doszedłem do siebie, to wszystko – zapewnił ją solennie. – Nie ma powodu do niepokoju.

– Skoro tak mówisz. – Wyraźnie odczuła ulgę.

– Nie szalej, a wszystko będzie dobrze.

– Dzwoniłaś do Betty i spytałaś o termin wstępnej rozprawy sądowej Jacoba Randa, na której mam zeznawać jako świadek?

– Zapomniałam. Zaraz to zrobię.

Gdy wychodziła z sypialni, Jon odprowadził ją wzrokiem.

– Miła dziewczyna – powiedział Kilraven.

– Tak, miła. Mam szczęście, że u mnie pracuje... nawet jeśli nie parzy kawy.

Mac nie skomentował tej uwagi. Martwił się o inne, znacznie poważniejsze komplikacje, które niewątpliwie wynikną, kiedy prawda wyjdzie na jaw. A że wyjdzie, to po prostu było pewne.

Joceline w ciągu trzech dni nadrobiła zaległości szefa w pracy. Nie wiedziała, czy ma nadal pozostać na ranczu. Jon szybko dochodził do zdrowia, a w biurze czekały sprawy, którymi powinna się zająć, by nie doszło do nadmiernego spiętrzenia. Jednak Blackhawk niechętnie zapatrywał się na jej wyjazd.

Nabrali nawyku wspólnego podjadania wieczorem, gdy Markie już spał. Oczywiście w nieunikniony sposób prowadziło to do intymnych sesji w łóżku Jona, coraz bardziej namiętnych i coraz trudniejszych do powstrzymania. Joceline była bezbronna wobec zmysłowej reakcji na szefa, a on wiedział o tym i stawał się coraz bardziej natarczywy.

Lecz wciąż jeszcze potrafiła się wycofać, choć przychodziło jej to z coraz większym trudem.

– Nie możemy – rzekła schrypniętym głosem, gdy nalegał, że chce ją rozebrać.

– Dlaczego nie? – wymamrotał z twarzą wtuloną w jej piersi. – Wszyscy to robią.

Gwałtownie cofnęła głowę.

– Dlatego, że nie jesteśmy tacy jak wszyscy – odparła stanowczo. – A także dlatego, że mam już jedno nieślubne dziecko. – Gdy odetchnął głęboko, żeby się opanować, dodała, poprawiając na sobie ubranie: – Powinnam stąd wyjechać.

– Nie!

Spojrzała uważnie na Jona, po czym rzekła ze smutkiem:

– Będzie tylko coraz gorzej. To wszystko dlatego, że mnie znasz, a zarazem jest to dla ciebie całkiem nowe doświadczenie. Dotychczas nawet mnie nie lubiłeś.

– Zawsze cię lubiłem. – We wzroku Blackhawka było jawne pragnienie.

– Och, czyżby? – rzuciła kpiąco. – Czy to było jeszcze przed, czy może już po tym, jak cisnąłeś we mnie zbiorem komentarzy prawnych?

– Po pierwsze cisnąłem nie w ciebie, a o ścianę – machnął ręką dla uplastycznienia relacji – po drugie nie zbiorem komentarzy prawnych, tylko

magazynem o grach komputerowych. – Skrzywił się od gwałtownego ruchu.

Joceline uśmiechnęła się do niego, po czym powtórzyła:

– Naprawdę muszę wrócić do biura. Poza tym... potrzebuję trochę dystansu. Tylko przez kilka dni.

Jon przyjrzał się jej, przechylając głowę na bok.

– A co potem? Po tych kilku dniach?

– Możemy... – Odetchnęła głęboko. – Możemy porozmawiać o tym później?

– Rozumiem... – Jego twarz stężała. – Próbujesz się wycofać.

– Całe moje życie to jedno wielkie wycofywanie się – powiedziała cicho jakby do siebie.

– Nie wierzysz, że mam poważne zamiary.

– Jon, nie znasz mnie. Nic o mnie nie wiesz.

– A co powinienem wiedzieć? – spytał pochmurnie.

– Na pewno więcej, niż przynajmniej teraz chcę ci powiedzieć. Poza tym naprawdę muszę się trochę przespać.

Ciężko opadł na łóżko.

– Zapewne masz rację. Może nie zaszkodzi, jeśli nieco zwolnimy.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzasz.

– Jestem do tego zmuszony – odparł z krzywym uśmiechem.

– Chcę, żebyś wyzdrowiał. – Wzruszyła ramionami.

– Ja też. – Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

– Ale nie podoba mi się, że pojedzie z tobą Rourke. Choć z drugiej strony wiem, że perfekcyjnie będzie was ochraniał.

– Chyba nie sądzisz, że ktoś naprawdę mógłby skrzywdzić Markiego?

– spytała z rosnącym po każdym słowie niepokojem.

– Zabili moją bratanicę.

– To prawda... – Joceline starała się nie dopuścić, by ogarnęła ją bezrozumna panika. Zwykle przerażenie wystarczy.

– Ale obiecuję ci, że nie dopadną twojego syna.

– Dziękuję. – Ta obietnica przyniosła jej nieco ulgi.

– A jutro jeszcze porozmawiamy.

Zawahała się, lecz uśmiech Jona był upajający i serce skoczyło jej w piersi. Odpowiedziała więc z uśmiechem:

– Dobrze, jutro.

Nazajutrz rano Joceline raźnie zerwała się z łóżka. Przepęniała ją radość z nowej, intymnej relacji z Jonem, i z wynikającej z tego nadziei, że może jednak mają przed sobą wspólną przyszłość. Gdy zaganiała Markiego do kuchni i otworzyła drzwi, stanęła twarzą w twarz z koszmarem.

Cammy zmierzyła ją gniewnym wzrokiem, który zastopowałby nawet szarżujące stado rozwścieczonych bawołów.

– Co robisz w moim domu? – spytała zimno.

Joceline zazwyczaj nie traciła kontenansu, jednak akurat w tym przypadku miała poważny powód, by obawiać się reakcji pani Blackhawk.

– Pracuję – odpowiedziała po krótkim wahaniu.

– Nie u mnie – rzekła wyniośle Cammy – Nigdy cię tu nie zapraszałam! I w dodatku przyprowadziłaś to... to dziecko! Jak śmiałaś?!

Joceline wzięła synka na ręce. Bardzo się zdenerwował, zszokowany wpatrywał się wielkimi oczami w rozgniewaną czarnowłosą kobietę.

– Proszę, niech pani zniży głos – powiedziała chłodno. – Denerwuje pani Markiego.

– Mało mnie to obchodzi – odparła Cammy wzgardliwie. – Wybrałaś, jak chciałaś, ale teraz nie oczekuj szacunku. Miałaś swoją chwilę rozpustnej

uciechy, czego on jest żywym dowodem, a także dowodem na to, że jesteś całkiem wyzbyta poczucia moralności.

Joceline przygryzła usta, po czym powiedziała schrypniętym głosem:

– Nic pani o mnie nie wie.

– Wiem tyle, ile trzeba. Próbujesz zawrócić w głowie mojemu synowi!

Uwodzisz go, ponieważ ma pieniądze, a ty jesteś biedna!

– Przestań wrzeszczeć na moją mamusię, ty stara jędzo! – krzyknął Markie.

Ściągnął tym na siebie uwagę Cammy, co dało Joceline dość czasu, by mogła odwrócić się na pięcie i odejść, zabierając chłopca.

– Dokąd idziemy, mamó? – zapytał.

– Wracamy do domu, skarbie. Ruszamy, jak tylko się spakuję. – Serce waliło jej szaleńczo. Cała była rozdygotana, a przecież zawsze szczyliła się tym, że

rzadko traci panowanie nad sobą. Jednak sytuacja była wyjątkowa. Nigdy dotąd nie widziała takiej nienawiści, jaką ujrzała w oczach Cammy.

– To dobrze. – Markie wtulił twarz w szyję matki. – Nie lubię tej jędzy. Jest podła!

– Trzymaj się z daleka od mojego syna! – wykrzykiwała ostrym tonem matka Jona. – Przywiozłam tu moją młodą przyjaciółkę, żeby się nim zaopiekowała, gdy będzie powracał do zdrowia. Nie potrzebujemy cię tutaj!

Zatem nie ominie go żadna ekscytująca wieść ze świata mody, przemknęło Joceline przez głowę, lecz była zbyt wzburzona, by podzielić się z Cammy tym kpiącym spostrzeżeniem.

Postawiła Markiego na podłodze i zaczęła wkładać rzeczy do starej zniszczonej walizki. Cammy Blackhawk czekała, stojąc w progu z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Była oburzona tym, że podczas gdy

ona przebywała w Europie, ta okropna Joceline Perry pozostawała z Jonem sam na sam w jej własnym domu!

– Tylko nie zabierz niczego, co nie twoje – warknęła.

Joceline zignorowała tę złośliwą uwagę, a Markie przytulił się do jej nóg.

– Nie podoba mi się tutaj – oznajmił. – Chcę stąd wyjechać.

– Już za chwilę wyjedziemy, kochanie.

– To dobrze, mamó. – Chłopiec mówił ochryłym głosem i dyszał ciężko.

Joceline przyklękła przy nim.

– Oddychaj głęboko. Spójrz na mnie. Po prostu oddychaj, dobrze? Nie myśl o niczym, tylko oddychaj głęboko. Masz. – Podała mu inhalator ratunkowy.

– Oddychaj, i jeszcze raz. Właśnie tak. Już lepiej? Markie kiwnął głową. Jego klatka piersiowa gwałtownie wznosiła się i opadała, lecz już z mniejszym wysiłkiem. Oddech odrobinę się wyrównał, gdy lekarstwo zaczęło działać.

– Co mu jest? – spytała niechętnie Cammy..

– Nic. Zbierz swoje zabawki, skarbie.

Chłopczyk podniósł wytartego pluszowego misia oraz zniszczoną figurkę kowboja i przycisnął je do piersi. Wciąż lekko drżał. Joceline potwornie się o niego bała, lecz wołała tego nie okazywać.

Gdy się spakowała, włożyła synkowi kurtkę, a potem narzuciła na siebie płaszcz. Następnie wzięła torebkę i podniosła walizkę.

– Może chce pani zrewidować mój bagaż? – rzuciła prowokacyjnie.

– Daruj sobie... – Cammy przyjrzała się jej uważnie. Dostrzegła ubóstwo, brak nadziei i podszyte buntem pogodzenie się z losem.

– Już wychodzimy. – Joceline ujęła synka za rękę i poprowadziła do drzwi. W progu przystanąła, odwróciła się i powiedziała chłodno, a nawet wyniośle:

– Jest tu pani gospodynią, może więc pani zlecić komuś, by odwiózł nas do miasta na dworzec autobusowy? Dla Markiego to zbyt daleko na pieszą wędrówkę.

– Nie masz samochodu?

– Pan Blackhawk przywiózł nas tu samolotem. A mój samochód nie dotarłby nawet na przedmieścia

San Antonio – oznajmiła Joceline z dumą biedaka, który za cały majątek ma właśnie dumę.

– Zaraz ktoś was zabierze do miasta.

– Dziękuję. Zaczekamy na ganku. – Joceline wyszła, ciągnąc za sobą Markiego.

Cammy podniosła słuchawkę interkomu i powiedziała:

– Proszę polecić, by ktoś odwiózł na dworzec autobusowy pannę Thingy i jej... syna. Czekają na ganku.

– Sam ich odwiozę, ty stara wściekła nietoperzyco – odpowiedział mężczyzna z afrykanerskim akcentem. – A ty idź do diabła razem ze swoimi staroświeckimi poglądami i uprzedzeniami. – Afrykaner przerwał połączenie.

– Nie do wiary! – wrzasnęła oburzona i wpadła jak burza do sypialni Jona, w której protegowana Cammy usiłowała poprawić mu poduszki, a on piorunował ją wzrokiem. – Ten dzikus z buszu kazał mi iść do diabła! – poskarżyła się synowi, kipiąc z wściekłości.

– Jakich ty ludzi zatrudniasz?

– Kto ci to powiedział? – spytał rozgniewany.

– Rourke – odrzekła z furją. – Poprosiłam tylko, żeby ktoś zawiózł twoją sekretarkę do miasta, by mogła złapać autobus...

– Joceline? Złapać autobus? – Blackhawk gwałtownie usiadł w łóżku.
– Cholera!

– Posłuchaj, Jon...

Sięgnął po telefon.

– Dajcie mi Rourke'a. Tak, zaczekam! – Zmierzył matkę gniewnym wzrokiem. – Rourke, co tu się...? Co zrobiła? – Słuchał przez chwilę. – Tak, pojedź z nimi. Zawieź ją na lotnisko... Ściągnę pilota. Powiedz jej... do diabła, nieważne, sam jej to powiem. – Odłożył słuchawkę i wstał. – Wracam do San Antonio. Wyjdźcie z mojej sypialni! – rzucił ostro do matki i jej blond protegowanej.

– Jon, przepraszam – odezwała się łagodnie Cammy. – Proszę, nie wstawaj. Jesteś chory...

Czułem się lepiej, dopóki nie postanowiłaś zrujnować mi życia!

Cammy przygryzła usta. Łzy stanęły jej w oczach.

– Jon, ta kobieta chce cię usidlić. Po prostu nie rozumiesz...

– To ty nic nie rozumiesz! – przerwał jej z wściekłością. – Nie będziesz dyrygować moim życiem, mówić, z kim mam się ożenić albo co mam robić. Jestem twoim synem, a nie niewolnikiem!

Matka poruszyła się niespokojnie.

– Jesteś chory, a ja do tego cię zdenerwowałam. Bardzo mi przykro, naprawdę. Później przeproszę tę... no, jak jej tam...

– Ona ma na imię Joceline – rzekł głosem, w którym zabrzmiała groźna nuta.

– Tak, oczywiście, Joceline. – Cammy się wyprostowała. – Ona ma nieślubne dziecko...

– I co z tego?! – z furią zaatakował ją Jon.

– Jak... jak to co? – wyjąkała.

– Za to ty wolałaś przerwać ciążę niż urodzić, prawda? – spytał z naciskiem, podczas gdy blond modnisią stała obok oniemiała i kompletnie zszokowana. – Bałaś się, że mój ojciec nie będzie chciał tego dziecka, ponieważ nie mieliście jeszcze ślubu, więc dokonałaś aborcji. Dopiero gdy ci się oświadczył, zrozumiałaś, jaki straszny błąd popełniłaś, lecz było już za późno, prawda?

Zdruzgotana Cammy oparła się plecami o ścianę.

– Nigdy nikomu tego nie wyjawiałam...

– Tata pił – rzekł chłodno Jon. – A kiedy wypił, rozwiązywał mu się język. Twierdził, że ożeniłby się z tobą wcześniej, gdybyś tylko powiedziała mu o ciąży. Opłakiwał nienarodzone dziecko i współczuł ci z powodu twojej decyzji, która, jak sądził, złamała ci serce. – Blackhawk zmierzył matkę zimnym wzrokiem. – Ale ciebie to widocznie wcale nie zraniło, skoro masz chęć osądzać kobietę, która wykazała więcej odwagi niż ty.

Cammy zamknęła oczy, pobladła jeszcze bardziej.

– Och, widzę, że to bardzo osobista rozmowa. Zaczekam na zewnątrz.

– Blondynka na palcach wymknęła się z pokoju.

– Możesz poczekać razem z nią – zwrócił się Jon do matki. – Wyjadę, jak tylko zdołam się ubrać.

Otworzyła oczy, w których malowały się smutek, ból i wielki wstyd.

– Sądziłam wówczas, że to jedyne wyjście – rzekła martwym tonem. – Nie pomyślałam, jak potem będę się czuła... – Podniosła wzrok na syna. – Nie chciałam, żebyś kiedykolwiek się o tym dowiedział.

– Ojciec żałował, że nie powiedziałaś mu wcześniej. Jesteś strasznie zadufana w sobie. Zawsze masz rację, a wszyscy inni się mylą. Wiesz

dokładnie, jak ludzie powinni postępować, jak mają żyć... kogo poślubić. – Skinął w kierunku zamkniętych drzwi, za którymi zniknęła blondynka. – Ale kim jesteś, żeby decydować za nich?

Cammy skrzyżowała ramiona na piersi.

– Pragnę jedynie, żebyś był szczęśliwy.

– I sądzisz, że małżeństwo z tą twoją zbzikowaną na punkcie mody pannicą by mnie uszczęśliwiło? – spytał z niedowierzaniem.

Przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– Może... może rzeczywiście trochę za bardzo nalegałam.

– Trochę?! – parsknął ironicznie i obrzucił ją jeszcze bardziej gniewnym spojrzeniem. – Gdybym musiał poślubić tego rodzaju kobietę... – znów wskazał na drzwi – wolałbym do końca życia pozostać kawalerem. Uroda się dla mnie nie liczy. Są o wiele ważniejsze cechy.

Cammy ponownie poruszyła się nerwowo, ogarnięta poczuciem winy.

– Ten chłopczyk... On nie oddycha prawidłowo.

– Cierpi na astmę – wyjaśnił chłodno Blackhawk. – Miewa gwałtowne ataki, co jakiś czas musi być hospitalizowany. Najczęściej zdarza się to wtedy, gdy coś go zdenerwuje! – Gdy Cammy tylko się skrzywiła, bezlitośnie ciągnął dalej: – Przez ciebie Joceline i jej synka czekają ciężkie chwile. A ja wracam do San Antonio razem z... z...

– Urwał, skrzywił się z bólu, zachwiał się i omal nie upadł.

Matka podbiegła i podtrzymała go. Hamując łzy, pomogła mu wrócić do łóżka.

– Przepraszam... naprawdę ogromnie cię przepraszam – wyjąkała.

– Niech to diabli! – wycedził przez zęby, ciężko padając na pościel.

Czuł się zbyt słaby nawet na to, by w pełni dać upust gniewowi.

Matka pogłaskała jego czarne włosy, jak to czyniła, kiedy był małym

chłopcem.

– W porządku. Wszystko naprawię, nie martw się. Ty tylko wracaj do zdrowia. – Mocno przygryzła wargi, po jej policzkach popłynęły łzy. – Przepraszam cię!

Jon nie odpowiedział. Był tak wściekły, że nie potrafił wydusić ani słowa.

Przez całą drogę powrotną do San Antonio Joceline powstrzymywała łzy. Była zdenerwowana, ale Markie jeszcze bardziej. Wiedziała już, że taki stres skończy się dla synka wizytą w szpitalu. Nawet lekarstwa, które wziął, nie zapobiegą nadchodzącemu atakowi.

– Przykro mi, kochanie – rzekł do niej łagodnie Rourke. – Cóż, Cammy potrafi być taka... – urwał, zerknął na chłopca. – Czasem bywa zwykłą żołą.

– To nie jej wina – odparła Joceline z nikłym uśmiechem. – Po prostu mnie nie zna.

– Tym gorzej dla niej. – Gdy czuły ton w jego głosie wyrwał z piersi Joceline stłumiony szloch, Rourke dodał cicho: – No już, uspokój się. – Delikatnie objął ją ramieniem. – Nie ma się czym przejmować. Życie toczy się dalej. Prawda, chłopie? – zwrócił się z serdecznym uśmiechem do Markiego.

Chłopiec martwił się o mamę. Płakała, a to znaczyło, że stara jędza sprawiła jej przykrość. Jednak przy tym potężnym mężczyźnie Markie czuł się bezpiecznie i nabrał nadziei, że wszystko będzie dobrze. Odpowiedział uśmiechem. Jasne. Wszystko będzie dobrze. Gdyby tylko mógł swobodnie oddychać...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lecz nie było dobrze. Gdy tylko Joceline i Markie wrócili do San Antonio i weszli do mieszkania, chłopiec zaczął się dusić.

Natychmiast wezwała Rourke'a, który zawiózł ich na oddział nagłych wypadków, a potem zczekał z Joceline przed gabinetem, gdy lekarz badał Markiego.

– Nic mu nie będzie – rzekł Rourke uspokajająco, i w tym momencie zadzwoniła jego komórka. Wstał, oddalił się nieco i odebrał. Na jego twarzy pojawił się niepokój. Rzucił coś do słuchawki, rozłączył się i wrócił do Joceline. – Muszę iść. Nie mogę ci podać żadnych szczegółów, w każdym razie pracuję nad pewną sprawą. Jest nas kilku, i właśnie obmyślili strategię, która, sądzę... mam nadzieję... okaże się skuteczna. Polecę jednemu z moich ludzi, żeby cię pilnował. Obiecuję, że nie będzie lazył ci pod oczy. Wolałbym zostać z tobą, niestety, nie mam wyboru.

– W porządku. Dziękuję, że nas tu przywiozłeś.

Rourke wyjął banknot i wsadził jej do kieszeni płaszcza.

– Daj spokój – rzekł stanowczo, gdy chciała zaprotestować. – Przecież musisz zamówić taksówkę. Obiecuję, że ci to wynagrodzę. Zadzwoń do mnie, kiedy już będzie wiadomo, co z Markiem, dobrze?

– Nabazgrał na skrawku papieru numer i wręczył jej.

– Dobrze. No to do widzenia.

Wychodząc, mrugnął do niej pokrzepiająco, lecz był wyraźnie zatroskany.

Joceline, siedząc na krześle, pochyliła się i kilka razy odetchnęła głęboko. Tak wiele ostatnio przeszła, a teraz pojawił się kolejny wielki

problem. Cammy Blackhawk bezceremonialnie usunęła ją z życia Jona. Chciała, żeby ją zwolnił i znalazł sobie inną „sekretarkę”. Była najbardziej zaborczą i despotyczną matką na świecie, w zarodku zdusiła mgliste marzenie Joceline o wspólnej przyszłości z Jonem.

Prawdopodobnie tak będzie dla mnie najlepiej, powiedziała sobie. Przecież ukrywam mroczne sekrety z przeszłości.

Ale czyż mogła postąpić inaczej? Podjęła jedyną możliwą decyzję. Musiała za to zapłacić i wciąż płaci.

Wybuchnęła płaczem. Tego było już dla niej za wiele: włamanie, postrzelenie Blackhawka, bandzior grożący zamordowaniem jej synka, możliwość utraty pracy, a teraz jeszcze ta wstrętna matka Jona wyrzuciła ją z domu. Nie pozwolono jej nawet się pożegnać. To więcej, niż mogła znieść!

– Nie! Nie wolno ci tak płakać!

Usłyszała ten głos jakby we śnie, a po chwili poczuła, jak czyjeś ramiona objęły ją, przytuliły i ukołysały.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Powiedziała sobie, że niewątpliwie śni. Widocznie upadła, uderzyła się w głowę i teraz jest w śpiączce. Bowiem, o ile naprawdę nie zwodziły jej zmysły, to Cammy Blackhawk obejmowała ją serdecznie i pocieszała. Halucynacje, pomyślała Joceline. Z pewnością mam halucynacje...

Cammy wyjęła chusteczkę i otarła jej łzy.

– Spędziłam wiele nocy na oddziale nagłych wypadków z Jonem, kiedy był dzieckiem – powiedziała cicho, łagodnie. – Wiem, jakie to potworne. Ale kiedy dorósł, pozbył się astmy. Z twoim synkiem będzie tak samo, zobaczysz.

Joceline przygryzła wargę. Nie wiedziała, co powiedzieć, jak się

zachować. Wstała gwałtownie. To było wręcz niepojęte, że ta kobieta przyjechała za nią aż tutaj. I dlaczego zachowywała się wobec niej tak przyjaźnie?

– Widzę, że mi nie ufasz – dodała Cammy.

– Usiądź i pozwól, że coś ci opowiem.

– Dobrze... – Osunęła się obok niej na krzesło, jedno z tych niemożliwie twardych krzesel, w które z upodobaniem wyposaża się szpitale.

– Kiedy byłam bardzo młoda – rozpoczęła Cammy – mój dziadek lubił wydawać przyjęcia dla przyjaciół. Pili na umór, a ja mogłam niepostrzeżenie wymykać się z domu. Bardzo lubiłam tego starszego człowieka. Pracował jako strażnik policyjny w indiańskim rezerwacie. – Uśmiechnęła się, widząc zaskoczoną minę Joceline. – Tak, mieszkałam w rezerwacie w Kyle w Dakocie Południowej, ponieważ dziadek tam pracował. Moja matka bardzo młodo wyszła za mąż i zmarła przy porodzie, wydając mnie na świat. A wtedy ojciec... no cóż... po prostu się ulotnił, zostawiając mnie z dziadkami w Dakocie Południowej. Kiedy pewnej zimy babka umarła, zostaliśmy tylko ja i dziadek. – Westchnęła. – Nie chcę zanudzić cię opowiadaniem o szczegółach. Krótko mówiąc, zakochałam się w pewnym mężczyźnie i... posunęłam się za daleko. Obawiałam się, że on nie będzie chciał tego dziecka. Wiesz, był człowiekiem bardzo religijnym. – Odwróciła wzrok. – Zrobiłam więc to, co jak sądziłam, powinnam była zrobić. Potem pobraliśmy się, a ja sobie uświadomiłam... – Westchnęła ciężko. – Nigdy później o tym nie wspomniał. Miał już McKuena, a ja po jakimś czasie urodziłam Jona. Tak więc mieliśmy dwóch synów. Wychowaliśmy ich na moralnych i odpowiedzialnych członków społeczeństwa, na ludzi, którzy nie uczynią niczego, czego nie mogliby bez

wstydu oznajmić w kościele.

– Mój Boże... – Joceline była wstrząśnięta tak intymnym i szczerym wyznaniem.

– Osądziłam cię, choć nie miałam do tego prawa – dodała cicho Cammy. – Niegdyś zabrakło mi twojej odwagi. Ty zachowałeś dziecko.

Joceline umknęła wzrokiem, nim odparła:

– Dokonałam wyboru. Nie miałam pojęcia, czy okaże się słuszny. Wiedziałam, że Markie nigdy nie pozna swojego ojca.

– To tragedia.

– Tak, tragedia...

Cammy ujęła zimną dłoń Joceline.

– Przepraszam za moje słowa, za moje zachowanie, a już najmocniej przepraszam za cierpienie, którego mimo woli przysporzyłam twojemu synkowi. Ale to mu przejdzie. Jon też często miewał takie ataki. Były przerażające, jednak zawsze mijały i potem czuł się dobrze.

– Markie ma słabe płuca.

– Z Jonem było tak samo. Między innymi dlatego stanowczo zabraniałam mu palić. – Cammy westchnęła. – Niestety, nie zdołałam powstrzymać przed tym jego ojca, chociaż próbowałam. A później McKuen zaczął kopcić te paskudne cygara...!

Joceline się uśmiechnęła, lecz zaraz znów spoważniała.

– Czy Jon dobrze się czuje? – spytała z napięciem.

– Tak. Chciał wrócić do San Antonio, do swojego mieszkania. Bardzo się na mnie rozgniewał. – Spuściła wzrok. – Tak okropnie się o niego boję. Nie chcę, żeby został sam. – Przygryzła wargę, podniosła głowę i spojrzała czarnymi oczami na Joceline. – Doktorzy twierdzą, że mam wysokie ciśnienie. Mówią, że powinnam brać lekarstwa. Ale ja nie chcę. Nienawidzę

się leczyć.

– Ależ musi pani słuchać się lekarzy – powiedziała łagodnie Joceline.
– Chyba nie chce pani dostać udaru? Śmierć nie jest tym najgorszym, co się może wówczas przydarzyć. Paraliż, bezruch... Kiedy byłam małą, moja babka miała udar. Doznała paraliżu jednej strony ciała i na dwa lata została przykuta do łóżka, a potem umarła. To było strasznie smutne. Musi pani zażywać lekarstwa!

Cammy głęboko wciągnęła powietrze.

– I tak w każdej chwili człowiek może umrzeć.

– Nie, nie w każdej chwili – pogodnie zaprzeczyła Joceline. – Nie teraz, to wykluczone, przecież zostanie pani babcią. – Joceline mimo przygnębienia zdobyła się na szeroki uśmiech. – I to już wkrótce.

– Prawda, mój wnuk... albo wnuczka – rzekła rozpromieniona. – Z tych nerwów nie myślałam o tym... Już byłam babcią... – W jej oczach pokazał się ból, zaraz się jednak rozpozgodziła. – I po raz drugi nią zastanę.

Joceline skinęła głową. W oczach miała, dziwny smutek.

– Tak, po raz drugi... – powtórzyła cicho.

– Muszę na tym się skupić i przestać zmuszać Jona do poślubienia jednej z tych dziewcząt, które uważam za odpowiednie kandydatki – oświadczyła samokrytycznie Cammy, uważnie przyglądając się Joceline.

– Rourke chce się z tobą ożenić. To doprowadza Jona do furii. – Roześmiała się cicho.

– Markie lubi Rourke'a – rzuciła niezobowiązująco Joceline. – Ma lwy na farmie w Południowej Afryce.

– W Afryce jest bardzo niebezpiecznie. Nie powinnaś zabierać tam swego dziecka – stwierdziła kategorycznie Cammy. – A Rourke zająłby ostatnie miejsce w każdym konkursie, w którym matki wybierałyby męża

dla swoich córek.

Nie do wiary! Czy Cammy Blackhawk naprawdę stara się ją odwieść od poślubienia Rourke'a?

Zanim Joceline zdołała cokolwiek odpowiedzieć, podszedł do niej uśmiechnięty lekarz dyżurny oddziału nagłych wypadków.

– Nie ma powodów do niepokoju – oznajmił z brytyjskim akcentem. – Chłopcu już nic nie grozi. Musieliśmy poddać go kilku zabiegom, ale udało się nam oczyścić płuca. Możecie już wracać do domu.

– Czy będzie musiał brać antybiotyki?

– Nie, tylko proszę stosować profilaktyczną inhalację. Ma pani inhalator?

– Tak.

– Na wszelki wypadek damy pani również inhalator ratunkowy. – Doktor uśmiechnął się. – To bystry chłopczyk. Martwił się o panią. Domyślałam się, że był świadkiem jakiejś kłótni.

– To moja wina. – Cammy wysunęła się do przodu. – Ale już po wszystkim.

– Tak, oczywiście – powiedział zaskoczony lekarz, i dodał: – A zatem zapraszam do Markiego.

Joceline poszła za doktorem. Ku jej zdumieniu towarzyszyła jej Cammy Blackhawk.

Kiedy chłopiec zobaczył, że „stara jędza” wchodzi do gabinetu razem z jego matką, wyraźnie się wystraszył, jednak nim Joceline zdążyła zainterweniować, Cammy podeszła do Markiego i wzięła go na rękę.

– Bardzo cię przepraszam – rzekła łagodnym tonem i uśmiechnęła się.

– Jestem wstrętną starą babą, ale mam nadzieję, że się zmienię. Masz ochotę na lody?

Markie był rozdarty między oburzeniem na Gammy za to, jak potraktowała jego mamę, a wielką ochotą na ulubiony przysmak. Popatrzył pytająco na Joceline.

– Myślę, że ta propozycja załagodzi sytuację – zawyrokowała rozbawiona.

Cammy odpowiedziała jej uśmiechem.

Zabrały chłopca do szpitalnego bufetu, gdzie dostał lody, ale dopiero po solidnym posiłku, za który również zapłaciła Cammy, nie zważając na protesty Joceline.

Cammy wypila czarną kawę, ale nie zamówiła dla siebie deseru.

– Nigdy nie jadłam słodczy – wyznała. – Stare przyzwyczajenie. Kiedy byłam mała, mówiono nam, że cukier jest przyczyną wszystkich problemów ze zdrowiem, i tylko w wyjątkowych okazjach pozwalano zjeść cukierek czy kawałek ciasta.

– Czy jesteś Indianką? – zapytał zaciekawiony Markie. – Uczymy się o nich w szkole.

– W moich żyłach płynie głównie krew Czirokezów, ale jedni moi dziadkowie pochodzili z plemienia Siuksów, a drugi dziadek był Komanczem.

– Umiesz mówić po indiańsku?

– Znam trochę język Czirokezów – odparła z uśmiechem. – Nasze ojczyste języki giną, jeśli ich nie używamy. Staram się zachować w pamięci przynajmniej tyle, ile nauczyli mnie rodzice.

– Ojciec Jona był Siuksem, prawda? – spytała Joceline.

– Tak, pełnej krwi – ze śmiechem potwierdziła

Cammy. – Jego matka uważała, że nie nadaję się na żonę dla niego, ponieważ jestem mieszanej krwi.

– To było dla niej takie ważne? – spytała mocno zdziwiona Joceline.

– Tak, bardzo. Jak więc widzisz, uprzedzenia występują wszędzie.

Jednak go poślubiłam. Jego rodzice nie odezwali się do nas przez dwa lata. Zmiękli dopiero wtedy, gdy urodził się Jon.

– Pojawienie się dzieci często łagodzi takie konflikty.

– To prawda.

Joceline ogarnęło znużenie. Czowała się wykończona ostatnimi wydarzeniami: włamaniem, groźbami, postrzeleniem Jona i raptowną zmianą w ich relacjach, a na koniec wyrzuceniem z rancza przez rozjuszoną Cammy Blackhawk i błyskawicznym powrocie z Oklahomy. I oto teraz ta sama Cammy Blackhawk zaprosiła ich na lody. Jon miał rację: jego matka w rzeczywistości wcale nie jest taka zła, jak się wydaje.

Joceline zjadła łyżeczkę lodów i nagle zmarszczyła brwi. Przyszła jej do głowy myśl tak niepokojąca, że najchętniej by ją unieważniła. Niestety było to niemożliwe.

– Skąd on wiedział? – spytała samą siebie.

– Słucham? – Zaskoczona Cammy aż zamrugowała.

– Ktoś włamał się do mojego mieszkania – wyjaśniła Joceline. – Kilraven i ja sądzymy, że chciał ukraść kartotekę pewnego przestępcy, którą zabrałam z biura. Skąd włamywacz wiedział, że przyniosłam te akta do domu?

– Czy komuś o tym powiedziałaś?

– Tylko Betty, koleżance z pracy, kiedy piłyśmy kawę. – Joceline znieruchomiała z łyżeczką zawieszoną w pół drogi. – Nie. – Pokręciła głową, kategorycznie odrzucając to przypuszczenie. – Betty pracuje dłużej niż ja i cieszy się absolutnym zaufaniem w naszym biurze.

– Może wspomniałaś jeszcze komuś?

– To duże biuro, pracuje tam tak wielu ludzi. Nie tylko agenci i urzędnicy, lecz także wiele osób na niepełnych etatach, które nam pomagają. Mamy lingwistów, informatyków, programistów komputerowych, księgowego... – Zmarszczyła brwi. – Przy mojej rozmowie z Betty była obecna dziewczyna zatrudniona na niepełnym etacie, ale jest poza podejrzeniem. Jej ojciec jest oficerem śledczym w wydziale zabójstw miejscowej policji. Mogło być tak: ktoś usłyszał, o czym rozmawiamy, później plotkował z kimś spoza biura o pracy, taka zwykła paplanina, bez ujawniania spraw poufnych, jednak by się pochwalić, jaki to jest ważny, wspomniał o groźnym przestępcy i kartotece, którą koleżanka ma przepisać w domu. I nagle z pozoru nieistotna, plotkarska informacja nabrała znaczenia. Cóż, to się zdarza. Odwiedza nas mnóstwo ludzi, zawieramy różne znajomości, ktoś z pracowników mógł się okazać na tyle lekkomyślny, by ujawnić sprawy firmy osobie z zewnątrz. – Westchnęła. – To był bardzo nerwowy tydzień.

– Wiem, co masz na myśli – przytaknęła ponuro Cammy. – Przez ostatnich kilka lat żyję w ciągłym lęku, że któryś z moich synów może zostać zabity przez jakiegoś kryminalistę. Mają tak samo niebezpieczną pracę jak mój zmarły mąż.

– Są świetnymi fachowcami – powiedziała Joceline. – I są bardzo ostrożni.

– Tak, masz rację. – Cammy uśmiechnęła się.

– Zanadto się zamartwiam. – Urwała na moment, uniknęła wzrokiem.

– Podjęłam pewną decyzję. Mam nadzieję, że słuszną. – Podniosła głowę i spojrzała na Joceline. – Jon będzie cię bardzo potrzebował.

Zastanowiła ją ta uwaga, lecz Cammy szybko zmieniła temat, a po chwili zawiozła Joceline i Markiego do domu taksówką i zapłaciła za kurs,

ignorując protesty Joceline.

– Wszystko to stało się z mojej winy – oznajmiła.

– Niech chociaż to zrobię, by w drobnym stopniu wynagrodzić wam moje zachowanie.

– Dziękuję – rzekła Joceline.

Cammy przez chwilę przyglądała się jej uważnie.

– Kochasz mojego syna – powiedziała wreszcie.

– On jest moim szefem – wykrztusiła Joceline, gdy już doszła do siebie. – Naturalnie, że go... lubię.

Cammy myślała intensywnie. Ten mały chłopczyk, trzymający Joceline za rękę, wydał się jej nagle tak znajomy... Ogarnęło ją straszliwe poczucie winy. Markie zachowywał się prawie identycznie jak Jon w jego wieku...

Połączyła niektóre fakty. Jej syn i Joceline przed kilku laty udali się na przyjęcie, na którym Jonowi dosypano do drinka narkotyk. Było to mniej więcej dziewięć miesięcy przed przyjściem na świat Markiego. Decyzja o urodzeniu nieślubnego dziecka wydawała się sprzeczna z charakterem Joceline, która była osobą bardzo religijną. Czy to wszystko układało się w coś, czego Cammy dotąd nie dostrzegła?

Znów poczuła wyrzuty sumienia z powodu swego zachowania wobec tej dzielnej młodej kobiety oraz tego, co o niej wygadywała. Sama ukrywała jeszcze jeden mroczny sekret, którego nie mogła nikomu wyjawić. Naraziła się na olbrzymie niebezpieczeństwo i nie powiedziała o tym nawet synom. Miała nadzieję, że postępuje słusznie. Jeszcze do niedawna przeżywała rozterkę i nie była zbyt przychylnie usposobiona do Joceline i jej dziecka. Obecnie pozbyła się wątpliwości co do swej decyzji. Jej skutki będą bolesne również dla innych, ale jeśli to ocali życie...

Nie zdradziła się ze swymi podejrzeniami. Uśmiechnęła się tylko, rzuciła ostatnie spojrzenie na Markiego, pomachała na pożegnanie i poleciała taksówkarzowi, żeby zawiózł ją do hotelu, w którym zarezerwowała pokój. Odchyliła głowę na oparcie siedzenia i w milczeniu pograżyła się w rozmyśleniach.

Dotarła do hotelu i odbyła krótkie spotkanie, w trakcie którego powiedziano jej, co i kiedy ma zrobić. Jednak zanim postąpiła według otrzymanych instrukcji, zadzwoniła do McKuena.

– Co wiesz o synku Joceline? – zapytała wprost.

– Nic, o czym kiedykolwiek chciałbym ci powiedzieć – odrzekł równie bezceremonialnie.

– Pojechałam się z nią spotkać. Z mojego powodu musiała zawieźć chłopca do szpitala – wyjaśniła ze wstydem. – Nigdy jeszcze nie czułam się tak bardzo winna.

– Dobrze postąpiłaś – powiedział trochę łagodniejszym tonem.

– Jon wyrzucił mnie z domu – dodała smutno.

– Kiedy wyjeżdżałam, w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać. Odesłałam moją młodą przyjaciółkę, wiesz, Charlene. Uświadomiłam sobie, że synek Joceline zaczął mieć trudności z oddychaniem, ponieważ bardzo go zdenerwowałam. Poczułam się okropnie. Chciałam jakoś im to wynagrodzić, więc zatelefonowałam do mieszkania Joceline, a kiedy nie odebrała, już wiedziałam, co się stało. Zaczęłam obdzwaniać szpitale, aż wreszcie ich znalazłam. Tamten bandzior im groził. Czy na pewno są bezpieczni u siebie w domu?

– Nasi ludzie pilnują ich bez przerwy.

– Mam nadzieję, że nie Rourke – powiedziała stanowczo Cammy. – Nie powinien być jej ochroniarzem. Mieszka w Afryce.

– Chciałaś przecież, żeby Joceline go poślubiła i przeniosła się..

– To było przedtem! – wpadła mu w słowo. – Zobaczyłam Markiego i uderzyło mnie, jak bardzo przypomina... Jona – dodała z wahaniem. – Z wyjątkiem koloru oczu i cery, ale przypuszczam, że na słońcu łatwo by się opalił na brąz.

– Fantazjujesz, Cammy.

– Czyżby? Jon poszedł z Joceline na przyjęcie i dosypano mu jakieś świństwa do drinka. Był zamroczony. Muszę tylko poznać dokładne daty tej imprezy i narodzin Markiego – oświadczyła z uporem.

– Mogę wynająć prywatnego detektywa.

Mac odetchnął głęboko, nim się odezwał:

– Mamo, nie pracujesz w służbach, a zaczynasz myśleć w taki sposób, jakbyś była agentem federalnym. – Oczywiście nie zdradził, że już zrobił to, co zamierzała.

– To mój... wnuk. – To słowo ledwie przeszło jej przez gardło, zaraz jedna powtórzyła mocnym, pewnym głosem: – Markie jest moim wnukiem!

– Tak.. – po chwili wahania potwierdził Kilraven.

– Jednak Joceline obawiała się, że Jon w to nie uwierzy. Co więcej, była pewna, że gdyby mu przekazała tę wieść, uznałby ją za spryciarę, która albo na dziecko próbuje go zmusić do ożenku, albo zamierza szantażem wyłudzić od niego kasę. Trudno jej się dziwić, w tamtym czasie prawie w ogóle się nie znali, ledwie zaczęli pracować razem. Joceline podjęła decyzję, którą uważała za najlepszą. Nie pozbyła się dziecka. Za bardzo je kochała, podobnie jak jego ojca.

Cammy przymknęła powieki, spod których popłynęły łzy.

– Zachowywałam się wobec niej okropnie.

– Zauważyliśmy.

Pociągnęła nosem, otworzyła oczy i wyprostowała się gwałtownie.

– To się już nigdy więcej nie powtórzy. Zamierzam dopilnować, żeby odtąd Joceline i Markiemu niczego nie zabrakło. A Jon powinien się z nią natychmiast ożenić!

– Zapominasz o pewnej drobnej przeszkodzie.

– Jakiej?

– Jon nie wie, że Markie jest jego synem. – Cammy usiadła ciężko na krześle. Gdy jej milczenie się przedłużało, Kilraven mówił dalej: – Joceline mu nie powie. Wciąż się lęka, że on jej nie uwierzy. Chłopiec ma grupę krwi A+, jak Jon, ale sprawę rozstrzygnąłby dopiero test DNA.

– Musielibyśmy skłonić Joceline, by go zrobiła. A ona odmówi. Jest uparta, tak jak ja.

– Owszem – ze śmiechem potwierdził Kilraven.

Cammy westchnęła.

– Cóż, w takim razie ty będziesz musiał mu powiedzieć.

– Nie! Na pewno nie ja.

– Zatem ja to zrobię.

– Ty także nie możesz. Mamo, znów to samo? Znów chcesz dyrygować innymi, podejmować za nich decyzje? Pomyśl, ile szkód już to spowodowało.

Cammy przygryzła wargę.

– Jon jest na mnie wściekły. Zasłużyłam na to, ale okropnie się o niego boję. Akurat teraz wolalabym nie zostawić go samego i w ogóle nie powinnam była go denerwować... – Nie dodała, że ma jeszcze inny powód, aby czuć się winną za sposób, w jaki rozstała się z Jonem. Na samą myśl o tym, jak bardzo poczuje się zdruzgotany, i to już niedługo, niemal zasłabła. Fatalne było też to, że nadal nie była pewna, czy postępuje słusznie.

– Przejdzie mu. Jeśli chcesz, pojedę się z nim zobaczyć – zaproponował Mac.

– Naprawdę mógłbyś to zrobić? – spytała z nadzieją. – To by mnie uspokoiło. Możesz mu powiedzieć, jak bardzo mi przykro, no i że odwiozłam Joceline i jej synka ze szpitala do domu.

– Powiem. Znasz Jona. Musi po prostu ochłonać.

– Cierpię na nadciśnienie – wyznała po chwili ciszy. – To poważna sprawa. Jeśli to mnie zabije, jak sobie poradzicie? No, ty masz Winnie, ale Jon jest sam jak palec. Wprawdzie ma dziecko i żyje kobieta, która go kocha, lecz o tym nie wie. Co się z nim stanie, jeśli umrę?

– Nie umrzesz. Przecież doktor przepisał ci lekarstwa, prawda?

Cammy z zakłopotaniem skubnęła materiał sukni.

– Owszem.

– Więc je bierz. Masz wnuka, a lada chwila urodzi się drugi.

– Tak – przyznała rozpromieniona.

– Nie wolno ci umrzeć.

Ponownie odetchnęła głęboko. Nie mogła niczego wyjawić, ale być może – tylko być może – zdoła ich choć trochę przygotować...

– Wiesz, ja to wyczuwam. Mam nieodparte przeczucie, że wydarzy się coś strasznego. Tak samo się czułam, nim postrzelono Jona, ale później to wrażenie nie ustąpiło. Posłuchaj, ogromnie cię kocham. Twojego brata również. Powiedz mu to. Jeżeli coś się ze mną stanie...

– Nic się nie stanie!

– Jesteś pewien? – po chwili milczenia spytała z cichym westchnieniem.

– Wiem, że twoje przeczucia czasem się sprawdzają – odrzekł Mac, który wyczuł niepokój w głosie matki.

– Ale tym razem się mylisz. Będiesz żyła jeszcze długo.

Cammy zapatrzyła się w dziwny cień na ścianie. A więc to już teraz? Mocno ścisnęła słuchawkę.

– Naturalnie.

– Więc przestań się zamartwiać i... Cammy? Cammy!

W słuchawce zabrzmiał odgłos wystrzału. Potem drugi i wreszcie ostatni... przerażająco ostateczny. Kilraven, nie rozłączając się, wyszarpnął z kieszeni zapasową komórkę, którą zawsze nosił przy sobie, i zaczął wybierać numer. Ręce mu się trzęsły.

Stojący przed drzwiami pokoju hotelowego detektyw policyjny z wydziału zabójstw, którym zresztą okazał się sierżant Rick Marquez, poinformował Kilravena, że Cammy Blackhawk nie żyje. Zastrzelono ją, gdy siedziała na sofie. Kule przebiły klatkę piersiową i brzuch. Na jej kolanach leżał telefon komórkowy. Marquez powiedział, że w pokoju aż się kłębi od techników kryminalnych zabezpieczających dowody i robiących dokumentację fotograficzną, są także zastępca koronera, śledczy z biura koronera i policjanci z wydziału zabójstw. Na korytarzu jakiś reporter daremnie usiłował dostać się do środka.

Kilravenowi również kategorycznie zabroniono tam wejść. Rick Marquez objął go mocno. Z początku poczuł opór, a potem bezradne drżenie, które wstrząsnęło ciałem Maca, gdy w pełni zdał sobie sprawę z tego, co się stało.

– No już, uspokój się – powiedział Rick. – Dojdiesz do siebie i zrobisz to, co należy.

– Dopadnę drania, który ją zastrzelił. Wytropię go nawet na końcu świata – rzekł ochryple Kilraven i z lekkim zakłopotaniem uwolnił się z uścisku Ricka.

– My go odnajdziemy – zapewnił go Marquez.

– Postawię w stan pogotowia wszystkie miejskie służby i odszukamy zabójcę.

– Harold Monroe groził mojej rodzinie.

– Tak. I rzeczywiście został wypuszczony za kaucją. Ale dobrze wiesz, że on schrzania wszystko, do czego się weźmie – przypomniał ponuro Rick.

– A skoro już o nim mowa... To naprawdę dziwne, że dowiedzieliśmy się, gdzie ukryto broń, z której zastrzelono twoją żonę i córkę. To była robota zawodowca: czysta, precyzyjnie zaplanowana i wykonana. Zabójca, który to zrobił, naprawdę zna się na swoim fachu. To mi jakoś nie wygląda na tego nieudacznika Harolda Monroego.

Kilraven był zbyt wstrząśnięty i zdruzgotany, by odpowiedzieć. On i Cammy różnili się w wielu sprawach, ale przecież bardzo ją kochał. Jak powie Jonowi o tej tragedii? I czy Cammy miała być jedyną ofiarą?

– Zleciłem jednemu z moich ludzi, żeby strzegł twojej żony – oznajmił posepnie Rick. – Rourke ma kogoś, kto ochrania Joceline i jej synka. Pilnujemy nawet ciebie. Ktokolwiek to zrobił, a wcale nie jestem pewien, że to Monroe, zrobił to z zemsty. Być może stoi za tym Jay Copper. Nawet przebywając w więzieniu, mógł komuś zlecić zabójstwo. Sprawdzimy wszystkich, z którymi się widział lub rozmawiał telefonicznie od momentu aresztowania. Sprawdzimy również Harolda Monroego. Znajdziemy sprawcę tej potwornej zbrodni.

– Tylko się pośpieszcie, dobrze? – rzucił Mac.

– Najpierw moja żona i córka, potem brat, a teraz matka... Do diabła z tym draniem!

– Wiem, co czujesz – powiedział Rick, a gdy Kilraven zmierzył go ciężkim wzrokiem, sprostował: – No dobra, nie wiem. Ale przysięgam na

duszę mojej matki, że odnajdę tego łajdaka.

– Tylko uważaj na siebie – już łagodniejszym tonem powiedział Mac.
– Kiedyś też byłeś celem dla gangsterów, podobnie jak moja teściowa.

– Tak, Gail Rogers, moja najlepsza partnerka z wydziału zabójstw – przytaknął Rick. – Powinieneś powiadomić brata. Już przyplątał się jakiś reporter, więc wiadomość o tej zbrodni rozejdzie się błyskawicznie. Nie można dopuścić, żeby Jon dowiedział się o śmierci matki z serwisu CNN.

Kilraven skinął głową.

Marquez przyjrzał mu się z głębokim niepokojem. Został wmanewrowany w działanie, co do którego nie był przekonany, i musiał polegać na słowie człowieka, któremu nie powinien był zaufać. Lecz wiedział, że rodzina Blackhawków mu ufa, a dobra pułapka wymaga odpowiedniej przynęty. Miał tylko nadzieję, że jego ubezpieczenie zdrowotne pokryje koszty leczenia poważnych uszkodzeń cieleśnych, których niewątpliwie dozna, kiedy pewne fakty wyjdą na jaw.

Kilraven poleciał odrzutowcem do Oklahomy. Po drodze zadzwonił na ranczo i polecił, żeby Sloane Callum przyjechał po niego na lotnisko, jednak po wylądowaniu okazało się, że czeka tam inny z pracowników.

– Sloane bardzo pana przeprasza, ale upił się i zamknął w swoim pokoju – oznajmił kowboj z cierpką miną. – Wie pan, on w zasadzie nie pije, ale powiedział, że każdemu zdarza się czasem pobłądzić.

– Zapewne. – Mac nie dodał nic więcej. Nawet nie poinformował kowboja, dlaczego tak szybko wrócił na ranczo.

Minę miał posępną i był pełen obaw przed czekającą go rozmową, gdy wchodził do sypialni brata. Jon poraził go bladością, w ogóle wyglądał na chorego i bardzo osłabionego. Do tego najwyraźniej wciąż jeszcze cierpiał z powodu nagłego wyjazdu Joceline, którą jego matka wyrzuciła z rancza.

– Cammy i ja się pokłóciliśmy – oświadczył. – Czy przysłała cię, żeby to załagodzić?

Kilraven usiadł na brzegu łóżka. Uświadomił sobie, że ta kłótnia jeszcze bardziej utrudnia i tak niełatwe zadanie powiadomienia brata o śmierci matki.

– Mam złą wiadomość – zaczął z wahaniem.

Jon przyjrzał mu się uważnie.

– To do ciebie niepodobne mówić ogródkami – rzekł z nikłym uśmiechem, lecz zaraz jego twarz stężała. – Chyba nic złego nie stało się Joceline ani chłopcu?

– Nie, nie im. – Mac zamilkł na dłuższą chwilę.

To takie strasznie trudne. Przypomniawszy sobie, jak wyglądały, gdy były martwe. Jego żona i córka. Przypomniawszy sobie rannego Jona na oddziale nagłych wypadków. To było...

– Więc Cammy. Cammy, tak?

Kilraven przymknął oczy, a zszokowany brat wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Rozmawiałem z nią przez telefon – powiedział Mac. – Nagle usłyszałem trzy strzały.

Jon nie potrafił w pełni ogarnąć umysłem znaczenia jego słów. Matka nie żyje. Jay Copper został aresztowany za ukartowanie zabójstwa Moniki i Melly Kilravenów, a Harolda Monroego oskarżono o współudział w tym podwójnym morderstwie. I teraz Monroe w odwecie zaatakował rodzinę Jona. Ten drań zabił Cammy. Zabił jego matkę, jedyną osobę, która, jak Jon sądził, była całkowicie bezpieczna i nie potrzebowała ochrony!

– Nie! – wycedził, a Kilraven ostrożnie przygarnął go do siebie i uścisnął. – Nie! – zaszlochał Jon.

Bracia, których ból zbliżył jak nigdy dotąd, przez długi czas trwali tak w milczeniu.

– Nasi ludzie pilnowali wszystkich – odezwał się wreszcie Kilraven. – Wszystkich oprócz Cammy. Bóg jeden wie, dlaczego nigdy nie przyszło mi do głowy, że może coś jej grozić. Dlaczego morderca wybrał właśnie ją? Przecież nikomu nie wyrządziła krzywdy!

– Należała do mojej rodziny – odrzekł martwym głosem Jon. – Dla Jaya Coppera rodzina jest czymś niezwykle ważnym. Pamiętasz, że zamordował nastolatkę, żeby ochronić senatora Willa Sandersa, swego nieślubnego syna? Wprawdzie Monroe należy do jego rodziny dzięki małżeństwu, a nie więzom krwi, ale nie zapominaj, że siostra Jaya popełniła samobójstwo, kiedy Bart Hancock był przez krótki czas oskarżony o współudział w tamtych morderstwach.

– Monroego zwolniono za kaucją, ale powiązemy go z tym zabójstwem, a także z zamordowaniem Melly. Czekają go ciężkie czasy, a najpewniej zawisnie na stryczku! – powiedział Kilraven. – Nie wywinie się nawet przy pomocy całego stada adwokatów. Jest skończony. Wkopał się sam przez swój zbyt długi jęzor, a my nagraliśmy to, co chlapnął. Jeden z naszych oficerów śledczych założył urządzenie podsłuchowe współwięźniowi Monroego, obiecując w zamian za współpracę układ z prokuratorem okręgowym. Każdy chce dopaść mordercę mojej córeczki, nawet ten więzień, który z własnej woli zaproponował pomoc w zdobyciu dowodu winy Monroego. On też ma córkę mniej więcej w tym samym wieku.

– A czy Harold Monroe ma dzieci? – spytał gorzko Jon.

– Nie, tylko żonę. Podobno jego ojciec przed wielu laty odsiadywał karę za morderstwo, ale nie sprawdzaliśmy aż tak daleko wstecz.

– Jak jest powiązany z tą sprawą Hank Sanders, brat senatora? – zapytał Blackhawk, mając na myśli zasłużonego i odznaczonego medalami weterana elitarnej jednostki SEAL, który pomógł uratować Kilravena i jego obecną żonę.

– W ogóle nie ma z nią nic wspólnego. Jay Copper miał dwie siostry. Jedna urodziła Barta Hancocka, a druga żonę Harolda Monroego. Siostry już nie żyją. Matka Barta Hancocka popełniła samobójstwo, kiedy wyszło na jaw, że jej syn jest wmieszany w zamordowanie mojej rodziny.

– To smutne. Mam na myśli ją, a nie jej syna.

– Tak, to prawda... – Kilraven uważnie spojrzał na brata. – Trzeba cię stąd wyciągnąć.

– Musimy zorganizować pogrzeb Cammy – odrzekł ponuro Jon.

– Owszem, ale odbędzie się w San Antonio. Cammy mieszkała tam przez wiele lat. Poza tym tam, bliżej nas, byłaby... szczęśliwsza.

– Wolałbym pochować ją w Jacobsville – oświadczył Jon. – Nie pytaj mnie, dlaczego. – Zadumał się na moment. – Wiesz, wydaje mi się, że to miejsce bardziej do niej pasuje niż wielki bezosobowy miejski cmentarz.

– Tak, to prawda – przytaknął Kilraven.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał Sloane Callum.

– Usłyszałem o zabójstwie pani Blackhawk. Bardzo mi przykro – powiedział posępnie. – Dochodziło między nami do nieporozumień, ale była dobrym człowiekiem. I przepraszam, że akurat teraz nie jestem w formie. Przysięgam, nie wypiję już ani kropli!

– Każdemu zdarza się niekiedy zbłądzić – odrzekł Jon. – Nie przejmuj się.

– Mogę przydzielić więcej ludzi do chronienia pana – zaproponował Callum.

– Nie ma potrzeby. Wracam z bratem do San Antonio – oznajmił Jon.
– Musimy dopilnować wszystkiego w związku ze śmiercią Cammy. Zamierzamy pochować ją w Jacobsville.

– Wyjeżdża pan? – spytał zaniepokojony Sloane.

– Tutaj byłby pan bezpieczniejszy, szefie. Nie pozwoliłbym nikomu pana skrzywdzić.

– Wiem i dziękuję ci. Ale postąpię tak, jak muszę.

– A więc dobrze – zgodził się niechętnie Callum. Wydawał się głęboko pogrążony w myślach. – Proszę jeszcze raz przyjąć szczere wyrazy współczucia.

– Dzięki – odrzekł Jon, a gdy Sloane wyszedł, rzucił: – Strzeże mnie jak oka w głowie. Lepiej niż te owczarki niemieckie.

– Pewnie uważa, że jest nam to winien – stwierdził Mac. – Ruszajmy już.

– Racja. – Chwiejnie podniósł się z łóżka. Otepiający szok zaczął ustępować i Jona przeszył zimny, ostry ból, niemający nic wspólnego z raną.

– Nawrzeszczałem na nią, zanim...

– Cammy coś przeczuwała – wszedł mu w słowo Mac. – Mówiła o nadciśnieniu i braniu leków, a potem kazała, bym ci powtórzył, że cię kocha, że kocha nas obojgu. Zdziwiło mnie, że to powiedziała, i w tym samym momencie usłyszałem strzały.

Jon zacisnął szczęki.

– Dziękuję, że to powtórzyłeś. Trochę mi lżej.

– Kompletnie nie mam pojęcia, skąd zabójca wiedział, gdzie ją znaleźć. Chyba że nas śledził – w zadumie powiedział Mac.

– Myślę, że pora przeprowadzić niewielkie dochodzenie – odparł Blackhawk. – Musimy szybko znaleźć odpowiedzi na kilka pytań.

– Tak, to konieczne. Pracujesz w jednej z najlepszych agencji wywiadowczych na świecie. Jestem pewien, że któryś z agentów dysponuje wolnym czasem i może sprawdzić, co robiły ostatnio wszystkie osoby, które wcześniej kontaktowały się z Jayem Copperem.

TTLR

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jon powiadomił telefonicznie Joceline o tragicznej śmierci Cammy, gdy tylko dotarł do swojego mieszkania w San Antonio. Kiedy zaczął coś wyjaśniać, przerwała mu, zadała pytanie, gdzie jest i odłożyła słuchawkę.

Markie był w szkole, strzegł go jeden z ludzi Rourke'a. By pojechać do Jona, Joceline musiała wyklócić się ze swoją eskortą, by pozwolono jej wyjść z mieszkania. Ostatecznie zawiózł ją nieznany Joceline ochroniarz.

Kiedy Jon jej otworzył, ledwie zatrzasnęła za sobą drzwi, a już wpadła mu w ramiona. Objął ją mocno, a ona wtuliła się w jego pierś.

– Wiem, że jesteś wielkim twardzielem – powiedziała stłumionym głosem. – Ale utrata matki to jeden wielki ból, jedno wielkie cierpienie. Nie trzeba się tego wstydzić.

– Tak. – Pocałował ją w szyję. – Joceline... – Wsunął dłonie pod jej bluzkę na plecach i wymacał zapięcie stanika.

Nie protestowała nawet wtedy, gdy rozebrał ją do naga i zaczął pokrywać pocałunkami jej piękne ciało, przesuwając wargi coraz niżej.

Ze względu na ranę nie mógł wziąć Joceline na ręce, za to wciągnął ją do sypialni, położył ostrożnie na łóżku i zrzucił z siebie piżamę.

Rozwarła ku niemu ramiona gestem zaproszenia, a zarazem pocieszenia. Przyciągnęła go do siebie i pozwoliła, by położył się na niej.

– Nie powinienem...

Zamknęła mu usta pocałunkiem. Wciąż z wargami przyciśniętymi do jego warg, otworzyła się dla niego i z radością poczuła go w sobie.

Jon westchnął cicho, upojony cudownym doznaniem, którego jeszcze nigdy nie doświadczył, a przynajmniej sądził, że przeżywa je po raz

pierwszy. Jednak rytm ciała złączonego z Joceline wydawał mu się dziwnie znajomy, podobnie jak jej ciche jęki rozkoszy.

Uniósł głowę i popatrzył na nią. Ujrzał twarde ciemnoróżowe sutki, drżące ciało i szeroko otwarte oczy, w których migotał płomień namiętności.

Poruszając się powolnym, miarowym rytmem, doznawał nadzwyczaj intensywnych wrażeń, przypominających zanurzenie się w roztopionym żarze. Nagle jęknął zaskoczony, gdy przeniknęły go dreszcze zmysłowej rozkoszy.

Joceline przyglądała się zafascynowana jego twarzy. Również przeżywała wspaniałe chwile, dzieliła je z Jonem. Wiła się pod nim, gdy wzbierały w niej fale namiętności.

Szeptał śmiało, a nawet wyuzdane miłosne słowa i uśmiechał się, widząc jej reakcję. Wsunął dłoń pod biodra Joceline, by nadać jej swój rytm. Odczuwał ból w ranie, lecz przyćmiewały go oszalamiające erotyczne doznania.

Zamknął oczy i zadrżał, gdy rozkosz gwałtownie się nasiliła. Przygniatał Joceline, przyciskał jej nadgarstki i wchodził w nią coraz mocniej i głębiej, wpatrując się w wielkie oczy, w których widniał wyraz uległości.

– To nadchodzi – wyszeptał ochryple. – Już nadchodzi...!

– Jon! – wykrzyknęła Joceline, wyginając się ekstatycznie. – Och, Jon...!

– Przepraszam cię... to za szybko...! – Gnał ku spełnieniu, szaleńczo go pragnął.

– Nie... wcale... nie! – Szybkimi i mocnymi ruchami bioder dostosowała się do jego rytmu. Poczowała, że zbliża się szczyt.

Jon usłyszał jej chrapliwy krzyk, a potem jęk. Sam także jęczał, gdy z

każdym pchnięciem rozkosz narastała coraz potężniej, aż wreszcie eksplodował.

Po czym osunął się na Joceline i spleli się w intymnym uścisku, a serca łomotały im w piersiach.

Jon przeciągnął się i skrzywił z bólu. Uniósł głowę i spojrzał na Joceline.

– To dziwne – szepnął – ale wydaje mi się to takie znajome.

Zawahała się. Serce wciąż jeszcze szalało, w ogóle była zbyt wyczerpana, by zapanować nad wyrazem twarzy. Milczała jednak.

– Kiedyś już się kochaliśmy, prawda? – spytał łagodnie.

Chciała zaprzeczyć, ale Jon spoglądał na nią tak, jakby już wiedział. I rzeczywiście tak było. Zebrał fakty, połączył je i znalazł odpowiedzi na pytania, których dotąd nigdy sobie nie zadał.

– Markie... – Odetchnął gwałtownie. – Markie jest moim synem!

Joceline zagryzła wargę.

– Nie sądziłam, że mi uwierzysz... że ktokolwiek mi uwierzy – wyszeptała ze łzami. – Prawie mnie nie znałeś. Mogłeś pomyśleć, że skusiły mnie twój majątek i pozycja społeczna... – Zamknęła oczy. – Nie wiedziałam, co robić.

– Więc urodziłaś moje dziecko i myślałaś, że nie przyjmę ani jego, ani ciebie. – Pocałował ją porywczo.

– Ty wariatko – szepnął. – Urocza mała wariatko... Och, Boże! – Poczł ponowny przypływ pożądania.

– Nie potrafię się powstrzymać! I wcale nie chcę się powstrzymać...!

– Dobrze – wyszeptała, pragnąc ponownie przyjąć go w siebie. – Też nie chcę przestać. – Przywarła do niego, doznając niemal bolesnej rozkoszy, gdy zaczął całować jej piersi. – Tak bardzo cię Kocham!

Jej słowa przerwały w nim tamę i już nie mógł się zatrzymać. Wszedł w Joceline, tonąc w radości pożądania i olśniewającej świadomości, że jest kochany. Zmiażdżył jej wargi w namiętym pocałunku, poruszając się w niej coraz szybciej i bardziej gwałtownie.

– O Boże... Zupełnie jakbym... umierał...! – szepnął ochryple, czując przenikające go na wskroś dreszcze rozkoszy. – To cudowne!

– Tak, cudowne... – Długimi nogami objęła biodra Jona i unosiła się wraz z nim we wspólnym rytmie, rozpaczliwie pragnąc, by wzbierające w niej erotyczne napięcie rozładowało się wreszcie. Krzyknęła, gdy obydwójce w jednej chwili doznali spełnienia.

Później leżeli przytuleni do siebie, a Jon pieścił ją leniwie. Ta upajająca intymna bliskość przewyższała wszelkie wyobrażenia Joceline o tym, jak może wyglądać relacja między kobietą a mężczyzną.

– Tak byłoby i wtedy, gdyby nie oszołomiono mnie narkotykiem. – Jon jakby czytał w jej myślach. Owszem, żałował straconych lat, ale przede wszystkim w jego głosie pobrzmiwała satysfakcja z tego, co dzieje się tu i teraz. – Kochałbym się z tobą powoli i cudownie, aż wreszcie wbiłabyś mi paznokcie w plecy i ugryzłabyś mnie... jak stało się to dzisiaj. – Zaśmiał się cicho. – Nie wiedziałem, że kobiety naprawdę tak robią. Sądziłem, że to tylko mit. Kiedy pierwszy raz krzyknęłaś, pomyślałem, że sprawiam ci ból, dopóki nie spojrzałem na twoją twarz.

Oplotła ramionami jego szyję i westchnęła z rozkosznego wyczerpania.

– Tamtej nocy tak bardzo cię pragnęłam. I było naprawdę cudownie. Tylko pod sam koniec straciłeś kontrolę, a ja zachowałam się bardzo naiwnie. Poczułam ból, a potem nie było już czasu, żebyśmy to powtórzyli. Musiałam zawieźć cię do szpitala. – Urwała na moment. – A kiedy

zorientowałam się, że zaszłam w ciążę, musiałam podjąć decyzję.

– Wybrałaś słusznie – powiedział, patrząc jej w oczy. – Markie to wspaniały dzieciak. – Oczy mu pociemniały. – Mój syn.

– Tak, twój syn. – Poglądziła długie włosy Jona.

– Nie musisz się ze mną żenić...

– Lepiej, żebyśmy się pobrali – zaproponował ze śmiechem – bo nie zdołam trzymać się z dala od twojego łóżka.

Joceline spojrzała na niego oczami lśnącymi od łez szczęścia.

Potańczał policzkiem o jej policzek.

– Niestety musimy stawić czoło nieprzyjemnym sprawom. – Odsunął się od Joceline, zafascynowany intymną zażyłością, która nagle zapanowała między nimi, i uśmiechnął się czule. Zaczerwieniła się, wciąż wpatrując się w niego. To sprawiło, że uśmiechnął się jeszcze szerzej. Włożył piżamę, a potem przykrył kołdrą Joceline, która zarazem była szczęśliwa, jak i nieco zakłopotana seksem, bliskością i nagością.

Usiadł obok niej.

– Postanowiliśmy pochować naszą matkę w Jacobsville, ale najpierw musimy wytropić zabójcę. Zapłaci za to, co zrobił – powiedział.

– Twoi ludzie na pewno śledzili Harolda Monroego od chwili, gdy został zwolniony za kaucją – rzekła Joceline. – Od tego możemy zacząć. Gdzie był, z kim się spotkał...

Odgarnął włosy z jej policzka.

– Tak, oczywiście, ale najpierw zjemy lunch. – Ot, niby zwykłe zdanie, ale jak powiedziane! Jon zdradził się, jak bardzo już stał się zaborczy wobec Joceline.

– Później pojedziemy odebrać naszego syna ze szkoły. Mam mu parę rzeczy do powiedzenia – dodał, uśmiechając się tajemniczo.

Joceline odpowiedziała mu uśmiechem. Owszem, żyła jak na beczce prochu, wokół działy się straszne rzeczy, a jednak właśnie w tej chwili poczuła nadzieję na szczęśliwą przyszłość. Po raz pierwszy od bardzo wielu lat.

Jon i Kilraven udali się do zakładu pogrzebowego w Jacobsville, aby poczynić niezbędne przygotowania. Kiedy weszli do środka, spostrzegli dwóch mężczyzn ubranych w garnitury. Wyglądali bardzo oficjalnie, a na ich widok zniknęli w jednej z sal żałobnych.

Dyrektor zakładu, pan Adams, był mocno zdenerwowany. Gdy bracia zapytali go o warunki zorganizowania pochówku, zawahał się, uśmiechnął z lekkim zakłopotaniem, a potem zaprowadził ich do gabinetu i oddalił się na chwilę.

Ponieważ zostawił otwarte drzwi, zauważyli, że wszedł do tego samego pomieszczenia, do którego udali się dwaj mężczyźni w garniturach.

Dyrektor wrócił po chwili i spytał:

– A więc na czym stanęliśmy? – Usiadł za biurkiem i otworzył plik w komputerze. – Ach tak, pogrzeb pani Blackhawk. Jak sądzę, wiecie, panowie, że wasza matka zażyczyła sobie zamkniętej trumny i nie chciała, by ktokolwiek, a zwłaszcza synowie, oglądał ją przed pochówkiem? – rzekł z powagą.

Odpowiedzieli, że nie mieli o tym pojęcia, a na koniec Kilraven zapytał podejrzliwie:

– Skąd pan to wie?

Dyrektor zaczerwienił się, spuścił wzrok na ekran komputera, po czym odparł:

– Pani Blackhawk odwiedziła nas na początku tego tygodnia. Rozmawiałem z nią, powiedziała, że przeczuwa coś złego. – Zerknął na

nich. – Sama wydała dyspozycje dotyczące swojego pogrzebu. – Wciąż wydawał się dziwnie spięty.

Kilraven popatrzył na Jona.

– Cóż, matka rzeczywiście miewała przecucia – przyznał po krótkim milczeniu, a dyrektor wyraźnie się odprężył. – Myślę, że to możliwe.

– Nie chciała, żeby po śmierci ludzie ją oglądali – powiedział cicho Jon. – Rozumiem to. – Spojrzał na dyrektora. – Sam też bym tak wolał.

– Ja również – dodał Mac. – Musimy skontaktować się z pastorem mamy, potrzebni są też żałobnicy do niesienia trumny...

– Zgłosi się mnóstwo chętnych z obu naszych agencji – przypomniał Jon bratu. – Nie będzie z tym problemu.

– Powiadomimy pastora zmarłej – zaofiarował się dyrektor. – Zajmiemy się też wszystkimi innymi przygotowaniem. Życzą sobie panowie przystrojenia trumny kwiatami?

– Tak.

– Wobec tego wezwę florystykę.

– Panie Adams, może mieliście jakieś telefony w związku ze śmiercią Cammy? – spytał Jon.

– Owszem – odrzekł dyrektor, patrząc na wpisy w komputerze. – Dzwoniło kilku dziennikarzy z prasy, reporter telewizyjny, a także jakiś mężczyzna, który się nie przedstawił. Uznałem to za nader dziwne.

– Może nagrał pan tę rozmowę? – spytał Jon bez wielkiej nadziei.

Adams odchrząknął z zakłopotaniem, po czym powiedział:

– Cóż, nigdy tego nie praktykujemy.

– Naturalnie – przytaknął Kilraven.

Dyrektor przedstawił im plan przebiegu ceremonii pogrzebowej. Następnie ustalili datę i skontaktowali się z firmą, która miała otworzyć grób

w kwaterze kilka lat temu zakupionej przez Cammy na cmentarzu w Jacobsville. Synowie sami zdecydowali, że należy ją tam pochować, ale przewidziała to i zawnoczu wykupiła miejsce. Mimo smutku uśmiechnęli się na myśl o jej zapobiegliwości.

Jon zjadł kolację z Joceline i Markiem. Widać było, że jest ogromnie przygnębiony śmiercią Cammy, niemniej zamierzał następnego dnia wrócić do pracy, chociaż wszyscy starali się go od tego odwieść.

– Mogę już normalnie pracować – przekonywał.

Joceline rzuciła mu gniewne spojrzenie, a następnie zaczęła wykład:

– Dopiero co wyszedłeś ze szpitala, a twoja matka...

– Tak, wiem – przerwał jej, nie pozwalając wymówić tego strasznego słowa. – Ale życie toczy się dalej. Ty też musisz wrócić do biura. – Uśmiechnął się do Markiego. – A ty do szkoły.

Chłopiec westchnął, wiedział jednak, że się nie wywinie, dlatego powiedział:

– Dobrze, tato.

Zazwyczaj opanowany Jon aż się zarumienił, gdy chłopiec go tak nazwał.

– To brzmi tak... miło – rzekł cicho.

Malec się rozpromienił.

– Mój tata pracuje w FBI. Jest agentem! Dzieci pękają z zazdrości!

Jon i Joceline wybuchnęli śmiechem.

– Najwyższa pora, żebyśmy zaplanowali nasz ślub – zauważył Blackhawk.

– Czy będę mógł rozrzucić kwiaty na weselu? – zapytał chłopczyk.

Rodzice ponownie się roześmieli.

– Nie, bo mamy dla ciebie ważniejsze zadanie. Możesz nieść obrączki.

Co ty na to? – spytał Jon.

– Zrobię to – oświadczył z powagą Markie i zaczął zajadać spaghetti.

Jon był niespokojny. W ciągu ostatnich dni przepełniał go ogromny żal po śmierci Cammy, a zarazem czuł się zafascynowany Joceline i tym, że został pełnoprawnym ojcem Markiego, dlatego nie bardzo potrafił skupić się na czymś innym, przez co nie przeanalizował niedawnych gwałtownych wydarzeń. Teraz jednak, siedząc w gabinecie, próbował poskładać w całość wszystkie elementy układanki i odnaleźć w nich jakiś sens.

Jay Copper zeznał, że wysłał swego bratanka Peppy'ego, aby pomógł Danowi Jonesowi zamordować pierwszą żonę McKuena Monicę i ich córeczkę Melly. Ale Peppy, czyli Bart Hancock, wywinął się od tych oskarżeń, ponieważ zaginęła taśma z zeznaniem i pozostała jedynie relacja z drugiej ręki. Taki dowód, zwłaszcza przedstawiony w sądzie przez rodzinę ofiar, nie przekonałby ławy przysięgłych.

Następnie Jon aresztował Harolda Monroego pod zarzutem handlu ludźmi. Jednakże ten nieudolny przestępca zdołał uniknąć procesu dzięki temu, że główny świadek oskarżenia wycofał zeznania. Później włamano się do mieszkania Joceline i najprawdopodobniej skradziono policyjną kartotekę Barta Hancocka. A potem Jon został postrzelony.

Wówczas zgłosił się świadek, którego umieszczono w tej samej celi aresztu tymczasowego, w której Monroe oczekiwał na niedoszły proces o handel ludźmi. Świadkowi założono aparaturę podsłuchową, dzięki czemu uzyskano dowód, że Monroe przechwalał się swym udziałem w zamordowaniu trzyletniej Melly Kilraven i nawet wyjawiał współwięźniowi, gdzie ukrył śrutówkę, która z całą pewnością była narzędziem zbrodni. To doprowadziło do ponownego aresztowania Monroego, tym razem pod zarzutem zabójstwa. Jednak, co wręcz niewiarygodne, podczas wstępnego

przesłuchania Harold Monroe został zwolniony za kaucją, a wkrótce potem zamordowano Cammy Blackhawk.

Jednak coś tu się nie zgadzało. Joceline już o tym wspomniała. Skąd włamywacz wiedział, że zabrała do domu kartotekę Hancocka? Skąd zabójca Cammy wiedział, gdzie znajdzie swoją ofiarę? Jak taki nieudacznik Harold Monroe zdołał postrzelić Jona i zabić Cammy, a wcześniej zamordować żonę i córeczkę Kilravena? Przecież ten facet ledwie umiałby jednocześnie rozmawiać przez telefon i myśleć!

Siostra Jaya Coppera, a zarazem matka Barta Hancocka, popełniła samobójstwo na wieść, że jej brat i syn byli wmieszani w zamordowanie dziecka. Hancocka oskarżono przed wielu laty o zabójstwa dzieci w Iraku, lecz nigdy nie stanął za to przed sądem. Harold Monroe słynął natomiast z tego, że fuszerował każde przestępstwo, którego próbował dokonać. Lecz zawsze z oparów ratował go bezwzględny stryj.

Ale Monroe niewątpliwie chełpił się zamordowaniem Melly Kilraven i nawet wypaplał, gdzie ukryto narzędzia zbrodni. Czy naprawdę potrafiłby dokonać tego zabójstwa? A co myśleć o więźniu, który szczęśliwym trafem przebywał z nim w jednej celi i zaproponował, że zdobędzie dowód jego winy? Analizując to z chłodną logiką i podpierając się doświadczeniem, Jon uznał, że jest to po prostu zbyt dogodny zbieg okoliczności.

Rozparty w fotelu, z zamkniętymi oczami, mozolnie układał w głowie elementy łamigłówki. Przerwał na moment, wypił łyk wystygłej kawy, skrzywił się, pomarzył przez chwilę o dobrze przyrządzonej kawusi, i wrócił do rozmyślań.

Joceline zabrała do domu akta dotyczące Barta Hancocka. Powiedziała o tym tylko koleżance z pracy, Betty Rimes. Wprawdzie rozmowę podsłuchiwała sekretarka zatrudniona na niepełnym etacie, ale jej ojciec jest

oficerem śledczym w wydziale zabójstw, więc trudno przypuszczać, by była zamieszana we włamanie i w ogóle w gangsterskie knowania.

Betty zaś nie miała żadnego powodu, by szkodzić zaprzyjaźnionej koleżance. Może w takim razie telefon Joceline był na podsłuchu? Nie, przecież Rourke zainstalował w jej aparacie urządzenie namierzające, więc od razu by odkrył każdą próbę podsłuchu. To wykluczało możliwość, że ktoś słyszał rozmowy telefoniczne Joceline, i kierowało podejrzenia z powrotem ku Betty.

Blackhawk podniósł słuchawkę i wybrał numer służbowy Betty Rimes.

– Tak, słucham – odpowiedziała jak zawsze miłym głosem.

– Cześć. Mogłabyś przyjść do mojego gabinetu?

– Jasne.

Zjawiła się po paru minutach. Zamknęła drzwi i usiadła przed biurkiem Jona.

– Coś się stało? – spytała.

– Joceline zabrała do domu pewne akta...

– Tak, wiem. – Pokiwała głową. – Zagięły, a ona bardzo się tym zdenerwowała! Zapewniłam ją, że nie wyleją jej z powodu jednego błędu – dodała z uśmiechem. – Zresztą mamy te dokumenty na twardym dysku. To był jedynie wydruk.

Jon odwrócił do niej komputer.

– Możesz otworzyć ten plik?

– Oczywiście. – Betty wstukała kod i czekała coraz bardziej zachmurzona. – Dziwne... Nie ma go tu. Wiem na pewno, że wskanowałam te dokumenty do komputera.

– Co konkretnie w nich było? – zapytał Jon.

Usiadła wygodniej w fotelu. Wciąż była zachmurzona. Nerwowym

gestem odgarnęła do tyłu krótkie jasne włosy.

– Nie pamiętam aż tak dokładnie, ale z całą pewnością nie zawierały żadnych poufnych informacji. Jedynie kilka uwag funkcjonariusza policji, który dokonał aresztowania, dotyczących gróźb, jakie rzucała matka Barta Hancocka, kiedy zabierano go na przesłuchanie w sprawie zabójstwa. – Zmarszczyła brwi w namyśle. – Och, była jeszcze wzmianka, że jego córkę podejrzewano o napaść ze skutkiem śmiertelnym, ale nigdy nie postawiono jej w stan oskarżenia. W owym czasie była jeszcze nieletnia.

Jon czujnie wyprostował się w fotelu.

– Jego córkę?

– Tak... chyba tak. Nie pamiętam nic więcej. – Bet– ty bardzo zmarkotniała. – Też będę miała kłopoty. Nie wiem, jak te dane mogły zniknąć!

– Porozmawiam z naszym agentem specjalnym – rzekł łagodnie Jon. – Nikt cię nie obwini, ale musimy się dowiedzieć, kto i dlaczego usunął plik.

– Przecież dokładnie sprawdzamy każdego, zanim zaczniesz u nas pracować – przypomniała zmartwiona Betty. – Niemożliwe, żebyśmy zatrudnili kogoś, kto ma kryminalną przeszłość

– Nie wszystkie osoby, które popełniły przestępstwa, są notowane w policyjnych kartotekach.

– Tak, niektórych nigdy nie złapano. – Betty przyjrzała się bacznie Jonowi. – Mam nadzieję, że schwytają tego drania, który pana postrzelił – powiedziała z żarem. – A także zabójcę pani Blackhawk oraz żony i córki pańskiego brata. Wygląda na to, że zamierzali zlikwidować całą pańską rodzinę. Ale dlaczego mieliby grozić Joceline i jej synkowi? Przecież nie jesteście spokrewnieni.

Jednak prawda była inna. Joceline i Markie należeli do jego rodziny.

Wydawało się, że tylko najbliższe Jonowi osoby o tym wiedziały, lecz teraz wyglądało to inaczej. Ktoś jeszcze musiał poznać prawdę. Gdy Jon niedawno zapytał Joceline o akt urodzenia syna, odpowiedziała, że w rubryce „Ojciec” nie wpisała żadnego nazwiska. Z drugiej strony istniała notatka policyjna dotycząca odurzenia Jona środkami halucynogennymi, a także metryka Markiego, który urodził się dziewięć miesięcy później. Oba te dokumenty są ogólnie dostępne. Ktoś mógł porównać daty i wyciągnąć wniosek. Przecież tak właśnie postąpił McKuen, który później powiedział o tym Jonowi. Niewykluczone, że ktoś jeszcze poszedł tym tropem. Mógł to być pracownik którejś z instytucji ochrony prawa, mający dostęp do danych komputerowych. A wiadano, że Jay Copper ma w policji swojego informatora, choć nigdy nie udało się ustalić, kto nim jest. Taka osoba miałaby wgląd w komputerową bazę danych dotyczących przestępstw, niedostępną dla cywilów.

– Czegoś się pan domyśla? – odgadła Betty.

– Tak. To wszystko ma związek z danymi komputerowymi, do których mógłby się dostać tylko ktoś pracujący w organach ochrony porządku publicznego. To znaczy dostać się w sposób legalny – uściślił Jon.

– No tak... – Betty zastanawiała się przez chwilę.

– Te dane mógłby poznać każdy zatrudniony w naszym biurze po otrzymaniu stosownego zezwolenia. A w porze lunchu gabinetów nie zamyka się na klucz.

– Powinny być zamykane. Poruszę tę kwestię w rozmowie z agentem specjalnym.

– Dobry pomysł.

– Ta dziewczyna, która pracuje u ciebie na niepełnym etacie – zaczął Jon powoli, z namysłem. – Słyszałem, że ma ojca w policji. Ale co wiemy o

jej przeszłości?

– Phyllis? – Betty się roześmiała. – Ma pan rację, jej tata jest gliniarzem w wydziale zabójstw policji w San Antonio. – Położyła na kolanach klawiaturę komputera, wbiła kod, otworzyła plik z aktami Phyllis Hicks i odwróciła monitor do Jona. – Robi licencjat z programowania komputerowego. Zamierza się specjalizować w przestępstwach dokonywanych za pomocą narzędzi elektronicznych, a w przyszłości chce zostać u nas agentką. Dostała stanowisko dla początkujących na niepełnym etacie, żeby mogła pogodzić pracę z kontynuowaniem studiów w college’u.

Jon przyglądał się jej zdjęciu. To dziwne, ale wydała mu się znajoma.

– Jak się nazywa jej ojciec? – zapytał.

– Zna go pan, pracował kiedyś przy jednej sprawie z Gail Rogers, teściową pańskiego brata. To Dave Hicks, policyjny oficer śledczy.

– Tak, przypominam go sobie. Mac powiedział, że kiedy Gail postrzelono, Hicks odwiedził ją w szpitalu razem z Marquezem. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kto do niej strzelał.

– Kolejna zagadka. – Betty pokiwała głową.

– Strzelano do tyłu osób. Pamięta pan też, że Marquez został potrącony przez samochód w okresie, gdy wraz z Gail pracował nad sprawą senatora Willa Sandersa?

– Wszystkie tropy prowadzą z powrotem do aresztowania Sandersa za zabójstwo – rzekł w zadumie Blackhawk. – Nie każdy wie, że Sanders jest nieślubnym synem Jaya Coppera, a Copper ma obsesję na punkcie chronienia rodziny. Wszystkie zamachy zaczęły się, kiedy wszczęto śledztwo w tej sprawie, w której ostatecznie aresztowano Coppera. Chodziło o zamordowanie młodej dziewczyny, która przebywała w domu Sandersa. Ale Coppera oskarżono również o ukartowanie zabójstwa Dana Jonesa,

który był zamieszany w zlikwidowanie świadków, a także o zaplanowanie zabójstwa żony i dziecka McKuena.

Betty skinęła głową.

– Czy nie krążyły pogłoski, że siostra Jaya Coppera, matka Barta Hancocka, leczyła się w szpitalach psychiatrycznych? Wiem, że przebywała przez pewien czas w zakładzie zamkniętym, jeszcze zanim Copper zaczął zbijać majątek jako główny doradca senatora Sandersa.

– Tak, to prawda. Hancock też nigdy nie był całkiem normalny. Ale nie sądziłem, że ma dzieci.

– O ile pamięć mnie nie zawodzi, ma tylko jedną córkę. Nie poślubił jej matki, ponieważ tuż po urodzeniu dziecka zerwała z nim, gdy dowiedziała się o zbrodniach popełnionych w Iraku. Córka Hancocka byłaby wnuczką jego matki, która popełniła samobójstwo.

Jon zmarszczył brwi.

– Wiemy, jak się nazywa?

– Przypuszczam, że jej nazwisko było w zaginionych aktach – powiedziała Betty. – Ale idę o zakład, że Joceline potrafiłaby w mgnieniu oka wygrzebać tę informację – dodała z uśmiechem.

– Też tak myślę. – Rozbawiony Jon sięgnął po telefon i wybrał numer.

– Cześć, Rocky, czy mogłabyś ustalić nazwisko córki Barta Hancocka? Tak. Właśnie jej. Jasne. – Jego głos przybrał łagodny ton. – Tak. Dzięki.

– Rocky? – spytała zdziwiona Betty.

– To taki nasz żart. – Spoważniał. – Zanim usłyszysz jakieś plotki, wolę sam ci powiedzieć. Chłopczyk Joceline to mój syn. Dowiedziałem się o tym dopiero kilka dni temu – dorzucił, widząc zszokowaną minę Betty.

– To przyjęcie, na którym odurzono pana narkotykiem? – domyśliła się natychmiast.

– Tak.

– Zastanawiałam się nad tym. Widzi pan, Joceline jest bardzo prawa i uczciwa. Lepiej niech pan się z nią ożeni.

– Złożyliśmy już stosowne dokumenty – oznajmił z uśmiechem, który jednak zaraz zniknął z jego twarzy. – Ale najpierw czeka nas pogrzeb.

– Ogromnie panu współczuję. Wiem, że matka działała panu na nerwy, ale była dobrym człowiekiem.

Twarz Jona stężała. Rozmowa o śmierci Cammy sprawiała mu ból.

– Tak, była dobra – zgodził się.

Betty wstała i ruszając do wyjścia, powiedziała:

– Wyślę raport o zaginięciu tych danych.

– Świetnie.

Przystanąła w progu.

– Cieszę się, że pan wrócił – rzekła z uśmiechem i zniknęła za drzwiami.

Po chwili do gabinetu weszła Joceline z wielce zakłopotaną miną. Jon wstał, ujął ją za ramiona i spytał:

– Co się stało?

– Odkryłam, kim jest córka Barta Hancocka.

– Tak szybko?

– To nie było trudne. Hancock nie ożenił się z jej matką, bo odeszła od niego tuż po urodzeniu dziecka. Kilka lat temu poślubiła policjanta, który adoptował jej córkę i dał swoje nazwisko. Ten policjant jest oficerem śledczym w departamencie policji w San Antonio. Nazywa się Dave Hicks.

– Tak. Betty i ja właśnie o nim rozmawialiśmy.

– Wyprostował się w fotelu. – Phyllis Hicks pracuje u nas na niepełnym etacie jako urzędniczka biurowa i studiuje wieczorowo w

college'u, ale nie potrafi poprawnie pisać. I mówisz, że jest córką Barta Hancocka? Czy ona wie o tym?

– Dopiero musimy to ustalić.

A więc córka Barta Hancocka pracuje w ich biurze, ma dostęp do bazy danych komputerowych i rozmów telefonicznych, może pojawiać się w różnych pokojach, nie wzbudzając podejrzeń, i zdobywać poufne informacje. A jeżeli sama nie zdoła do czegoś dotrzeć, przybrany ojciec może zrobić to za nią dzięki rozległym policyjnym kontaktom. Wcale nie musi nawet wiedzieć, dlaczego Phyllis prosi go o jakieś dane.

A jeśli to ona przekazała zabójcy informacje o posunięciach Joceline i Cammy?

Jonowi zaparło dech w piersi.

– Tuż pod naszym nosem! – rzucił z furją.

– Tak, ale nie potrafimy niczego udowodnić – powiedziała Joceline. – Dlatego o nic nie możemy jej oskarżyć.

– Ponadto nie możemy się zdradzić, że znamy jej przeszłość. A jej przybrany tatuś pracuje w departamencie policji San Antonio i ma wgląd we wszelkiego rodzaju dane.

– Owszem.

– Cóż, teraz przynajmniej możemy rozpocząć prawdziwe śledztwo. I mamy kilkoro podejrzanych.

– Ta sprawa stała się strasznie skomplikowana.

– Joceline zmarszczyła brwi, dumając nad czymś głęboko.

Blackhawk pogładził pieszczotliwie jej ramiona.

– Zamierzaliśmy urządzać skromny pogrzeb, ale Cammy zaplanowała bardziej wystawną ceremonię. Myślę, że powinniśmy bacznie się przyjrzeć, kto się na niej zjawi.

– Właśnie myślałam o tym samym – przytaknęła Joceline.

TTLR

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W kaplicy domu pogrzebowego zgromadził się tłum. Zjawili się niemal wszyscy pracownicy biura terenowego FBI w San Antonio, którzy znali Jona. Poza tym przybyła połowa mieszkańców Jacobsville w stanie Teksas, stawili się też przedstawiciele departamentu policji oraz członkowie innych agencji federalnych znający Jona i McKuena, tak bardzo popularnych w służbach.

– Nie spodziewałem się, że przyjdzie aż tyle osób – zwrócił się Jon do Kilravena, gdy usiedli w pierwszej ławce razem z Winnie i Joceline.

– Nie martw się, kilku moich ludzi ma wszystko na oku. Ponadto uzyskałem nakaz sądowy na zainstalowanie podsłuchu – odrzekł cicho McKuen.

– Wreszcie mamy kilka solidnych poszlak, więc szybko rozwiążemy sprawę.

Joceline zerknęła przez ramię i zawołała z bezbrzeżnym zdumieniem:

– Nie do wiary!

Pozostali spojrzeli w tamtym kierunku i zobaczyli, jak do kaplicy wchodzi Harold Monroe.

– Sukinsyn! – Kilraven z żądzą mordu w oczach zaczął podnosić się z ławki.

Jon pociągnął go z powrotem.

– Ani się waż – rzekł surowym tonem. – Cammy nękałaby nas obydwu zza grobu.

– On zamordował moją córeczkę – syknął Mac.

– Został tylko oskarżony, a nie skazany. Jesteś strażnikiem prawa. Nie

możesz go choćby tknąć. Opanuj się.

Kilraven niechętnie ustąpił.

A potem wydarzyło się jeszcze coś dziwniejszego. Z rozbieganym wzrokiem, ogromnie zmieszany, ale zarazem maksymalnie zdeterminowany, Harold przeszedł nawą do ławki, w której siedziała rodzina zmarłej, i stanął przed Kilravenem.

– Ja jej nie zabiłem – powiedział cicho, rozglądając się na boki, czy nikt go nie podsłuchuje.

– Co takiego? – rzucił gniewnie Jon.

Monroe przyklęknął na jedno kolano, udając, że się modli, a przy tym nerwowo omiatał wzrokiem salę.

– Wiem, myślicie, że ja to wszystko zrobiłem. Nie jestem taki sprytny, nie umiałbym tego zaplanować i wykonać. – Urwał na moment. – Wszystko, co zrobiłem, to pomogłem kilku dziewczynkom wyrwać się z nędzy, dałem im pracę. Po waszemu zrobiłem źle, i niech wam będzie, nieważne. Ale posłuchajcie, ja nigdy nikogo nie zabiłem. Nie ja, uwierzcie! Nie jestem mordercą. A już na pewno nigdy bym nie zabił dziecka. – Gdy osłupiali bracia wpatrywali się w niego, niezdolni wykrztusić choćby słowa, coraz mocniej zdenerwowany Monroe zerknął na trumnę i dodał szorstko: – Ani żadnej kobiety.

– Przechwalałeś się w areszcie, że zamordowałeś moją córkę – rzekł Mac, ledwie hamując się przed złapaniem go za gardło na oczach tłumu świadków.

– Wskazałeś nawet narzędzie zbrodni.

– Pewnie. – Monroe jeszcze bardziej zniżył głos.

– I znaleźli je. Schowałem tę pukawkę, gdzie mi kazano. Ale powiedzcie tym waszym cwaniaczkom, żeby sprawdzili odciski palców na

łuskach w magazynku. Rozumiecie, nie wyjąłem łusek, tylko zostawiłem. Myślałem, że będę miał szansę to naprostować. Ta mała dziewczynka. Biedny dzieciak...

Potwór z sumieniem? Ci, którzy mogli go słyszeć, wymienili zdumione spojrzenia.

– On powiedział, że zabije moją żonę – mówił dalej Monroe. – Mam tylko ją. Jest bystra, pracuje w bibliotece. Nigdy nikogo nie skrzywdziła!

– Co za on? – spytał ostrym tonem Blackhawk.

– Obejrzyjcie odciski na tych łuskach i będziecie wiedzieli, o kogo chodzi. I ma córkę, tak samo szaloną jak on. Zabrał ją ze sobą, kiedy... – Monroe przełknął nerwowo ślinę. – Nikt jej nie widział. Nie chciał, żeby jej ojczym się dowiedział. Mogła zdobywać dla niego informacje, rozumiecie? Ale sprawdźcie te odciski, a potem dowiedzcie się, gdzie była tej nocy, kiedy zastrzelono twoją córeczkę. Sprawdźcie, gdzie była, kiedy... – Znów zerknął na trumnę i skrzywił się.

– Wtedy się dowiecie, o kim mówię. Dowiecie się kupę rzeczy.

– Mamy na taśmie twoje przyznanie się do zbrodni – powiedział Kilraven.

– Jasne. Wiedziałem, że ten kapuś ma podsłuch.

– Skąd wiedziałeś?

Monroe poruszył się niespokojnie.

– Nie mogę zdradzić. Już dość powiedziałem. Przyznałem się, żeby można mnie było oskarżyć, bo kombinowałem, że wtedy nie pomyślą, że ich zakapowałem. – Urwał na monet. – Jak chcecie, to pomyślcie sobie, że byłem gotów beknać za to morderstwo, żeby tylko zostawili moją żonę w spokoju. – Zniżył głos.

– Sprzątną mnie w jednej chwili, jak się dowiedzą, że wam to mówię.

– Niedoczekanie. – Kilraven skinął na mężczyznę w garniturze, który stał w przejściu, a gdy się zbliżył, powiedział do niego: – To jest Harold Monroe. Jeśli zginie, przyjedziemy po ciebie ciemną nocą i porachujemy się z tobą. Rozumiesz?

– Jasne. – Oczy tajniaka wesoło rozbłysły.

– Ochraniacie mnie? – zdumiał się Monroe. – Wyszedłem za kaucją w sprawie o morderstwo! Nawet się przyznałem!

– Zadbamy o to, by wycofano to oskarżenie – oznajmił Jon. – Zeznasz wszystko, co wiesz, a my zobaczymy, co da się zrobić z pozostałymi zarzutami. Tylko jest jeden warunek: masz przestać handlować dziećmi.

– Jestem za mało bystry, żeby zarabiać inaczej – odparł markotnie. – Ale słuchajcie, myślę, że mógłbym się przenieść do Las Vegas i zostać alfonsem.

– Uśmiechnął się szeroko, ukazując szczerbę w uzębieniu, a gdy Jon skrzywił się, Monroe nachylił się do niego i dorzucił szeptem: – Jak chcecie, możecie trochę powęszyć w departamencie policji San Antonio. Koleś, który zostawił odciski na łuskach w śrutówce, jest krewniakiem Jaya Coppera. Ale ja wam tego nie powiedziałem. Sami się dowiedzieliście.

– Jasna sprawa. – Kilraven spojrział na niego kpiąco. – Jeśli to kiedykolwiek wyjdzie na jaw, zrujnuje ci reputację w kręgach przestępczych. Jak ty to przeżyjesz?

– Nie przeżyję – odparł chłodno Monroe. – Ale nikomu nie powiesz, ty i nikt inny. Kapujesz?

Mac tylko się uśmiechnął, natomiast Jon obiecał:

– Zrobimy dla ciebie, ile możemy. – Zmrużył oczy.

– Dlaczego akurat teraz się do nas zgłosiłeś?

– Sami powinniście znaleźć odciski na łuskach, liczyłem na to,

zacząłem się jednak bać, że to prze– ślepicie, zwłaszcza po tym, jak zabito panią Blackhawk. Wtedy skapowałem, że muszę coś wam dać. To była wspaniała kobieta. – Monroe wskazał głową trumnę. – Wiecie, mojego starego dawno temu zapuszczowano za zabójstwo. Był młody, a jego matka miała raka i potrzebowała drogich leków. Gdy wyszedł z pudła, wasza rodzina dała mu pracę, obdarzyła zaufaniem, kiedy wszyscy inni go zostawili.

– Sloane Callum to twój ojciec? – wykrzyknął zdumiony Jon.

– Taa, ale nigdy się nie ożenił z moją matką. Chciał, ale ona nie, bo nie uznawała małżeństwa. Była hipiską. W każdym razie pilnowałem, żeby nikt się nie dowiedział o mnie, bo nie chciałem, żeby mój stary stracił robotę.

– Twój ojciec to dobry człowiek – powiedział cicho Jon. Sama informacja o ojcostwie była szokująca, ale jeszcze bardziej poruszyła go nieudolność detektywów, którzy sprawdzali przeszłość Sloane’a Calluma i przeoczyli to pokrewieństwo.

– Tak, a ona była dobrą kobietą. – Monroe popatrzył na trumnę. – Kazała wam go zatrudnić. Też nie wiedziała o mnie, ale dobrze traktowała mojego tatę.

– Zamknął oczy. – Gdybym wiedział, że to zaplanowali, powiedziałbym mu, a on by ją ochronił.

– Dzwoniłeś z groźbami... – zaczął Jon.

– Nie ja! – żywo zaprzeczył Monroe. Czuło się, że mówi szczerze. – Przymknęliście mnie, ale przecież taką macie pracę, więc co, za to miałbym kogoś zabijać? Nie chowam urazy. Właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłem, byś zrozumiał, że nic do ciebie nie mam. No i chciałem też, żebyś wiedział, że wyszedłem z pudła.

– Więc kto...?

– Sprawdźcie odciski na łuskach – powtórzył Monroe. – Tylko tyle mogę... O Boże! – Patrzył w kierunku wrót kaplicy.

Właśnie do środka weszła młoda blondynka i zmierzyła go zimnym wzrokiem. Monroe zaczerwienił się i wstał.

– Zabierz go stąd! – polecił Jon, a tajniak popchnął Monroego do tylnych drzwi. – Szybko!

– Pamiętajcie, nic nam nie powiedział – ostrzegł Kilraven pozostałych agentów.

Panna Hicks ze współczującą miną podeszła do rodziny zmarłej.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiej matki – zwróciła się do Jona, a jej słowa zabrzmiały szczerze.

– Dziękuję, Phyllis – odpowiedział ze smutnym uśmiechem. – Jesteśmy wdzięczni, że jesteś tu z nami.

– Bardzo wdzięczni – dodał Kilraven, a Winnie przyświadczyła kiwnięciem głowy.

– Dobrze, że przyszedł – potwierdziła Joceline z serdecznym uśmiechem.

Phyllis obrzuciła ich przenikliwym spojrzeniem.

– Czy to nie był ten Monroe, którego aresztowano za handel dziećmi? – spytała. – Co on panu mówił?

– Przechwalał się – odrzekł chłodno Jon.

– Kilraven chciał go walnąć pięścią, ale Jon mu nie pozwolił – dorzuciła Joceline. – Po tym wszystkim, co zrobił, miał czelność się tu zjawić!

Phyllis niedbale wzruszyła ramionami, lecz nie zdołała ukryć błysku ulgi w oczach.

– Cóż, chciałam tylko złożyć wyrazy współczucia z powodu śmierci

pani Blackhawk. Co za szkoda. W pana rodzinie już wcześniej zdarzyło się kilka wielkich tragedii, prawda?

– Owszem – przytaknął cicho Kilraven. – A teraz doszła kolejna. – Wskazał trumnę.

– Straszne, po prostu straszne. – Phyllis miała naprawdę smutną minę. – Czy policja podejrzewa, kto mógł to zrobić? Chodzi mi o to, że Monroe rzucał groźby, prawda? Betty powiedziała mi o jego telefonach – wyjaśniła pośpiesznie.

– Tak, mnóstwo gróźb – rzekł chłodno Jon. – Ale już wkrótce za to zapłacą.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się z ulgą. – Mam nadzieję, że tak się stanie. A zatem do zobaczenia w biurze.

– Oczywiście. I raz jeszcze dziękuję, że przyszłaś.

– Nie ma za co. – Z dziwną fascynacją popatrzyła na trumnę, a potem poszła na tył kaplicy i usiadła na ławce.

Bracia w milczeniu wymienili spojrzenia. Jon mocno ścisnął rękę Joceline, gdy rozległy się dźwięki muzyki i słodki czysty głos zaintonował ulubioną pieśń gospel Cammy „Amazing Grace”. Pomimo usilnych starań, by zapanować nad emocjami, Jon miał w oczach łzy, kiedy wybrzmiała ostatnia nuta. Równie wzruszeni byli wszyscy pozostali żałobnicy.

Jon odbywał naradę z Alice Mayfield Jones Fowler, kierowniczką laboratorium kryminologicznego. Tematem rozmowy były odciskach palców na broni, z której zastrzelono Melly.

– Jasne, od razu zebraliśmy te odciski. Przestępcy zawsze przeoczą coś ważnego. Na lufie były linie papilarne Monroego, ale na łuskach kogoś innego. Ktoś postąpił bardzo głupio, wkładając łuski do broni już po tym, jak z niej strzelano.

– Alice, przecież zawsze umieszczasz w komorze puste łuski, kiedy oddajesz broń na przechowanie – powiedział Jon.

– Tak, racja, ale chodzi o to, że ten ktoś włożył z powrotem te same łuski po wystrzelonych pociskach i zostawił na nich odciski palców. Po prostu chciałam się upewnić, że o tym wiesz.

– Alice... – ponaglił ją niecierpliwie.

– Dobrze, no więc te odciski należą do Barta Hancocka.

Jon od samego początku był o tym przekonany. Harold Monroe to idiota, ale nigdy nikogo nie zabił ani nie był zamieszany w żadne morderstwo. Przestępcy bardzo rzadko wykraczają poza dziedziny, w których czują się pewnie. Monroe kupował i sprzedawał dzieci, co było karygodne, lecz nie jest mordercą.

– I co teraz? – mruknął do siebie Jon.

– Teraz zdobędziesz nakaz rewizji... – poradziła mu Fowler.

– Alice!

– Tylko głośno myślałam, słowo daję! Wiem, że agenci FBI to duzi chłopcy i nie trzeba ich trzymać za rączkę, gdy prowadzą śledztwo w sprawie zabójstwa... – Zachichotała, zaraz jednak spoważniała.

– Przy okazji, wyrazy współczucia z powodu śmierci matki. To był olbrzymi szok. Nikomu z nas nigdy by nawet nie przyszło do głowy, że może stać się celem ataku.

– Wy nie, ale ja powinienem był o tym pomyśleć. Dręczą mnie wyrzuty sumienia.

– Jesteś tylko człowiekiem, masz prawo popełnić błąd – powiedziała łagodnie. – Nie obwiniaj się o to.

– Wiem, że tak to wygląda. Masz rację, Alice.

– Skoro potrafisz połączyć narzędzie zbrodni z Hancockiem, możesz

wytoczyć oskarżenie w procesie poszlakowym. – Zmarszczyła czoło. – Aha, jeszcze coś. Dziwne, ale na tych łuskach były też częściowe odciski palców kogoś jeszcze. Przepuściliśmy je przez komputerową bazę danych, ale bez rezultatu.

– To istotnie dziwne – przyznał zaskoczony Jon.

– Intuicja coś ci podpowiada?

– Nie, nic. Jeśli zdołasz zmusić Hancocka do zeznań, może coś ci wyjaśni. Nawiasem mówiąc, wykluczyłam Dana Jonesa. Jego odcisków nie było na łuskach.

– To jeszcze dziwniejsze. – Blackhawk zadumał się na moment. – Posłuchaj, Alice... Chyba mam coś lepszego niż linie papilarne, żeby rozwiązać tę sprawę.

– Co?

– Nie powiem ci, bo zaraz polecisz do Hollywood i sprzedasz pomysł jakiemuś producentowi filmowemu.

– Cholera! Znowu pokrzyżowałaś mi plany!

– Alice, pracujesz przy sprawie zabójstwa mojej matki?

– Na początku tak sądziłam, ale nie wpuścili mnie do pokoju hotelowego, w którym ją znaleziono. Marquez powiedział mi, że tą sprawą zajął się inny śledczy.

– Tak... – Jon znów pomyślał, że to dziwne. Marquez zazwyczaj prosił o Alice Jones lub też Fowler, jako że poślubiła senatora Harleya Fowlera.

– Po prostu za późno zjawiłam się na miejscu zbrodni.

– Tak, oczywiście.

– Ale gdybyś potrzebował pomocy...

– Zadzwońię. I dzięki.

– Drobiazg.

Jon zyskał więc pewność, że Bart Hancock jest odpowiedzialny za śmierć Melly, a także za zamordowanie Cammy Blackhawk. Wciąż pozostawało dla niego niejasne, co córka Hancocka ma wspólnego z tymi zabójstwami, ale zamierzał zrobić wszystko, by tym razem zbrodniarz nie uniknął kary.

Toteż gdy zadzwonił do sierżanta detektywa Ricka Marqueza i zażądał kopii raportów policyjnych dotyczących zabójstwa matki, przeżył wstrząs, jako że usłyszał stanowczą odmowę. Zresztą nie była zbyt obudowana w słowa, bowiem Rick odparł po prostu:

– Nie.

– Nie? Dlaczego? – dopytywała się zaskoczony Jon.

– Jeszcze nie teraz.

– Proszę tylko o wstępny raport...

– Jeszcze nie teraz – powtórzył z uporem Marquez.

– Blackhawk, przecież wiem, jak bardzo osobista to dla ciebie sprawa, i właśnie dlatego nie przekażę ci żadnych materiałów, a zwłaszcza zdjęć z miejsca zbrodni.

– Mógłbym zdobyć nakaz...

– Owszem, mógłbyś, a ja znalazłbym sędziego, który by go uchylił. Może tego samego, który wypuścił Monroego za kaucją. A skoro już o nim mowa, to nie możemy go nigdzie znaleźć. Może coś o tym wiesz?

– Ja? Dlaczego miałbym coś wiedzieć? – spytał Jon, siląc się na obojętny ton.

– Rozmawiał z tobą w domu pogrzebowym, a potem zniknął.

– Dziwne...

– Prawda?

Jon odetchnął głęboko.

– Rozmawiałem z Alice Jones – oznajmił.

– Alice Fowler – poprawił go Rick.

– Tak. Powiedziała, że zbadali odciski palców na łuskach broni, z której zastrzelono moją bratanicę.

– Zgadza się. W tej chwili kompletujemy materiał dowodowy, aby uzyskać nakaz aresztowania Barta Hancocka.

– Życzę wam, żebyście go dopadli – rzucił sucho Jon. – Czy właśnie nie przebywa w posiadłości swojego stryja na Bahamach?

– Podobno.

– Proces ekstradycji będzie się strasznie ciągnął, nawet jeśli zdobędziecie wystarczające dowody

Na drugim końcu linii zapadła długa cisza, aż wreszcie Marquez rzucił lakonicznie:

– Tak.

W głowie Blackhawka zadźwięczał dzwonek alarmowy.

– Rick, co się dzieje? – zapytał natarczywie.

– Dlaczego sądzisz, że coś się dzieje

– Intuicja.

– Nie mogę ci nic powiedzieć.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Jedno i drugie. Czekaj, mam drugie połączenie.

O co chodzi? – Jon usłyszał w słuchawce stłumioną rozmowę. – Przepraszam, muszę kończyć – rzekł do niego Marquez. – Będę cię informował o przebiegu śledztwa. I bardzo ci współczuję z powodu śmierci matki.

– Dziękuję – odparł Jon.

– Będziemy w kontakcie. – Marquez rozłączył się.

Blackhawk powoli odłożył słuchawkę i usłyszał cichy trzask. Z leniwym uśmiechem nacisnął guzik. Sprawy zaczynały iść coraz lepiej.

– Choć wszystko widziałam i słyszałam, ledwie to do mnie dociera. Mój Boże, Harold Monroe zjawił się na pogrzebie i zaprzeczył, że jest odpowiedzialny za te zabójstwa! – powiedziała Joceline do Jona jeszcze tego samego wieczoru, gdy siedzieli na sofie w jej mieszkaniu i przyglądali się, jak ich synek rysuje wielbłąda, którego zobaczył w telewizyjnych wiadomościach.

– Ja też – przyznał Jon. – Ale cieszę się, że tak się stało.

– Jasne.

– Myślę, że gdy zgromadzimy wszystkie dowody, uda nam się rozwiązać sprawę nie tylko tego zabójstwa. Jestem agentem FBI i pełnię tu odpowiedzialną funkcję, mój brat często współpracuje z naszym biurem i ma opinię świetnego śledczego, a jednak żaden z nas nie miał bladego pojęcia, że ojciec Harolda Monroego jest od lat zatrudniony na naszym ranchu. Gdybyśmy o tym wiedzieli, to zważywszy na jego przeszłość, niewątpliwie obwinilibyśmy go o zamordowanie Cammy.

– Byłoby to całkiem zrozumiałe – wyznała Joceline.

– Cóż, nawet przestępcy mają swoje dziwaczne poczucie honoru.

Joceline pogładziła czarne włosy Markiego.

– Naprawdę potrafisz rysować, skarbie.

– Owszem, potrafi. – Jon wyjął mu z ręki ołówek, a potem posadził sobie malca na kolanach. – Jesteś trochę podobny do mnie, wiesz? – rzekł czułym głosem. – Zadziwiające, że wcześniej nigdy tego nie dostrzegłem.

– Jesteś większy niż ja, duuużo większy!

Markie zaczął chichotać, kiedy Jon go połaskotał.

– Wspaniale być ojcem. – Czule objął synka.

– Oj, tatusiu, za mocno mnie ściskasz!

Jon roześmiał się i puścił Markiego, który wrócił do stołu, na którym leżały ołówki i papier.

– Ze wszystkich niespodziewanych rzeczy, które przydarzyły mi się w życiu, ta jest najprzyjemniejsza.

– Z miłością popatrzył na uroczą, przyjazną minę Joceline. – Powinnaś była mi o nim powiedzieć – rzekł czule.

– Wiesz, dlaczego tego nie zrobiłam. – Ujęła jego wielką dłoń. – Sądziłam, że to zrujnowałoby ci życie i zaszkodziło karierze. Poza tym wiedziałam, że twoja matka uczyni wszystko, co w jej mocy, by trzymać mnie i Markiego z dala od ciebie. Teraz już wiem, że pod przykrywką niechęci, a nawet wrogości, była naprawdę miłą osobą. Dopiero zaczynałam ją poznawać. Strasznie żałuję, że zabrakło mi czasu.

– Ja też – powiedział ze smutkiem. – Cammy zostawiła po sobie ogromną pustkę.

– Zwłaszcza w twoim sercu. – Usiadła Jonowi na kolanach i objęła go. – Czas uleczy tę ranę.

Zamknął oczy i wtulił twarz w jej szyję.

– Tak, uleczy...

– Tatusiu, jesteś smutny? – spytał Markie, stając przy nim. – To dlatego, że umarła moja babcia, prawda?

– Tak. – Uśmiechnął się do synka. – To boli.

– Ona na początku była wstrętna, ale potem kupiła nam lody – oznajmił chłopczyk. – Teraz już nigdy nie będę miał babci.

– Cammy okropnie by go rozpieszczała – zauważył Jon, gdy Markie znów zajął się rysowaniem.

– Owszem – przytaknęła Joceline.

Posadził ją sobie wygodniej na kolanach.

– Zastanawiam się, co knuje Marquez – powiedział cicho.

– Dlaczego myślisz, że coś knuje?

– Nie chciał pokazać raportu policyjnego dotyczącego zabójstwa Cammy.

– Naprawdę? – zdziwiła się Joceline.

Jon przyjrzał się jej przenikliwie.

– Ty mogłabyś go zdobyć.

– Posłuchaj, te raporty są w komputerowej bazie danych, chronią je systemy zaporowe...

– A ty potrafisz złamać wszystkie zabezpieczenia – wpadł jej w słowo.

W jej oczach zamigotał szelmowski błysk.

– Przynajmniej większość – przyznała.

– Zrobisz to dla mnie?

– Jeśli przyrzekniesz, że będziesz przyprowadzał Markiego do więzienia na widzenia z mamusią kryminalistką – mruknęła pod nosem.

– Wynajmę ci najlepszego adwokata w San Antonio.

Joceline wstała.

– Dobrze. Użyję fałszywej tożsamości i skrzyżuję palce.

Po chwili siedziała już przed komputerem, a po dziesięciu minutach wróciła mocno zachmurzona.

– Co się stało? – zapytał Jon.

– Nie ma żadnych raportów na ten temat.

– Jak to? To niemożliwe...

– A jednak! Żadnych plików, żadnych zdjęć ani formularzy opisujących materiał dowodowy. Po prostu nic nie ma.

– Niemożliwe. Przecież to sprawa o zabójstwo!

– Tak, ale nic nie zostało wprowadzone do bazy danych.

Jon zastanawiał się gorączkowo, usiłując znaleźć racjonalne wyjaśnienie.

– Minęło dopiero kilka dni – odezwał się po chwili.

– Może po prostu nie zdążyli jeszcze wprowadzić do komputera zdjęć i innych danych.

Joceline nic nie odpowiedziała, natomiast Blackhawk wyjął komórkę i zadzwonił do brata.

– Mac, w bazie danych nie ma niczego na temat zamordowania Cammy.

– Aha, nakłoniłeś Joceline, żeby popełniła przestępstwo komputerowe i włamała się do chronionych plików policyjnych?

– Tak.

– I mówisz, że nie ma żadnych raportów o śmierci

Cammy? – dopytywał się Kilraven, choć przecież już znał odpowiedź.

– Właśnie.

– Poszperam trochę i powiadomię cię, co znalazłem. – Rozłączył się.

– Mac spróbuje się czegoś dowiedzieć – powiedział Jon. – Co za dziwaczna historia.

Joceline zaczęła rozważać sytuację. Kilravena także nie wpuszczono do pokoju hotelowego, w którym została zastrzelona Cammy. W zakładzie pogrzebowym było dwóch podejrzanych osobników, a Jon powiedział, że kiedy z bratem wspomnieli o pozostawieniu podczas nabożeństwa otwartej trumny, dyrektor zakładu bardzo się spieszył. A teraz okazało się, że w bazie danych nic nie ma na temat tej sprawy. Joceline połączyła wszystkie fakty i wysnuła wniosek, którego nie odważyła się wypowiedzieć na głos.

Jon doszedł do tej samej konkluzji.

W milczeniu popatrzyli na siebie.

– Nie ma żadnego powodu, żeby mieli to zainscenizować – odezwała się wreszcie Joceline.

– Chyba że wiedzieli o planie zamachu na życie Cammy i upozorowali jej śmierć, by ją ocalić – uzupełnił Jon. – Może chcieli w ten sposób zdobyć dowód przeciwko potencjalnemu zabójcy i zyskać czas na przeprowadzenie gruntowniejszego śledztwa.

– Właśnie... Tak właśnie mogło być.

Serce załomotało Jonowi w piersi. Ogarnęła go nadzieja, że może jednak ta tragedia wcale się nie wydarzyła. Może Cammy żyje i tylko się ukrywa, a Marquez zataja to przed nim i Joceline, ponieważ podejrzewa kogoś, kto u nich pracuje i kto mógłby dowiedzieć się o mistyfikacji.

Joceline mocno ścisnęła dłoń Jona.

– Możemy się mylić – powiedziała ostrożnie. – Nasza hipoteza opiera się na dość wątpliwych przesłankach.

– Wiem.

– Myślisz, że w moim mieszkaniu założono podsłuch? – spytała.

– Jeśli tak, to wiemy, kto to zrobił. Zabójca nie mógł tutaj zamontować żadnych urządzeń podsłuchowych, bo szybko by zostały wykryte i usunięte.

Zadzwoiła komórka Joceline. Natychmiast odebrała połączenie.

– Tak, mieszkanie jest na podsłuchu i rzeczywiście ktoś umieścił w nim urządzenia podsłuchowe, ale wszystkie znalazłem – usłyszała w słuchawce głęboki głos z chropawym południowoafrykańskim akcentem, a potem chichot. – Wasze wnioski są bardzo interesujące, lecz ja ani nie potwierdzam, ani nie zaprzeczam, i na razie musi wam to wystarczyć. Siedźcie spokojnie i czekajcie na rezultaty, jak my wszyscy.

– Gdzie jest Sloane Callum? – zapytał Jon, przejąwszy komórkę od

Joceline.

– W bezpiecznym miejscu. Zaryzykował życie, żeby pomóc w realizacji naszego planu.

– Sprawca jest bardzo niebezpieczny – rzekł cicho Blackhawk.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo – odparł szorstko Rourke. – Odkryliśmy kilka niepokojących faktów. Nie mogę zdradzić nic więcej.

– Czy któryś z twoich ludzi pilnuje mojego brata i bratowej?

– Tak. Ty, Joceline i chłopiec też macie ochronę.

– W porządku. Ale przypominam ci, że pracuję w najlepszej agencji ochrony prawa w naszym kraju.

– Co dałoby ci wolną rękę w tym śledztwie, gdyby nie fakt, że masz w swoim biurze co najmniej jednego podejrzanego.

– Jednego czy więcej?! – wrzasnął Jon.

– Niczego już się ode mnie nie dowiesz. I nie próbuj naciskać Marqueza – dodał Rourke. – Sam go wyszkoliłem w technikach kontrwywiadowczych. Jest nieprzekupny i niepodatny na wpływy, prośby i błagania.

– Cholera – mruknął Jon.

– Poczekaj cierpliwie na rezultaty naszej akcji. Spodobają ci się.

– Świetnie... I dzięki.

– Jutro może się wydarzyć parę dziwnych rzeczy

– ostrzegł cicho Rourke. – Miej się na baczności i nie wychodź nigdzie sam. Przypilnuj też, żeby Joceline nie opuszczała bez ciebie domu.

– A co z moim synkiem?

– Umieściliśmy w szkole dwóch agentów. Będzie tam bezpieczny. Masz na to moje słowo, a wiesz, że nie rzucam obietnic na wiatr.

– Lepiej żeby tak było.

– I jeszcze jedno...

– Tak?

Rourke zamilkł i Jon usłyszał w tle, jak ktoś inny przemawia napiętym, stanowczym tonem. Potem Rourke znów się odezwał:

– Nie mogę zdradzić nic więcej. Zaufaj mi. Mam na względzie wyłącznie twoje dobro.

– Czy Napoleon nie wygłosił podobnej deklaracji przed bitwą pod Waterloo? – zastanowił się na głos Blackhawk.

– Historia wojskowości to nie twoja specjalność, tylko twojego brata – odparł kpiąco Rourke. – Wyśpij się dobrze tej nocy. Jutro musisz być w formie.

– Odłożył słuchawkę.

Jon z niepokojem popatrzył na Joceline, a potem na syna. Nie wiedział, ile może jej powiedzieć. Miał jedynie nadzieję, że ktokolwiek zaplanował tę skomplikowaną intrygę, nadal nad nią panuje. Żałował tylko, że nie wie, w jakim celu ją zaaranżowano.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nazajutrz Joceline siedziała w pracy przy biurku. Miała przepisywać raporty na komputerze, lecz nie potrafiła się skupić. Co się jednak dziwić, skoro Jon rano powiedział, że ma być czujna, ale nic więcej nie chciał wyjaśnić. Co tak naprawdę miał na myśli? Czego powinna się spodziewać? Niestety wiedziała tylko tyle, że Jon zachowywał się wobec niej niezwykle opiekuńczo i był spięty, jakby spodziewał się niebezpieczeństwa.

Phyllis Hicks, urzędniczka zatrudniona na niepełnym etacie, zjawiała się w biurze razem z innymi pracownikami z tego piętra. Joceline usiłowała nie zwracać na nią zbyt dużej uwagi, ale czuła się zdenerwowana. We wzroku i wyrazie twarzy Phyllis było coś niepokojącego. Trudno to było sprecyzować, ale po prostu nie wydawała się całkiem normalna. Tak było zawsze, uświadomiła sobie Joceline, lecz dzisiaj to wrażenie było szczególnie intensywne.

Zajęła się pracą, próbując nie dostrzegać, że Phyllis ostentacyjnie się na nią gapi. Jednak gdy przystanęła przy jej biurku, Joceline musiała podnieść wzrok i uśmiechnęła jak gdyby nigdy nic.

– Cześć, Phyllis, jak ci idzie w college'u? – spytała.

Dziewczyna uniosła brwi, utkwiała intensywne spojrzenie w Joceline.

– W biurze słyniesz z tego, że umiesz zdobywać informacje, których nikt inny nie potrafił znaleźć – powiedziała, ścisząc głos. – Mogę się więc założyć, że zbadłaś moją przeszłość i odkryłaś coś, czego nie dostrzegli wszyscy agenci, którzy mnie sprawdzali. Sądziłam, że doskonale to ukryłam – dodała z chłodnym uśmiechem. – Ale widocznie pominęłam jakieś drobne ogniwo.

– Słucham? – Joceline wystylizowała uśmiech na beztrosko roztargniony.

– Wiesz, kto jest moim prawdziwym ojcem.

– Czyżby?

– Przestań! – rzuciła ostro Phyllis, a w jej oczach zamigotał dziki błysk. – Dość tych gier. Marquez i jego kumple mnie śledzą. Tata mi powiedział. Wszystko mi mówi, wystarczy, że się przymiłę i mu przypoehlebię, a wygrzebie dla mnie każdą informację. Mówię mu, że to mi pomaga przygotować się do pracy agentki, a on się na to non stop nabiera.

– Naprawdę?

Phyllis wsparła się dłońmi o blat biurka i nachyliła się, by jej słów nie usłyszał nikt oprócz Joceline.

– Tata mówi, że założyli mi kartotekę. To go zaszokowało. Myśli, że chcą mnie aresztować pod zarzutem usiłowania zabójstwa. Powiedziałam mu, że to wszystko kłamstwa. Był wstrząśnięty, że Marquez, taki dobry detektyw, wziął się na takie urocze, bezbronne dziewczątka jak ja.

– Czy kobry są bezbronne? – zadrwiła Joceline.

– Nigdy nie zdobędą dość dowodów, żeby mnie skazać – szepnęła Phyllis i uśmiechnęła się. W obłąkańczy sposób wydawała się z siebie bardzo dumna.

– Przekonałam mojego prawdziwego ojca, żeby wziął mnie ze sobą, kiedy szedł się upewnić, że Dan Jones wykona robotę i załatwi córkę Kilravena. Miałam dopiero siedemnaście lat, ale byłam już bardzo dobrym strzelcem. Ojciec mnie nauczył. Dan Jones to był straszny mięczak. Nie potrafił puknąć dzieciaka. Nawet płakał. Zabrałam mu śrutówkę i zabiłam z niej tę dziewczynkę. To było łatwe. Naprawdę łatwe. Nie sprawiło mi żadnego problemu. Tata powiedział, że mam do tego wrodzony talent. – W

jej oczach błysnęło szaleństwo, podczas gdy Joceline starała się zwalczyć mdłości. – Więc namówiłam Jaya Coppera, żeby od czasu do czasu pozwolił mi wykonywać mokrą robotę. Mogłam się dostać w miejsca dla nich niedostępne. Ojczym nauczył mnie wszystkich metod, jakich używałam, i nie miał pojęcia, że dostarcza mi informacji, które potem przekazywałam prawdziwemu ojcu. Mogłam nawet zabierać broń z magazynu dowodów rzeczowych, a potem odkładać ją na miejsce, i nikt mnie o nic nie podejrzewał. Wyobraź sobie ukrywanie narzędzia zbrodni w magazynie dowodów rzeczowych. – Roześmiała się, lecz zaraz jej twarz wykrzywił ponury grymas. – Potem ten dureń Monroe zaczął się przechwalać zabójstwem, które ja popełniłam! Było moje! I wypaplał o śrutówce. Nie powinnam była nigdy zdradzić prawdziwemu ojcu, gdzie ją schowałam. W dzisiejszych czasach nie można nikomu powierzyć żadnego sekretu. Nikt nie potrafi utrzymać języka za zębami.

– Zamordowałaś dziecko – powiedziała ze zgrozą Joceline.

– I co z tego? Jednego dzieciaka mniej na świecie – odparła obojętnie Phyllis. – Chciałam załatwić też twoje, ale mi nie pozwolili. Powiedzieli, że zabicie dzieciaka sekretarki Blackhawka zaboli go mniej niż sprzątnięcie jego matki. – Znowu wybuchnęła zimnym śmiechem. – Więc dowiedziałam się, w którym hotelu zatrzymała się Cammy Blackhawk, podsłuchałam jej rozmowę z synem, a potem wzięłam rewolwer ze spiłowanym numerem seryjnym i zastrzeliłam ją w pokoju hotelowym, gdy gadała przez telefon z Kilravenem. – Zaśmiała się jeszcze okrutniej. – To było takie zabawne. Wyobraź sobie, jak on się czuł, kiedy słyszał, że ona umiera, i nic nie mógł zrobić!

Joceline słuchała z otwartymi ustami. Phyllis właśnie przyznała się w biurze FBI do dwóch zabójstw, a ona nie miała przy sobie urządzenia

nagrywającego, zaś w gabinecie nie było zainstalowanego podsłuchu. To byłby jedynie słaby pośredni dowód, bez względu na to, jak żarliwie Joceline przysięgałyby, że mówi prawdę.

– Naprawdę oszalałaś – powiedziała z napięciem.

– Nie mów tak! – warknęła Phyllis. – Mówili to o mojej babce, ponieważ się zabiła. Mój prawdziwy ojciec wyznał jej, co zrobiłam, a ona nie mogła tego znieść. Przedawkowała pigułki. – Wyprostowała się.

– Była słaba, ale ja jestem silna. Stać mnie na wszystko, jak mojego prawdziwego ojca. Zabił Dana Jonesa. Nie zgodził się, bym poszła z nim, ale później mi wszystko opowiedział. To było takie podniecające! – szepnęła z błyszczącymi oczami. – Ojciec mówił, że Jones płakał i błagał go i Jaya Coppera, żeby go nie zabijali. Ten idiota zrobił się religijny. Zamierzał wydać Jaya Coppera i mojego tatę. Co prawda policja aresztowała Coppera, ale nie mojego ojca, a mnie też nie dopadną. A Harold Monroe zginie. Przecież w gruncie rzeczy wcale nie należy do naszej rodziny, tylko ożenił się z moją ciotką!

– Nie łudź się, że policja nie zdobędzie dowodów, które wystarczą, żeby cię skazać – powiedziała cicho Joceline. – Zapłacisz za swoje zbrodnie.

– A kto mnie aresztuje? – spytała szyderczo Phyllis. – I na jakiej podstawie? Twoich słów? Kilraven i jego żona powiedzieli policji, że słyszeli, jak Jay Copper mówił, że mój ojciec pomógł mu zabić tę dziewczynkę, ale kiedy zginęła taśma z nagraniem zeznania, nie mogli oskarżyć taty. Było tylko ich słowo przeciwko jego słowu.

– Jak zniknęła taśma?

– Zabrałam ją z magazynu dowodów rzeczowych. – Phyllis uśmiechnęła się z wyższością. – Potem kazaliśmy naszemu przyjacielowi

włamać się do twojego mieszkania i ukraść akta, które zawierały informacje, że jestem nieślubną córką taty – dodała chłodno. – A ja usunęłam pliki z centralnego komputera. Przydaje się pracować w FBI.

– Nie myśl, że to wszystko ujdzie ci na sucho – rzekła Joceline.

– Dlaczego nie? – spytała Phyllis z beztróskim śmiechem. – Nikt nigdy mnie o nic nie podejrzewał. – Złowieszczco przymrużyła oczy. – Twój dzieciak jak dotąd miał szczęście, prawda?

Joceline wstała i z gniewnym błyskiem w niebieskich oczach ruszyła w kierunku Phyllis.

– Jeżeli tkniesz mojego syna, jeśli choćby tylko pomyślisz, by go tknąć, odnajdę cię, nawet gdybyś ukryła się na końcu świata.

– Myślisz, że zdołasz mnie powstrzymać? – rzuciła hardo Phyllis.

– Myślę, że ktoś musi cię powstrzymać, zanim znowu skrzywdzisz jakieś dziecko – odparła cicho.

– Jesteś kompletnie obłąkana.

– Nie... mów... tak! – wrzasnęła Phyllis, dławiąc się z wściekłości, i rzuciła się na Joceline, obalając ją na biurko. – Wcale nie jestem szalona! – Chwyła ją za szyję, wbijając paznokcie w gardło.

Joceline zaczęła się dusić. Jeśli się nie pośpieszą...! – pomyślała w panice.

– Dosyć tego! – rozległ się szorstki męski głos. Ktoś jednym płynnym ruchem podniósł Phyllis, odwrócił i skuł kajdankami.

– Co, do diabła...? – wykrzyknęła.

Joceline podniosła się, wciąż jeszcze roztrzęsiona. Jon objął ją ramieniem, obejrzał szyję i skrzywił się, ona zaś zdołała tylko uśmiechnąć się do niego z ulgą. Czowała się już bezpieczna.

– Być może powiązanie wszystkich wątków tej sprawy zajęło nam

trochę czasu – rzekł sierżant detektyw Marquez do wściekłej, czerwonej na twarzy morderczynie. – Ale w końcu dopięliśmy swego.

– Wskazał dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, z których jeden trzymał Phyllis za ramię. – I zwróć uwagę, że odczytam ci twoje prawa. Nie chciałbym zostawić żadnej luki dla sprytnego adwokata.

– Ty mnie wrobiłaś! – wrzasnęła Phyllis, wpatrując się z bezsilną furją w zszokowaną Joceline.

– Właściwie wrobił cię Rourke – poinformował chłodno Jon. – Z niewielką pomocną sierżanta Marqueza oraz Gail Rogers. Obiecuję ci, że tym razem taśmy nie zginą. Twój ojczym wyjaśnia już w głównej kwaterze policji, jak pomógł ci dostać się do magazynu dowodów rzeczowych.

– Nie piśnie ani słowa! – parsknęła Phyllis.

– Och, za sześć miesięcy ma przejść na emeryturę, więc powie im wszystko, co chcą wiedzieć. – Blackhawk spojrzał na nią lodowatym wzrokiem. – Zabiłaś moją bratanicę i moją matkę. Jak długo będę żył, tak zjawię się na każdej rozprawie dotyczącej twojego zwolnienia warunkowego i dopilnuję, żebyś nigdy nie wyszła z więzienia.

– Najpierw muszą mnie skazać, a nie mają żadnych dowodów – odparła Phyllis słodkim tonem.

Jon popatrzył na nią z chłodną ironią.

– Myślisz, że jesteś taka sprytna, a jednak nie przyszło ci do głowy, że odciski palców trzeba zetrzeć nie tylko z lufy strzelby, lecz także z łusek.

Odpowiedziała mu obojętnym spojrzeniem, zaraz jednak dotarło do niej, o co chodzi.

– Monroe! – wybuchnęła. – Ten dumy kretyń powiedział im, gdzie ukryto narzędzie zbrodni!

– Wziął winę na siebie, żeby cię uratować – skłamał Jon.

Wyprostowała się, nie kryjąc zaskoczenia, po czym spytała:

– Dlaczego? On nawet mnie nie lubi.

– Należysz do jego rodziny, prawda? – powiedział Blackhawk, w głębi duszy dziwiąc się sobie, że broni Harolda Monroego.

– No tak... – Phyllis westchnęła gniewnie. – Ale jednak ten dureń przez swoją głupotę założył mi stryczek na szyję. Mój rodzony ojciec już się z nim porachuje!

– Och, nie sądzę – rzekł Kilraven, podchodząc do nich. Uśmiechnął się chłodno do kobiety, która zamordowała jego trzyletnią córeczkę. Musiał pohamować żądzę zemsty, powstrzymać się przed skruceniem Phyllis karku, nim trafi do więzienia. – Twojego prawdziwego ojca aresztowano i oskarżono o współudział w zabójstwie mojej żony i mojej córki.. Rozumiesz, na tej śrutówce były odciski palców dwóch osób.

Nie dodał jednak, że drugie odciski będą mogli oficjalnie zidentyfikować dopiero wtedy, gdy policja aresztuje Phyllis, wciągnie ją do kartoteki i pobierze od niej odciski palców. Wolał się asekurować.

Phyllis na moment kompletnie odebrało mowę. Poczzerwieniała, lecz bynajmniej nie z zakłopotania. Po chwili bluznęła potokiem przekleństw. Kilka z nich sprawiło, że Jon ze zdziwieniem uniósł brwi, i by przerwać ten plugawy spektakl, polecił policjantom:

– Zabierzcie ją stąd. – Miał w tym też inny cel.

Wciąż się obawiał, że Mac zrobi coś, czego może później żałować.

– Świetny pomysł – pochwalił Kilraven lodowatym tonem.

Wyprowadzono Phyllis. Mac, Jon i Joceline przyglądali się temu z identycznymi minami. Owszem, doszli do prawdy, akcja się udała, a jednak byli oszołomieni.

– Co za szok – rzekł posepnie Blackhawk.

Podszedł do nich sierżant detektyw Rick Marquez i z krzywym uśmiechem oświadczył:

– Obawiam się, że to nie ostatni szok, który dzisiaj przeżyjecie.

– Jak to? – spytał z ociąganiem Jon.

– Tylko musicie obiecać, że mnie nie pobijecie – zwrócił się Marquez do braci. – Nie potrafiłem wymyślić żadnego lepszego sposobu, by uratować Cammy, zwłaszcza po tym, jak wasz pracownik Sloane Callum zadzwonił do mnie cały roztrzęsiony i powiedział, że podsłuchał, co się zdarzy, kiedy Cammy Blackhawk dotrze do hotelu. Ostatnio sporo się dowiedziałem o rodzinie Jaya Coppera. Wpadłem więc na pomysł, żeby przekonać morderczynię, by sprzątnęła Cammy. – Przerwał na moment. – Dotąd nie miałem pojęcia, że Rourke zna się na efektach specjalnych z hollywoodzkich filmów.

– Efektach specjalnych? – spytał Jon.

Marquez poruszył się niespokojnie.

– Przepraszam, po prostu rozmyślałem na głos o życiorysie tego faceta. Tak więc Sloane zadzwonił do Harolda Monroego i polecił, żeby złożył wizytę Phyllis. Monroe wiedział, jakiego rodzaju broni ona używa. Gdy na chwilę wyszła z pokoju, zamienił magazynki. Tak więc Phyllis z ukrycia strzeliła do waszej matki ślepakami, a dzięki kilku niewielkim ładunkowym wybuchowym rozmieszczonym w kamizelce kuloodpornej wyglądało to tak, jakby prawdziwe pociski rozerwały klatkę piersiową Cammy. Na szczęście Phyllis szybko się zmyła, nie sprawdzwszy dokładnie, co stało się z Cammy, gdyż inaczej cały plan spaliłby na panewce i nie zdołalibyśmy rozwiązać tej sprawy.

– Chwileczkę – wykrztusił Jon łamiącym się głosem. – Chcesz powiedzieć, że Cammy nie zginęła?

– Ona żyje? – dorzucił osłupiały Kilraven.

– Żyje i wciąż mnie przeklina za to, że przeze mnie uwierzyliście w jej śmierć. – Marquez westchnął dramatycznie. – Mam opłacone ubezpieczenie zdrowotne, więc jeśli chcecie mnie walnąć...

Bracia chwycili go i uściskali, choć Jon był znany z tego, że unika publicznego objawiania emocji.

Uradowana Joceline wybuchnęła śmiechem.

– Co za podstęp! Nic dziwnego, że zabroniłeś Kilravenowi i Alice Fowler wstępu na miejsce zbrodni i odmówiłeś im wglądu w raport policyjny dotyczący tego zabójstwa!

– Właśnie – odrzekł sierżant, piorunując ją wzrokiem. – I powiodło mi się mimo twoich usilnych starań, by włamać się do mojego komputera.

– Ojej! – Joceline oblała się rumieńcem.

– O czym, na szczęście dla ciebie, nic nie wiem – dodał Marquez.

– Dzięki Bogu! Więzienne stroje są pomarańczowe, a w tym kolorze wyglądam okropnie!

– Gdzie jest Cammy? – zapytał Jon.

– Na ranczu – odpowiedział Rick. – Sloane twierdzi, że to najbezpieczniejsze miejsce, ponieważ zabije każdego, kto się do niej zbliży. Był oburzony, że całe to zamieszanie wywołała jego kuzynka, nawet jeśli jego syn jest z nią spokrewniony tylko przez małżeństwo.

– A tym synem jest Harold Monroe – mruknął Jon.

– Wiem. Założyłem urządzenie podsłuchowe jego kumplowi spod celi, aby nagrać tak zwane zeznanie Monroego. – Marquez roześmiał się. – To była bardzo zawikłana sprawa. Przez wszystkie lata mojej pracy w policji nie zetknąłem się czymś podobnym. No, może tylko raz, kiedy byłem jeszcze zwykłym funkcjonariuszem. Żona senatora stanowego popełniła

makabryczne morderstwo i trafiła do więzienia. Przy tej sprawie pracowali Judd Dunn i Cash Grier.

– Pamiętam – oświadczył Kilraven. – Tragiczna historia. Senator był najlepszym przyjacielem Dunna. O ile dobrze pamiętam, później ożenił się ze swoją sekretarką.

– Tak, i mają dwóch synów. Wycofał się z wielkiej polityki, obecnie wspiera wprowadzanie ustaw korzystnych dla farmerów.

– Szczęśliwe zakończenie.

– Bardzo – rzekł Jon. – A teraz chciałbym zobaczyć się z Cammy.

– Ja również – poparł go brat.

– Wszyscy polecimy na ranczo – powiedziała Joceline. – Możesz poprosić naszego agenta specjalnego, żeby dał nam wolne na resztę dnia? – zwróciła się do Blackhawka.

Uśmiechnął się szeroko.

– Zaraz to załatwię.

– A ja wrócę do pracy, zanim minie im szok i ulga, i postanowią się na mnie odegrać. – Marquez popatrzył na braci.

– Nigdy byśmy cię nie uderzyli – żywo zaprotestował Jon.

– W każdym razie nie za mocno – poprawił go z uśmiechem Kilraven.

Kiedy cała piątka przybyła na ranczo, Cammy oczekiwała ich przy frontowych drzwiach. Objęła synów, uściskała ich z płaczem. Nie mogła przestać szlochać, oni też byli mocno wzruszeni.

Wreszcie wypuściła ich z objęć i serdecznie przywitała Joceline i Winnie, a na koniec uniosła w ramionach Markiego, którego trochę zaniepokoiły gwałtowne objawy uczuć.

– Nie martw się, to łyzy szczęścia – uspokoiła go Joceline. – Sądziliśmy, że twoja babcia... no, że już jej więcej nie zobaczymy.

– Wiem. Był pogrzeb, na który nie mogłem pójść.

– Popatrzył na Cammy i dotknął jej czarnych włosów przetykanych siwizną, upiętych wysoko w elegancki kok. – Dobrze, że nie umarłaś.

W oczach Cammy znów zakręciły się łzy. Mocniej przytuliła wnuka.

– Też się z tego cieszę. Och, jestem taka szczęśliwa!

– Jak my wszyscy – szepnęła Winnie i też objęła teściową.

Kilka dni później siedzieli w salonie przy olbrzymim kominku i rozmawiali o wstrząsających wydarzeniach ostatnich miesięcy.

Do pokoju zajrzał Sloane Callum, ściskając w wielkiej dłoni kowbojski kapelusz. Zawahał się jednak na widok zgromadzenia i przystanął w progu.

Jon wstał, podszedł do niego i spojrzał mu w oczy.

– Wiem, jestem wylany – powiedział ponuro Callum. – Już dawno powinienem był poinformować pana o moim synu i rodzinnych pokrewieństwach. Myślałem jednak, że wtedy przestanie mi pan ufać...

Blackhawk uściskał go mocno.

– Ocaliłeś życie Cammy. A ponieważ pracujesz u nas, twój syn pomógł nam znaleźć zabójczynię mojej bratanicy Melly i pierwszej żony Macka. – Ujął Sloane'a za ramiona. – Nawet nie myśl o porzuceniu pracy. Jesteśmy twoimi dłużnikami.

– Tak, każdy z nas – poparł brata Kilraven.

– A zwłaszcza ja. – Cammy uśmiechnęła się do starego kowboja. – Od początku byłam pewna, że zatrudnienie cię na ranczu to wspaniały pomysł, i miałam rację. – Rzuciła zagniewane spojrzenie na synów.

– Zawsze mam rację, więc dla własnego dobra powinniście słuchać moich rad.

– Chciałaś, żebym ożenił się z Charlene – przypomniał jej Jon.

– A ja według ciebie powinienem przestać spotykać się z Winnie –

dorzucił Mac.

Cammy uniosła ręce w obronnym geście.

– To tylko dwie drobne pomyłki! – broniła się zajadle, a gdy zgromadzeni skomentowali to śmiechem, obiecała solennie: – Poprawię się, naprawdę. Przestaną wtykać nos w wasze sprawy i zajmę się własnymi. – Usiadła obok Joceline. – Chciałabym jednak napomknąć ci o paru sprawach... Powinnaś zaprowadzić Markiego do specjalisty od chorób płuc, żeby zrobiono mu gruntowne badania. Zapłacę za to. I powinnaś sprawić sobie piękną suknię ślubną. Możemy pójść razem na zakupy do magazynu sieci Neiman Marcus i wybrać ślubny strój. Poza tym trzeba koniecznie coś zrobić z mieszkaniem Jona. Ściany powinny być pomalowane na jaśniejsze kolory, a kuchnia...

Bracia wstali.

– Idziemy postawić Callumowi piwo – oznajmili z powagą, lecz gdy tylko znaleźli się za drzwiami, nie wytrzymali i parsknęli gromkim śmiechem.

– Z czego, u licha, się tak śmieją? – dociekała Cammy. – Mniejsza z tym. Wracając do kwestii mieszkania Jona...

Joceline i Winnie wymieniły rozbawione spojrzenia, ale słuchały z nabożnym skupieniem.

Phyllis Hicks została skazana za zamordowanie pierwszej żony Kilravena i jego córeczki, a także za usiłowanie zabójstwa Cammy Blackhawk oraz wiele innych przestępstw. Zamknięto ją w więzieniu na długie lata. Szalona kobieta już więcej nie skrzywdzi dzieci ani w ogóle nikogo.

Po cichu wycofano oskarżenia przeciwko Haroldowi Monroemu. Wkrótce potem zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. Mówiono, że został

objęty federalnym programem ochrony świadków. Oczywiście, były to tylko pogłoski.

Jon i Joceline wzięli ślub w kościele wielowyznaniowym w San Antonio, do którego Joceline uczęszczała od lat. Były dziewczynki rozrzucające kwiaty, Markie podawał obrączki, a Winnie i Cammy podzieliły się rolą starościny wesela. Wielu agentom FBI udało się dotrzeć na ceremonię, chociaż niektórzy z powodu nawału pracy musieli się zadowolić obejrzeniem ślubu na płycie DVD.

Rodzina Blackhawków zamieszkała w mieszkaniu

Jona, lecz Joceline nie zrezygnowała z pracy w biurze. Wprawdzie Cammy upierała się, że powinna przebywać w domu z synkiem, ale Jon argumentował, że oszaleje, jeśli będzie musiał wprowadzać w zawodowe obowiązki nową asystentkę. I jak zwykle postawił na swoim.

Stan zdrowia Markiego poprawił się tak znacznie, że wszelkie decyzje dotyczące rozpoczęcia kuracji lekami zostały odłożone na przyszłość. Być może był to skutek tego, że chłopiec prowadził teraz bardziej unormowany tryb życia w pełnej rodzinie z mamą i tatą.

Zaledwie tydzień przed Bożym Narodzeniem Win nie Kilraven dostała bólów porodowych i pośpiesznie zawieziono ją do szpitala. Urodziła małego chłopczyka z gęstą czarną czupryną. Potężny twardziel McKuen Kilraven płakał ze wzruszenia, trzymając synka w ramionach.

Jon i Joceline ustawili w salonie świąteczną choinkę i przybrali ją licznymi ozdobami przekazywanymi w rodzinie Jona z pokolenia na pokolenie, a także kilkoma drobnymi zabawkami, które Joceline i Markie zgromadzili w trakcie minionych Gwiazdek. Cammy ofiarowała piękny kryształ od Swarovsky'ego na ich pierwsze wspólne rodzinne Boże Narodzenie. Miała wraz z Kilravenem przyjechać do nich na świąteczne

śniadanie. Joceline i Markie wyczekiwali ich z niecierpliwością. Zważywszy na niedawne wydarzenia, które tylko cudem nie zakończyły się tragicznie, wizyta zapowiadała się naprawdę wyjątkowo. Wszyscy będą świętować nowy początek, radować się z odzyskanego szczęścia.

Choinka była wysoka, zgrabna i piękna. Rozświetlała salon lampkami i Markie nie mógł oderwać od niej oczu, kiedy Joceline przyprowadziła go z ośrodka dziennej opieki do domu.

– Och, to jak magia! – zawołał na widok drzewka i dotknął go z nieśmiałym podziwem.

Jon objął żonę, mocno przygarnął do siebie. Popatrzył w jej łagodne, pełne miłości oczy, i ze szczęścia zapało mu dech w piersi.

– Tak, to czysta magia – szepnął.

– Tatusiu, czy kochasz mamę? – zapytał nagle Markie, spoglądając na niego wielkimi, szeroko rozwartymi niebieskimi oczami.

Joceline poczuła się zakłopotana. Jon nigdy nie wypowiedział tych słów nawet podczas najbardziej namiętnych intymnych chwil.

– Markie... – chciała zaprotestować.

Jon delikatnie ujął jej twarz.

– Kocham ją bardziej niż kogokolwiek na świecie – powiedział cicho.

Uśmiechnął się, gdy spojrzała na niego zaskoczona, a potem pocałował z niezmierną czułością.

– Bardziej niż mnie? – spytał chłopczyk.

Roześmiany Jon podniósł synka i pocałował w czuprynę.

– Kocham was oboje bardziej niż kogokolwiek na świecie.

– Też cię kocham, tato. – Markie objął go czule. – I tak sobie myślałem – dodał w zadumie – jak byłoby fajnie, gdybym miał brata, tak jak ty.

Jon z szelmowskim uśmiechem spojrział na Joceline.

– Co ty na to?

Zaśmiała się i uroczo zarumieniła. Nie stosowali żadnych zabezpieczeń. Byli tak bardzo w sobie zakochani, że narodziny dziecka przyjęliby z zachwytem, nie z troską. Prawdę mówiąc, okres Joceline już się opóźniał.

Jon wiedział o tym. Jego oczy błysnęły.

– Albo siostrę – dodał Markie. – Mógłbym ją nauczyć rysować.

– Istotnie – przyznała Joceline.

Chłopczyk przeniósł spojrzenie na piękną choinkę.

– Mamusiu, to będzie najwspanialsza Gwiazdka, jaką kiedykolwiek mieliśmy! – zawołał z zachwytem.

Joceline popatrzyła na męża i synka. W jej niebieskich oczach widniała bezbrzeżna radość.

– Tak, kochanie – przyznała. – Nasza najwspanialsza Gwiazdka!